

PRZEGLĄD SOCJALDEMOKRATYCZNY

ORGAN SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY.

Nauki trzech Dum.

Napisała Róża Luxemburg.

I.

Od roku przeszło przeżywamy okres głębokiego upadku rewolucji. Absolutyzm panuje w formach dzikszych, niż kiedykolwiek; represje, stan obłączenia, w którym banda zbójcka rządu trzyma społeczeństwo, działalność sądów wojennych, szubienice, rozstrzelania, przepełnienie więzień, znęcanie się nad uwięzionymi trwają bez końca i miary, bez wszelkiego widomego wyczerpania sił po stronie reakcji. Natomiast akcja odporna masy ludowej prawie nie istnieje: związki zawodowe zmiażdżone, zgromadzenia uniemożliwione, demonstracje masowe, które przed trzema laty były chlebem powszednim, wydają się dziś szalonym marzeniem, kierownicze organizacje partyjne co chwila walą się w gruzy wskutek aresztów i represji i ledwie mogą utrzymać jaki taki związek z masą. Na wsi w Rosji również panuje od dłuższego czasu zacisze, a wojsko stało się naogół znowu sprawnym i posłusznym orężem w rękach absolutyzmu, jak przed rewolucją. Ośmielony tryumfem reakcji politycznej, kapitał przemysłowy przeszedł z obronnej pozycji do zaczepnej, odbierając proletariatu miejskiemu wszystkie zdobycze, gnębiąc go i obezwładniając systematycznie zapomocą lokautów, taksamo jak właściciele ziemscy zdołali już prawie całkiem odebrać ludowi wiejskiemu zdobycze pierwszych dwóch lat rewolucji. W rezultacie obok straszliwej represji politycznej panuje nędza wśród mas roboczych. A za nędzą i represją idzie śladem ponure zgnębienie, wypływające z poczucia bezsilności. Położenie wygląda w istocie beznadziejnie: reakcja zdołała odebrać wszystkie pozycje, zdobyte przez pierwszy rok szturmów rewolucji i wzmocniła swoje szeregi, ze strony rewolucji zaś żadnego odporu nikąd nie widać. Po grudniowym powstaniu moskiewskim oczekiwano jeszcze lada chwila nowego „wybuchu“. Po rozpędzeniu Dumy i upadku powstania w Sweaborgu i Kronsztacie, nadzieje pokładano w oczekiwanych na jesień ruchach rolnych. Potym z jesieni nadzieje znów przenoszono na wiosnę. Od roku już i te wyczekiwania ucichły. Ba, znaleźliśmy się znowu w owym charakterystycznym zaczarowanym kole, w którym obracała się działalność socjalistyczna długie lata przed rewolucją: na represje absolutyzmu szeregi rewolucyjne odpowiadają milczeniem niemocy, ale jakże złamać tę niemoc i wywołać odpór, kiedy skupienie szeregów rewolucyjnych, agitacja wśród nich i kierowanie nimi stało się niemożliwością wsku-

tek tych samych represji?! Socjaldemokracja stoi więc znowu przed tym sfinksem, który ukazuje się na powierzchni społecznej za każdym razem, gdy twórcza siła rewolucji zapada wgłąb i ukrywa się w fundamentach społecznych: tym sfinksem jest nieruchomość masy. Dopóki rewolucja dokazuje swych cudów, wyprowadza na ulice bajeczne pochody, jak 22 stycznia w Petersburgu, improwizuje nagle potężne organizacje, jak Radę Delegatów Robotniczych, stapia w jedno ciało i porusza stutysięczne masy za jednym słowem, jak w czerwcu 1905 r. w Łodzi, podnosi z posad całe miasta, jak w Moskwie w grudniu tegoż roku, tworzy wśród absolutyzmu w 24 godziny republiki ludowe, jak w Baku — nikt w tym nie widzi i nie szuka nic zagadkowego. Największe masowe dzieła rewolucji ukazują się jako zupełnie zrozumiałe i naturalne zjawiska. Ale skoro tylko następuje zacisze i nieruchomość masy, jej sproszkowanie i niemoc wydają się niebawem jedynym jej „normalnym“ stanem, a wyprowadzenie jej z tego stanu wrzekomo zadaniem Socjaldemokracji, — zadaniem nierozwiązalnym, jak kamienne oblicze sfinksa.

Przez długie lata przed rewolucją Socjaldemokracja polska jak i rosyjska miała w tym ciężkim położeniu mocne oparcie: była nim niezachwiana wiara w konieczność dziejową rewolucji, jako wynik rozwoju kapitalistycznego Rosji. Marxiści rosyjscy wiedzieli, że rozwój ekonomiczny prowadzi z żelazną konsekwencją dialektyki dziejowej do podminowania i rozsadzenia średniowiecznego absolutyzmu i do stworzenia nowożytnego burżuazyjnego ustroju. Wiedzieli też, że w tym przewrocie rewolucyjnym proletarjat, jako wytwór historyczny tegoż rozwoju kapitalistycznego i jako klasa z natury swej najbardziej rewolucyjna, najbardziej zainteresowana w wolności politycznej, odegrać musi przewodnią rolę. Dlatego też byli uzbrojeni przeciw wszelkim wątpliwościom i sceptycyzmowi rozmaitych „narodników“, biorących rzeczy z płaskiej, mechanicznej strony i wskazujących np., z uporem na to, iż podług danych statystyki robotników przemysłowych jest w Rosji „za mało“, aby mogli odegrać przeważającą rolę polityczną, że proletarjat mógłby rolę taką grać dopiero po zapanowaniu liberalnej burżuazji itd. Puklerzem marxistów rosyjskich przeciw tym wszystkim rozumowaniom z miarką krawiecką w rękę było zrozumienie wewnętrznych tendencji społecznego rozwoju Rosji, z którego to stanowiska czężą robotą jest wyliczanie, jaki właściwie procent ludności w oficjalnych statystykach musi przypadać na proletarjat fabryczny, aby tenże mógł odegrać rolę decydującą w rewolucji politycznej, lub suszenie sobie głowy o to, „jak“ właściwie masy proletariatu mogą odegrać tę rolę, skute brakiem dojrzałości politycznej, którą daje dopiero otwarta walka klasowa.

Historja dała świetne świadectwo marxizmowi na terenie Rosji, jak je dała w Polsce, — we wszystkich krajach. Wbrew wyrachowaniom od „zdrowego rozumu“, rewolucja w Rosji wybuchła — i wybuchła, jako powstanie proletariatu. Ale nie pierwszy raz czarnoskieszca wywołał duchy, których opanować nie jest w stanie. Gdy rewolucja, przewidywana, przygotowana, zaklinana przez rosyjskich marxistów, zjawiła się na scenie, część ich zabłądziła, jak to mówi

rosyjskie przysłowie, wśród trzech sosen. Rewolucja obecna w Rosji musi być rewolucją burżuazyjną, ponieważ socjalistycznego ustroju jeszcze zaprowadzić w Rosji nie można. Zatem przewodnią klasą w tej rewolucji może być tylko burżuazja i ona też musi dojść do władzy. Proletariat może odegrać przytym tylko rolę strzemiennego, pomagając burżuazji do zdobycia panowania na gruzach absolutyzmu. Stąd niezbędność polityki sojuszu względem liberalizmu burżuazyjnego, stąd potępienie dla „bezowocnych“ wystąpień rewolucyjnych proletariatu na własną rękę, w rodzaju powstania moskiewskiego i dla kryjących się z niemi aspiracji do dyktatury proletariatu. Oto schemat, w jakim t. zw. „mieńszewicy“ w rosyjskiej partji socjaldemokratycznej zasklepiają rewolucję obecną a w niej i politykę klasową proletariatu. Pomijamy w tym miejscu wpływ powyższego poglądu na cały przebieg walki rewolucyjnej i taktykę proletariatu rosyjskiego. Ale probierzem dla niego jest zwłaszcza dzisiejszy okres zastoju rewolucji.

Rewolucja obecna jest i może być – podług teorii mieńszewickiej – rewolucją czysto burżuazyjną, zatem tylko burżuazja może kroczyć na jej czele i dążyć do zdobycia władzy. Ale terażniejsza faza zastoju wykazuje nietylko niemoc proletariatu, lecz jeszcze coś innego: upadek i przerażający rozkład burżuazyjnego liberalizmu! Okres od pierwszej do drugiej Dumy i od drugiej do trzeciej – to etapy postępowego przesuwania się partji burżuazyjnych w stronę kontrrewolucji: demokratów postępowych do kadetów, kadetów do październikowców, październikowców do prawicy i Związku narodu rosyjskiego. Burżuazja rosyjska nie tylko nie wykazuje chęci stanięcia na czele „rewolucji burżuazyjnej“, ale rozwinęła się w ciągu ostatniego roku do roli strzemiennego absolutyzmu.

Oczywiście z punktu widzenia schematu rewolucji burżuazyjnej położenie obecne w Rosji jest już nie tylko pozornie, lecz w samej istocie rzeczy całkowicie bez wyjścia: proletariat nie może i nie powinien dążyć do roli przewodniej i do władzy politycznej, ponieważ chodzi nie o rewolucję socjalistyczną, burżuazja zamiast w stronę rewolucji rozwija się w stronę reakcji. Co mówi na to rozwój społeczny, konieczność dziejowa, dialektyka materialistyczna, które wiodły do rewolucji burżuazyjnej z żelazną logiką? Oczywiście niezachwiane to oparcie marxizmu rosyjskiego, które działało w ciągu dziesięciolecia przed rewolucją, zostaje mocno zachwiane przez kilka lat dziejów rewolucyjnych. Wprawdzie organ kierowniczy mieńszewików zapewnia z urzędu, że „rewolucja zwyciężona, ale nie pobita“, lecz zapewnienia te wyglądają bardzo blado dla tej prostej przyczyny, że nie zostają poparte żadnym uzasadnieniem realnym, z któregoby nowy wzlot rewolucji miał wynikać. Stronnikom schematu nie pozostaje w gruncie rzeczy nic innego, jak zwątpić o samej możliwości, o podstawach społecznych rewolucji. Jakoż najodważniejszy i najotwartzszy z tych stronników dociera szczęśliwie w r. 1908 do tego stanowiska, na którym narodnicy rosyjscy przed laty dwudziestu odbierali ciągi bolesne od marxistów: oświadczwszy, że rewolucja jest już zupełnie skończona, dowodzi na zasadzie starannych obliczeń sta-

tystycznych, jak dwa razy dwa cztery, że proletariatu jest w Rosji „za mało“, aby mógł odegrać rolę przewodnią w rewolucji.¹⁾ A że prócz tego podług tejże statystyki „za mało“ jest i zrujnowanego chłopstwa, „za mało“ i demokratycznego mieszczaństwa, więc wogóle wszystkiego jest „za mało“ i pozostaje tylko do rozwiązania jedna zagadka: jakim cudem mogła przy takim braku wszelkich podstaw społecznych wyskoczyć, jak Filip z konopi, rewolucja w 1905 r. Kontrrewolucja osiągnęła zatem to, co przechodzi napewno jej najśmielsze marzenia: nie tylko zdławiła masy ludowe gwałtem fizycznym, a liberalizm burżuazyjny zdemoralizowała politycznie, ale wywołała w dużej części obozu rewolucyjnego zwątpienie co do samej możliwości rewolucji. Proletariat, jako klasa, powołany jest teraz bronić nie tylko swego faktycznego prawa rozwoju przed kontrrewolucją, ale i swego historycznego prawa przed temi nawet, co powołani są być wyrazem tego prawa!

II

Pod przygnębieniem i pesymistycznym nastrojem, panującym obecnie tak silnie w szeregach rewolucyjnych ukrywa się poczęści pogląd na rewolucję, daleko bardziej odpowiadający burżuazyjnemu liberalizmowi, aniżeli marxowskiemu stanowisku partji proletariatu. Głębokie rozczarowanie z powodu długiej pauzy w walce rewolucyjnej jest oczywiście tylko drugą stroną przypuszczenia, że rewolucja może i powinna posuwać się w jednej nieprzerwanej linii postępowej starć i zwycięstw. Podłożem takiego oczekiwania jest pogląd na rewolucję, jako na przewrót czysto polityczny, do którego społeczeństwo jest wewnątrz jakoby zgóry gotowe i całkowicie dojrzałe. Atoli każda rewolucja jest rewolucją społeczną, to jest okresem nadzwyczajnie natężonego wewnętrznego dojrzewania społeczeństwa: okresem szybkiego formowania się, różniczkowania i samouświadomienia klas. Bezpośredni przebieg przewrotu politycznego krzyżuje się i komplikuje przez ten proces dojrzewania klasowego, który perjodycznie hamuje akcję rewolucyjną nazewnątrz, by przetrwać jej rezultaty i nagromadzić materiał do dalszej akcji. Ażeby zrozumieć, czy rewolucja przebywa tylko pauzę czasową, dłuższą lub krótszą, czy też jest rzeczywiście skończona, trzeba uświadomić sobie, jakie zadania stały przed nią, jako historyczna konieczność i jak się układają, wskutek ukształtowania się walki klasowej w trakcie rewolucji i pod jej wpływem, konkretne warunki dokonania tych zadań.

Stanowisko tej części socjaldemokratów rosyjskich, którzy operują formułą, iż rewolucja obecna jest rewolucją czysto burżuazyjną, nie tym grzeszy, iż formuła ich jest sama fałszywą, lecz tym, że w tym ubogim i suchym schemacie upatrują rozwiązanie wszelkich zagadnień rewolucji, podczas gdy jest on sam nie objaśnieniem, nie rozwiązaniem, tylko inaczej sformułowanym zagadnieniem. Bo i tak postawiona kwestja brzmi właściwie: jak w danym historycznym po-

¹⁾ Czerewanin „Sowremiennoje położenie i wozmożnoje buduszczeje“. Moskwa 1908.

łożeniu może się urzeczywistnić i ukształtować w Rosji to, co stanowi zadanie rewolucji burżuazyjnej?

Przedewszystkim obecne wrażenie upadku rewolucji, przytłaczające tak mocno umysły w szeregach socjalistycznych, polega głównie na zewnętrznym podobieństwie w panowaniu zwycięskim dzięki reakcji obecnie a przed wybuchem rewolucji. W rzeczywistości między obecnym systemem represji a dawniejszym zachodzi jedna olbrzymia różnica, pomimo to, a raczej właśnie dlatego, że represje te przyjęły dziesięćkrotnie bardziej zwierzęcy charakter, niż kiedykolwiek dawniej: obecna reakcja polityczna to już nie panowanie absolutyzmu, czyli pewnej formy rządu, to coś więcej — to panowanie kontrrewolucji. Między obecnym okresem reakcji a dawnym leży okres rewolucyjny i jego rezultaty. I tylko powierzchowny pogląd może stąd za jedyny wniosek wyciągnąć ten negatywny fakt, że „rewolucja została pobita“. Daleko ważniejszą jest pozytywna treść społeczno-klasowa tego faktu. Na czym opierał absolutyzm swe panowanie w ciągu ostatnich dziesięcioleci? Na bierności politycznej wszystkich klas, z których proletarijat nie dojrzał był jeszcze do czynnego oporu masowego, włościaństwo ograniczało się z swej natury społecznej do częściowych sporadycznych ruchów chaotycznego i niepolitycznego charakteru, klasy posiadające — burżuazja i szlachta — stanowiły niezróżniczkowaną politycznie masę pasożytów ekonomicznych, korzystających z opieki absolutyzmu i pozbawionych wszelkich określonych aspiracji politycznych, jeżeli nie mówić o bezsilnych i tchórzliwych „rojeniach konstytucyjnych“ ziemstw. Okres rewolucyjny 1905 r. zmienił to wszystko z gruntu: nie tylko powołał do otwartej walki masowej proletarijat i włościaństwo, ale zróżniczkował klasy posiadające na partje i grupy, nawet na odcienie polityczne. Partje te i grupy mogą w trakcie rewolucji potym zmieniać swój charakter, łączyć się i rozpadać, przesuwac na prawo, zlewać się w jedną „masę reakcyjną“, jak to istotnie dotąd czynią. Ale wszystkie objawy te nie zmieniają faktu decydującego, że klasy burżuazyjne wystąpiły na scenę polityczną i wytworzyły odrębne partje i grupy, i że losy ich odtąd są i będą ich własnymi losami, rezultatami ich własnego rozwoju klasowego, a nie biernym wynikiem istnienia absolutyzmu. Obecna reakcja jest już zatem nie tylko objawem panującej jeszcze formy rządu, ale i objawem politycznego układu klas i partji burżuazyjnych w Rosji, jest już owocem politycznego współdziałania klas panujących z absolutyzmem. Z tego punktu widzenia, jako wyraz życia i rozwoju politycznego partji burżuazyjnych, dzieje trzech Dum Państwowych stanowią nieoceniony materiał orientacyjny.

Rok 1905 był od początku do końca okresem akcji masowej proletarijatu i zarazem od początku do końca okresem podnoszącej się fali rewolucyjnej. Od 22 stycznia, od alarmu, wydzwonionego przez proletarijat petersburski, przez nieustanne, rozszerzające się coraz bardziej strejki, powstania w wojsku i marynarce, strejk powszechny w październiku aż do powstania moskiewskiego w grudniu, linja rewolucji podnosi się stale w górę. Załamawszy się w październiku, gdzie oręż bojowy pierwszego okresu — strejk powszechny

dosięga swej najwyższej skuteczności, aby natychmiast po manifestacji konstytucyjnym wykazać i swą niemoc, akcja rewolucyjna przetrzuca się siłą swej wewnętrznej logiki do nowej fazy i chwytą drugiego oręża — powstania ulicznego i walki otwartej. Stłumienie powstania w Moskwie, naturalne i nieuniknione przy pierwszej próbie nowego sposobu walki, który tylko przez szereg miejscowych powstań może się rozwinąć do powszechnego i zwycięskiego powstania, zatrzymują akcję proletariatu, a z nią podnoszący się okres rewolucji.

Z rokiem 1906 rozpoczyna się drugi okres, trwający dotąd, — okres akcji parlamentarnej i zarazem okres coraz głębszego upadku rewolucji.

Pierwsza Duma wyprowadza na widownię na miejsce proletariatu burżuazyjny liberalizm, a na miejsce bezpośredniej akcji masowej — strejku powszechnego i powstania, — akcję parlamentarną. Ale burżuazyjny liberalizm znalazł się wraz z 1-szą Dumą od razu wobec zagadnienia decydującej wagi. Rok proletariackiej walki rewolucyjnej zachwiał posady absolutyzmu, ale go nie zburzył. Cała władza polityczna, wszystkie materialne środki tej władzy: wojsko, finanse, administracja, sądownictwo zostały w rękach tej samej biurokracji absolutyzmu, ostał się wraz z nią i dawny tron dynastyczny. Władza polityczna, słowem, została w rękach absolutyzmu. Jaką rolę mogła wobec tego grać Duma? Rolę konstytuancy, likwidującej absolutyzm i zaprowadzającej wolność polityczną? Ale zgromadzenie, zwołane nie przez rząd rewolucyjny, tylko przez rząd absolutystyczny i to w chwilę właśnie po zmiążdzeniu ludu rewolucyjnego, zgromadzenie zgóry pozbawione wszelkiego wpływu na władzę wykonawczą, nie mogło być organem, ogłaszającym nowy porządek polityczny i nowe władze. Czy miał to być parlament, to jest organ zwyczajnego regularnego prawodawstwa, jak istnieją one w krajach konstytucyjnych dla załatwiania spraw bieżących w ramach ustanowionych przez konstytucję? Ale podstawą istnienia i funkcji parlamentu może być tylko istniejący już i ugruntowany porządek konstytucyjny, to jest podporządkowanie władzy wykonawczej parlamentowi prawodawczemu, lub przynajmniej współrzędne ich istnienie i współdziałanie, jak w Niemczech, oraz zaprowadzenie uprzednie i zabezpieczenie na pewnych podstawach konstytucyjnych tych wolności obywatelskich, bez których prawodawstwo parlamentarne nie może istnieć: wolności słowa i druku, związków i zgromadzeń itd. W Rosji zaś panował dawny rząd absolutystyczny, a konstytucja pozostawała na papierze jako „dar“ samodzierżcy, podczas gdy w rzeczywistości panował stan obłączenia i sądy wojenne, a przygrywką do otwarcia pierwszej sesji „parlamentarnej“ była orgja piekielna pogromów. Duma, nie mogąc zatem być ani organem przewrotu politycznego ani organem regularnego prawodawstwa parlamentarnego, mogła być tylko szansem, za którym absolutyzm reparaował i wzmacniał swoje nadwyreżone przez rewolucję baterje.

W tej pełnej sprzeczności sytuacji liberalizm burżuazyjny widział wyjście w tym, że upierał się przy roli prawodawcy, — nie mając żadnych konstytucyjnych podstaw pod nogami, i usiłował

właśnie na drodze prawodawczej pokonać absolutyzm i stworzyć sobie podstawy konstytucyjne. Polityczna ta robota, będąca mniej więcej przedsięwzięciem budowania domu, zaczynając od dachu, aby stąd „stopniowo“ dojść do fundamentów, skończyła się tak, jak się musiała skończyć — rozpędzeniem Dumy przez istotną władzę: rząd absolutyzmu. Była to porażka stanowcza akcji parlamentarnej liberalizmu, jak stłumienie powstania moskiewskiego było porażką akcji powstającej proletariatu.

Podczas jednak, gdy nawet zwycięstwa rządu nad akcją proletariacką prowadziły w dalszych skutkach za każdym razem do osłabienia jego pozycji, gdyż demoralizowały wojsko, używane do tłumienia ruchów masowych i wprowadzały rozprężenie w cały aparat państwowy, okres akcji parlamentarnej dał absolutyzmowi czas i możliwość ochłonąć z przerażenia, wzmocnić swą pozycję, skupić środki i siły i nabrać wiary w siebie. Stłumienie powstania moskiewskiego było pierwszym udatnym aktem odpornym absolutyzmu, rozpędzenie Dumy było oficjalnym przejściem jego do polityki zaczepnej.

Losy pierwszej Dumy zdecydowały zgóry o losach drugiej; pomimo to druga Duma nie była prostym powtórzeniem tej samej „komedji“, lecz dalszym etapem na drodze rozwoju. Przekonawszy się, po rozpędzeniu pierwszej Dumy, o niemożliwości zaprowadzenia konstytucyjnego ustroju i podbicia władzy rządowej drogą parlamentarną, liberalizm z konieczności obniżył swe aspiracje. Zamiast kusić się o przeprowadzenie przewrotu politycznego przy pomocy Dumy, zdecydował się ograniczyć ją do roli zwykłego ciała prawodawczego, a zamiast mierzyć się z rządem w celu „podporządkowania władzy wykonawczej pod prawodawczą“ gwoli litery parlamentarizmu, zdecydował się unikać raczej starć z władzą rządową, aby zadowolić się skromniejszą rolą opozycji parlamentarnej. Ale Duma, jako organ prawodawstwa parlamentarnego, przy nieistnieniu porządku konstytucyjnego, wisiała taksamo w powietrzu, jak poprzednia Duma w roli parlamentu, tworzącego ten porządek konstytucyjny. A przy chimeryczności samego parlamentu, chimeryczną była i rola opozycji parlamentarnej. Koniec tej drugiej próby — nie już przewyciężenia władzy rządowej, ale utrzymania się w opozycji przeciw niej, próby z pewnej strony jeszcze bardziej fantastycznej, niż pierwsza, musiał wypaść dla liberalizmu również fatalnie. Rozpędzenie drugiej Dumy było też już nie porażką, tylko bankructwem akcji parlamentarnej liberalizmu, który wypróbowałszy z kolei rolę od najśmielszej do najskromniejszej, nie zdołał się utrzymać przy żadnej.

Rola parlamentaryzmu w dziejach rewolucji przez to jeszcze nie była skończona. Logicznym wynikiem eksperymentów z pierwszą i drugą Dumą oraz dalszym etapem na drodze ich rozwoju musiała być — obecna Duma. Tu akcja parlamentarna jest już nie nieudatnym narzędziem przewrotu rewolucyjnego, ani też środkiem bezsilnej opozycji liberalnej, tu służy ona wprost za narzędzie kontrrewolucji. Od pierwszej do trzeciej Dumy parlamentaryzm więc przebył cały cykl rozwoju i został odwrócony przez absolutyzm jako baterja reakcji przeciw tej samej rewolucji, dla której miał on po-

dług liberalnych złudzeń części Socjaldemokracji rosyjskiej służyć za taran do strzaskania murów absolutyzmu.

W drugiej połowie lat 90-tych, za czasów grasowania ekonomiczno-oportunistycznego prądu wśród socjaldemokratów rosyjskich, można było widzieć proklamacje partyjne, wygłaszające nieśmiałe żądania wolności strejków, związków, zebrań, słowa i duku — bez żądania prawodawstwa parlamentarnego i republiki, a więc rzekomo przy panowaniu absolutyzmu. Historia zakpiła z tych rojeń „częstkowej“ polityki socjalizmu, pokazując, że raczej odwrotna potworność jest możliwą: parlament prawodawczy bez wolności słowa, duku, związków, zgromadzeń i koalicji, parlament obok szubienicy i jako sankcja rządów stryczka i kuli.

W liberalnej wyobraźni kadetów oraz w wyobraźni socjaldemokratów, patrzących przez pryzmat polityczny liberalizmu, objaw taki jest naturalnie rezultatem „zamachu stanu“ Stołypina, który nie mogąc sobie dać rady z opozycją, tryumfującą niezmiennie na wyborach do 1-ej i 2-ej Dumy, uciekł się do zmiany prawa wyborczego, aby wyprzeć kadetów i lewicę z decydującego stanowiska i stworzyć dogodną sobie i posłuszną większość z kontrrewolucyjnych październikowców i umiarkowanej części prawicy. W rzeczywistości zamach stanu, uczyniony przez rząd po zamknięciu drugiej Dumy, skasowanie prawa wyborczego i nadanie ordynacji wyborczej z dnia 16-go czerwca odgrywa przytym rolę podrzędną. Jest on tylko ważnym symptomatem, jak dalece pozycja kontrrewolucji po działaniu dwóch Dum się wzmocniła, iż odważyła się już ona znieść ostatnie zdobycze zewnętrzne proletariatu z r. 1905. Rola trzeciej Dumy jako narzędzia kontrrewolucji, wysunięcie październikowców, tworzących większość z prawicą, na miejsce kadetów, którzy w pierwszych dwóch Dumach tworzyli większość opozycyjną z lewicą, nie jest sztucznym owocem specjalnego prawa wyborczego, tylko naturalną konsekwencją przebiegu rewolucji i rozwoju stosunków. Zamach stanu 16 czerwca sam jest raczej skutkiem i objawem tego rozwoju.

W rzeczy samej, co pozostawało liberalizmowi kadetów do czynienia po eksperymentach pierwszej i drugiej Dumy? Rola ich jako partji szczerych parlamentarnych konstytucjonalistów była całkowicie odegraną i skończoną, gdy chimeryczność parlamentarnego konstytucjonalizmu przy władzy, pozostającej w rękach absolutyzmu, wykazała się brutalnie w losach dwóch pierwszych Dum.

Jest rzeczą tanią piętnowanie haniebnej nędzy kadetów i upadku liberalizmu w trzeciej Dumie, albo nawet ich błędnej taktyki „unikania konfliktów“ z rządem w drugiej Dumie. Płodniejszym daleko dla partji proletariatu i bardziej oddalonym od iluzji tegoż liberalizmu jest uświadomienie sobie położenia rzeczy, które spowodować musiało z nieubłaganą logiką tę całą taktykę i końcowy głęboki upadek kadeckiego liberalizmu, skoro stanął on raz na stanowisku wyłącznie parlamentarnym, a jako partja inteligencji i drobnomieszczaństwa miejskiego oraz postępowej szlachty, wobec wysoce rozwiniętej walki klasowej w mieście i na wsi, na innym stanowisku stanąć nie mógł. Odpowiada to najzupełniej parlamentarnemu kretynizmowi burżuazyj-

nego liberalizmu, że szuka on przyczyn swego bankructwa w wszelkiego rodzaju zewnętrznych „przeszkodach“, jak np., w taktyce frakcji socjaldemokratycznej, która podług p. Milukowa i jego przyjaciół dawała rządowi preteksty do rozwiązania drugiej Dumy. I godnym uzupełnieniem tego liberalnego dalekowidztwa jest objaśnienie, dane przez część Socjaldemokracji rosyjskiej, że winą upadku rewolucji jest przecenienie swych sił przez proletarjat, który zaniedbał zawczasu zawarcia sojuszu z liberałami, w roli ich skromnego pomocnika. W rzeczywistości rzadko która partja parlamentarna cieszyła się bez żadnych zasług z swej strony takim poparciem ludności i wstępowała na scenę w tak szczęśliwych z e w n ę t r z n y c h warunkach, jak partja rosyjskich liberałów. Świetne zwycięstwa przy wyborach do pierwszej i drugiej Dumy, które im spadły na głowę na kredyt przyszłych bohaterskich czynów, silne stanowisko większości opozycyjnej, dzięki lewicy, w obu pierwszych Dumach stworzyło im pozycję parlamentarną, wyjątkowo świetną. Słaba strona pozycji tkwiła tylko w tym, że cały parlament, po zmiążdżeniu rewolucji ulicznej, wisiał w powietrzu, i przez to partja, która taki parlament chciała wziąć na serjo za podstawę przewrotu politycznego, spaść musiała wreszcie po swych liberalnych harcach napowietrznych głęboko w bagno reakcji. Pierwszym rezultatem eksperymentów kadeckich było raptowne usunięcie się szlachty ziemskiej od liberalizmu w stronę reakcji pod wpływem rozruchów rolnych i projektów agrarnych kadetów. Partja ta została zredukowaną do inteligencji burżuazyjnej i części miejskiego drobnomieszczactwa.

Gdy liberalizm, po doświadczeniach kadetów, utracił grunt pod nogami i utracić musiał wiarę we własne siły, utraciwszy ją w parlamentarne sposoby walki z absolutyzmem, gdy powziął, na zasadzie tych doświadczeń, zupełnie słuszne przekonanie, że parlamentaryzm „dumski“ istnieje sam tylko z łaski władzy rządowej, gdy spuścił się z pozycji walki z absolutyzmem do poziomu uległego pacholka biurokracji, przyszła kolej na rolę przodującą pałdziernikowców. Wystąpili oni zupełnie naturalnie na przednią scenę, gdy liberalizm w akcji kadetów stopniowo obniżył się sam do poziomu pałdziernikowców.

Na miejsce burżuazyjnej inteligencji i postępowej części szlachty, która w pierwszej fazie upatrywała swój ideał w parlamentaryzmie z podporządkowaniem zupełnie władzy wykonawczej pod prawodawczą, przy zachowaniu monarchicznej etykiety i liberalnym konserwatyzmie społecznym, wystąpiła partja wielkiej burżuazji przemysłowej, skrajnie kontrrewolucyjnej, ale zarazem rozumiejącej już od roku 1904 potrzebę „uspokojenia“ kraju i zabezpieczenia niezamąconego wyzysku przemysłowego i rolnego zapomocą konstytucji w rodzaju pruskiej. Ponieważ jednak klasa ta, zagrożona w swych interesach społecznych przez ruchy proletarjatu, gotowa była przyjąć porządek konstytucyjny podług swego serca tylko z rąk władzy rządowej, więc po wzmocnieniu stanowiska tej władzy i bankructwie akcji kadetów, polityka pałdziernikowców z kolei obniżyła się musiała do zupełnego lokajstwa względem „silnej władzy“. Nie

kusząc się zgóry o rozszerzenie praw Dumy, ani o postawienie jej na fundamencie form konstytucyjnych życia obywatelskiego w państwie, co było linią wytyczną polityki kadetów, październikowcy przeciwnie uznali i za możliwe i za pożądane jedynie zachowanie tej Dumy, w której sami stanowią miarodajną frakcję i tego prawa wyborczego, które umożliwiło ich liczebną przewagę. Ale zarówno interesy odporu przeciw akcji proletariatu, jak doświadczenia dwu Dum kadeckich doprowadzić musiały październikowców do wniosku, że utrzymać istnienie Dumy można tylko jedną drogą: przez porzucenie wszelkich zakusów opozycyjnych i przez bezwzględne popieranie polityki rządowej. Gdy więc Milukow i Spółka, po rozwiązaniu drugiej Dumy, publicznie wypierają się wspólności z Socjaldemokracją, aby odsunąć się od rewolucji i dowieść swej dojrzałości do koalicji z październikowcami, Guczkow i Ska zrywają wszelkie więzy z opozycją i odsuwają się ostentacyjnie od kadetów, aby dowieść swej dojrzałości do współdziałania z rządem. Pod ciśnieniem tych samych okoliczności, które spowodowały obsuwanie się liberalizmu kadetów, październikowcy obsuwają się zatył do szeregów prawicy — otwartych stronników absolutyzmu i po części otwartych wrogów Dumy. I oto trzecia Duma jest niepodzielnym panowaniem Stołypinowskiej władzy, opartym na koalicji wielkiej burżuazji z szlachtą ziemską pod znakiem kontrrewolucji, gdzie październikowcy głosują przeciw zasadom 30 października, gdzie kadeci, pozbawieni wszelkiej funkcji i straciwszy całkowicie orientację polityczną, hańbią się na każdym kroku zupełnie już bez widomego celu i gdzie minister carski Kokowcew wygłasza nareszcie w 3-iej Dumie jako tryumf kontrrewolucji publicznie to, co liberalizm omieszkiał wygłosić w interesach rewolucji przy wstępie do 1-szej Dumy: W Rosji niema parlamentu!

Kiedy przed pierwszą Dumą partja nasza głosiła, że Duma jest i może być w danyh warunkach tylko liściem figowym absolutyzmu, tylko „Dumą kozacką“, zdanie to wywoływało w części partji rosyjskiej oburzenie. Po świetnych tryumfach wyborczyh opozycji, zwłaszcza po grzmiących mowach frakcji socjaldemokratycznej i krasomówczyh rakietach kadeckiego liberalizmu w Dumie, wielu dawnych stronników bojkotu wyborczego uważało za potrzebne wyznać publicznie mylność swej poprzedniej taktyki i uznać Dumę za istotny ośrodek rewolucji i jej ataków na absolutyzm. Ale w końcu wykazało się raz jeszcze, że, jak to stwierdził Ferdynand Lassalle, „konstytucja“ to nie papier manifestów, tylko materialne ustosunkowanie się, które jest silniejsze od ideologicznych pozorów rzeczy. Czym jest i może być Duma w danej sytuacji politycznej, staje się jasnym dopiero, skoro rozpatrywać wszystkie trzy Dumy jako jedną całość, a tylko taki sposób ujęcia rzeczy odpowiada ciągłości politycznego ich rozwoju oraz daje możność zajrzenia w głąb pod powierzchnię wypadków i zrozumienia ich logiki. Rozpoczynwszy jako zgromadzenie o giestach i patosie Konwencji, Duma skończyła się wewnętrzną logiką stosunków jako ordynarny klub kontrrewolucji o tonie „prawdziwie rosyjskich ludzi“. Wyłuskawszy się z cienkich łupin ideologicznych liberalizmu, Duma wykazała swą istotną funkcję, jako „Duma

kozacka“, jako listek figowy absolutyzmu. To, co było jasnym zgóry jako wniosek z całego przebiegu pierwszego roku rewolucji, zostało teraz po trzech latach dowiedzione i wykazane faktami. Trzecia Duma wykazała – i na tym polega jej olbrzymia doniosłość polityczna – że parlamentaryzm bez uprzedniego obalenia rządu, bez osiągnięcia władzy politycznej przez rewolucję nie tylko nie jest w stanie starej władzy pokonać, jak się o to kuśiła pierwsza Duma, nie tylko nie może się utrzymać obok niej jako narzędzie opozycji, jak to próbowała druga Duma, ale może i musi się stać odwrotnie narzędziem kontrrewolucji. Trzecia Duma to najkrwawsza satyra zarówno na parlamentarne iluzje kadetów, jak i na liberalne iluzje części Socjaldemokracji rosyjskiej. O ile stan świadomości klas i partji mógł w danym razie wpłynąć na przebieg wypadków, iluzje te działały na rękę tylko absolutyzmowi.

III.

Przez trzecią Dumę rozwój rewolucji wraca więc znowu do tego węzła gordyjskiego, przed którym zatrzymał się w grudniu 1905 r., ale wraca zubożony doświadczeniem dwóch i pół lat klasowego rozwoju burżuazji. Pierwszym rezultatem tego rozwoju jest zmięcenie kadetów, jako partji postępowej inteligencji i drobnomieszczaństwa, stojącej klasowo między kontrrewolucyjną wielką burżuazją przemysłową oraz agrarjuszami a rewolucyjnym proletariatem, partji kompromisu politycznego między caratem a demokracją w postaci monarchji konstytucyjnej, stronnictwa, opartego ze strachu przed rewolucyjną masą ludową jedynie na parlamentarnych sposobach działania. Ale jeżeli pierwsza i druga Duma wykazała niezdolność kadetów do stworzenia konstytucyjno-demokratycznej monarchji, to trzecia Duma, w której panuje blok październikowców z prawicą, wykazuje niezdolność wielkiej burżuazji do stworzenia konstytucyjnej monarchji, przykrojonej choćby tylko do panowania klasowego kapitalistów i agrarjuszów na modłę pruską. Kapitulacja kadetów przed październikowcami, a październikowców przed prawicą, będąca w gruncie rzeczy kapitulacją drobnomieszczaństwa przed wielkim kapitałem przemysłowym, a interesów politycznych kapitału przed jego ekonomiczno-klasowymi interesami, jest to zarazem polityczne bankructwo monarchji konstytucyjnej jako celu, akcji parlamentarnej jako środka i burżuazyjnego liberalizmu jako wykonawcy tego programu. Wyniki te, uwytłumione i zrealizowane w trzeciej Dumie, powodują ów stan przygnębienia, panujący obecnie nad umysłami, wywołując zewnętrzne wrażenie, jakoby sprawa rewolucji po eksperymentach pierwszej, drugiej i trzeciej Dumy utkwiała w położeniu bez wyjścia. W istocie utkwiał tylko liberalizm i właśnie w beznadziejności rezultatów politycznych trzech Dum tkwi gwarancja dalszych widoków rewolucji. Gdyby akcja burżuazyjnego liberalizmu potrafiła przy pomocy Dumy stworzyć i utrzymać jakikolwiek, słaby bodaj konstytucjonalizm, któryby istotnie ograniczył w pewnej mierze absolutyzm i zabezpieczył, choć jako tako, normalny układ stosunków klasowych, odpowiadający wymaganiom nowożytnego burżuazyjnego

państwa, wówczas sprawa rewolucji i radykalnego przewrotu politycznego mogłaby bodaj że usnąć na długo i ustąpić miejsce powolnej walce klas w formach parlamentarnych. Ale ponieważ najślabszy konstytucjonalizm, nawet październikowska jego edycja, nie zdołał się urzeczywistnić, to jest ponieważ zadania historyczne rewolucji nawet w najmniejszej częściowej mierze nie są dokonane i w obecnej sytuacji dokonane być nie mogą, zatem droga kompromisowego rozwiązania ich jest odcięta i pozostaje jako jedyna możliwa droga — radykalny przewrót drogą akcji masowej i przy pomocy dyktatury rewolucyjnej proletariatu pod hasłem republiki demokratycznej. Kwestja, jak, w jakiej chwili, w jakich formach poszczególnych ten ruch masowy przy obecnym zupełnym napózór zgnębieniu może nanowo powstać, w jakich okolicznościach może on osiągnąć tak radykalne rezultaty, jest rzeczą podrzędnej wagi i osobistego poglądu.

Dla Socjaldemokracji, jako partji proletariatu, decydującym jest fakt, że w danych warunkach klasowo-politycznych Rosji akcja rewolucyjna i zwycięstwo proletariatu stały się koniecznością historyczną, dokładnie w tej samej mierze, w jakiej koniecznością historyczną jest zniesienie absolutyzmu, mianowicie jako skutek nieodwołalny i warunek kapitalistycznego rozwoju Rosji. Ten sam rozwój kapitalistyczny, który uczynił niezbędnym nowożytny ustrój burżuazyjny i obecną „rewolucję burżuazyjną“ w Rosji, uczynił zarazem, jak dzieje 3-ich lat ostatnich wykazały, rewolucyjne zwycięstwo i dyktaturę proletariatu niezbędnym narzędziem tej rewolucji. Ci z socjaldemokratów rosyjskich, którzy upatrują centralny punkt taktycznych zagadnień w rozstrzygnięciu kwestji, czy rewolucja obecna jest burżuazyjną czy socjalistyczną, popełniają błąd nie tyle już przez sztywne przeciwstawianie logiczne tego, co stanowi najwyższą dialektyczną sprzeczność historycznego rozwoju w obecnej fazie, ile przez to, że nie uświadamiają sobie warunków istotnych i logiki wewnętrznej nawet burżuazyjnej rewolucji, że rozumują o niej na zasadzie martwego schematu, zmyślnego w gabinecie, a nie na zasadzie żywych nauk historycznego doświadczenia. Warto wobec tego uprzytomnić sobie dzieje najburżuazyjniejszej z rewolucji i najburżuazyjniejszej z republik — francuskiej.

Podług oficjalnych historyków i w opinji publicznej całej burżuazyjnej Europy dzieje Wielkiej Rewolucji dzielą się jak wiadomo na dwie epoki: „dobrą“, o której się mówi z sympatją i uznaniem a która obejmuje lata 1789 — 1791 i „niegodziwą“, o której się mówi ze zgrozą, mając na oku głównie rok 1793. Podług liberalnej teorii właśnie rok 1793 i „ekscesy“ jakobinizmu, szaleństwa „motłochu paryskiego“ zgubiły dzieło rewolucji, wywołując swą akcją, wybujałą poza wszelką miarę i granicę, nieuniknioną reakcję, epokę Dyktatoratu, a wreszcie dyktaturę żołnierską Napoleona i cesarstwo. Materjalistyczne pojmowanie dziejów pozwoliło już oddawna zrozumieć, że „ekscesy“ jakobinizmu były całkiem naturalnym objawem dążenia ludu pracującego, obudzonego w swych instynktach klasowych przeciw społeczeństwu burżuazyjnemu, ale nie sformowanego

jeszcze w świadomy klasowo proletarjat, nie oddzielonego od drobniomieszczaństwa i jego iluzji, — dążenia tego ludu do przewyciężenia burżuazyjnego panowania, właśnie kiedy miało się ono na dobre rozpocząć. Dyktatura jakobinów, wybuchy teroru były rozpaczliwymi próbami utrzymania się przy władzy warstwy, którą stosunki społeczne skazywały przez więcej niż stulecie jeszcze na chodzenie raczej w jarzmie burżuazyjnego społeczeństwa, miast panowania nad nim. Ale bardziej pouczającą w danym razie jest inna strona rzeczy: mianowicie fakt, że ta skazana zgóry na fiasko utopijna dyktatura ludu paryskiego, będąca beznadziejnym szamotaniem się z koniecznością historyczną burżuazyjnego panowania, sama posłużyła za najskuteczniejsze narzędzie do umocowania tego panowania. Nie przez reakcję i skupienie odporne, które wywołała w społeczeństwie burżuazyjnym, tylko przez ten właśnie radykalizm, z jakim obroniła dzieło rewolucji burżuazyjnej.

Jak Konwencja musiała nastąpić po Zgromadzeniu Konstytuującym i Prawodawczym i ogłosić 22 września 1792 republikę nie dlatego, iżby monarchja konstytucyjna wydawała się już niewystarczającą, tylko dlatego, że umiarkowane mieszczaństwo liberalne nie umiało zabezpieczyć nawet konstytucji monarchicznej przeciw zagrażającym jej knowaniom kontrrewolucji, tak z Konwencji musiał się z kolei wyłonić Komitet Zbawienia i Trybunał Rewolucyjny nie dlatego, że były one potrzebne do urzeczywistnienia beznadziejnej utopji społecznej Saint Justa, ile dlatego przedewszystkim, że stale zagrożonym było samo istnienie republiki. Twórcy i obrońcy republiki, jakobini, zginęli wprawdzie wraz z nią niebawem pod gruzami, ale ich dzieło historyczne zostało, mimo, że forma jego była na długi przeciąg czasu strzaskana. Dziś, z perspektywy stulecia, jasnym jest, że tylko dyktatura ludu paryskiego i jej bezwzględny radykalizm rewolucyjny zdołał wywabić z gruntu społecznego siły i środki do zburzenia doszczętnego starej feodalnej Francji i wstrząśnienia starej feodalnej Europy, do obrobienia nowożytnego społeczeństwa burżuazyjnego, zrodzonego w burzy rewolucyjnej, przeciw intrygom dynastji, knowaniom emigracyjnej szlachty, spiskom kleru, powstaniu Wandei, zdradzie generałów, oporowi samej wylekłej burżuazji, rokoszowi sześćdziesięciu departamentów i głównych miast prowincjonalnych, koalicji całej Europy monarchicznej. Dyktatura ludu paryskiego była chybiona i utopijna w swych celach. Ale bez niej nie byłoby pierwszej republiki we Francji. I bez ciśnienia ludu paryskiego nie byłoby roku 1848 i drugiej republiki. Utopijny ideał „republiki socjalnej“ działał w dalszym ciągu, jako powijak ideologiczny, pod którym proletarjat francuski wydobywał na świat republikę burżuazyjną. Jakkolwiek spisek Babeufa, jako ostatni podryg jakobinizmu już po jego obaleniu, był sam w sobie przedsięwzięciem jeszcze bardziej beznadziejnym i utopijnym, niż dyktatura Konwencji, i on odegrał w związku z całą epopeją 1793 roku olbrzymią rolę w dziejach następnych walk klasowych. Ideje babuwizmu i roku 1793 panowały wszechwładnie nad umysłami radykalnej demokracji i proletariatu we Francji w 30-tych i 40-tych latach, one były szkołą polityczną i tradycją rewolucyjną

tego proletariatu, który w 1848 r. z nieśmiałej reformy konstytucyjnej liberalnego mieszczaństwa, tym razem już w przeciągu paru dni, uczynił swym parciem radykalny przewrót polityczny i narodziny drugiej republiki. I znowu utopja „republiki socjalnej“ została niebawem zatopiona we krwi ofiar rzezi czerwcowych, a wraz z przodnictwem kilkomiesięcznym proletariatu upadło dzieło jego — druga republika. Ale historia powołała proletariata francuskiego po raz trzeci do roli egzekutora rewolucji burżuazyjnych, czyniąc go twórcą komuny paryskiej r. 1871 i — dzisiejszej republiki we Francji. Trzecia republika, którą najwygodniej jest objaśniać oczywiście jako rezultat naturalny, wynikły sam przez się z moralnej i wojennej ruiny drugiego cesarstwa w wojnie z Prusami, była w rzeczywistości wynikiem daleko głębszych przyczyn — przedewszystkiem Komuny paryskiej w związku z rezultatami całego stulecia rewolucji. Republikańska konstytucja i republikański rząd dzisiejszej Francji wyszły, co należy pamiętać, z łona Zgromadzenia Narodowego o większości monarchicznej. I jak wybory lutowe 1871 dały przewagę monarchistom, tak w całej polityce tego zacnego Zgromadzenia, które przez cztery lata trzymało ster polityczny Francji w swych dłoniach, panowała, zwłaszcza po zmiążdżeniu Komuny, najkrwawsza, najwścieklejsza reakcja. Nastrój polityczny tej Francji burżuazyjnej, Francji Thiersa i Favra, sformułował w klasyczny sposób Juljusz Guesde w swym pamiętnym pamflecie z r. 1872, piętnującym zbrodnie wersalczyków, gdzie nazwał ją „republiką bez republikanów“. Francja burżuazyjna w r. 1871 była taksamo republiką bez republikanów, jak nią była w r. 1792 i 1848. I jeżeli mimo to ta sama reakcyjna i monarchiczna burżuazja ufundowała trzecią republikę tym razem już na stałe, to najgłówniejszą tego przyczyną był, z jednej strony — strach przed proletariatem, było przeświadczenie po stuleciu rewolucji, że nawet ten powalony czasowo proletariata nie da się już ugłaskać inaczej, jak republikańską konstytucją, z drugiej strony — pewność, że ten zmiążdżony proletariata nie zdoła tym razem ująć w swe dłonie steru republiki dla zaniepokojenia społeczeństwa burżuazyjnego swemi „socjalnemi“ mrzonkami i przewrotowemi aspiracjami. Tę tajemnicę obecnej trzeciej republiki wypowiedział głośno „Rappel“ w dniu 4 stycznia 1874, pisząc: Robotnicy znoszą swą nędzę ze spokojem dlatego, że rząd nazywa się republiką, „to słowo wywiera wpływ magiczny na umysły robotników, ta ułuda trzyma ich w nadziei“.

I na tej samej „ułudzie“, mającej trzymać na wodzy walkę klasową proletariatu, osłonić przed nim antagonizmy klasowe, zbudowana została ta nowa partja republikańska oportunistycznej burżuazji, która zainaugurowała niepodzielne panowanie klasowe burżuazji w trzeciej republice, a której Gambetta w r. 1874 dał program w trzech słowach: republika jest to aljans burżuazji z proletariatem. Kilka lat zaledwie wystarczyło w tych okolicznościach, przy dziesięcioletnim niemal obozwładnieniu proletariatu francuskiego, aby republika istotnie już wyłupiła się całkowicie z urojonych osłonek ideału „społecznej równości“ i aby wyszło na światło dzienne

w całej prozie jej jądro właściwe — panowanie burżuazyjne. Porządek republikański tym samym znalazłszy swą treść właściwą, zdobył i utrwalił ostatecznie swą rację bytu we Francji.

W ten sposób dzisiejsza arcyburżuazyjna republika francuska jest, biorąc rzecz historycznie, dziełem trzykrotnej akcji rewolucyjnej proletariatu, ba — dzisiejszy republikanizm burżuazyjny we Francji jest sam wytworem historycznym paru niewczesnych dyktatur proletariatu. Z czego wypływa nie tylko ten wniosek, że najzwyczajniejszą nawet „burżuazyjna rewolucja“ tylko przy pomocy najradzykalniejszej akcji rewolucyjnej proletariatu jest w stanie osiągnąć i utrzymać swoje skromne rezultaty, ale i ten, że logika wzajemnego stosunku historycznego proletariackiej akcji klasowej a burżuazyjnego liberalizmu zgoła inaczej się układa, niż w schemacie jednej części rosyjskiej Socjaldemokracji.

Podług schematu tego w rewolucji burżuazyjnej burżuazja jako rzeczniczka rozwoju kapitalistycznego jest wyrazicielką liberalizmu i jako taka powołuje proletariata do pomocy w walce przeciw starymu porządkowi politycznemu. „Liberalizm“, a także republikanizm burżuazji jest tu traktowany, jako coś skrzepłego, określonego, zgóry danego. Już w pobieżnym rzucie oka na przebieg rewolucji francuskich widzimy, że rzeczywistość pokazuje pod tym względem daleko więcej życia, odmiany i rozwoju. Widzimy, że we Francji burżuazja, rozpoczynając od bardzo umiarkowanego liberalizmu, dopiero przez akcję rewolucyjną masy ludu roboczego popychana była do skrajnego republikanizmu, aby się od niego cofnąć znowu do najumiarkowanego liberalizmu po zdławieniu rewolucji, aż wreszcie wiekowe prawie parcie proletariatu wychowało dzisiejszą republikańską burżuazję. W rewolucji obecnej, jako ostatnim odgłosie szeregu rewolucji burżuazyjnych, rozwój polityczny burżuazji już zgóry posuwał się zupełnie nie podług schematu. W Polsce, na Litwie i w innych krajach ościennych liberalizm wogóle nie istnieje, natomiast istnieje jedna reakcyjna masa szlachecko-burżuazyjno-drobnomieszczańska o rozmaitych tylko odcieniach, których mocne zróżniczkowanie i otwarte zaakcentowanie jest jedynym dziełem rewolucyjnego okresu. W Rosji zaś nie liberalizm burżuazyjny wywołał rewolucyjną akcję proletariatu, tylko naodwrot powstanie rewolucyjne proletariatu wywołało zasługujący jako tako na to miano liberalizm burżuazji: kadeci, październikowcy, grupa pokojowego odrodzenia itd. są wytworami a nie twórcami rewolucji 1905 r.

Bezwarunkowo, ta sama akcja rewolucyjna proletariatu działa i odwrotnie na liberalizm klas burżuazyjnych, paraliżując go i rzucając w objęcia kontrrewolucji. Ale jest to właśnie dialektyczna strona rewolucyjnego rozwoju, posuwającego się w sprzecznościach, a którą zrozumieć można i ująć, jako czynnik niezbędny w rachubach politycznych proletariatu, jeśli zdamy sobie sprawę z istotnej zawartości liberalizmu burżuazyjnego, wpływającego z danych warunków historycznych. Liberalizm burżuazji przy obecnych stosunkach społecznych, wobec rozwiniętej wysoce walki klasowej, jest to nic innego jak dążenie do likwidowania akcji rewolucyjnej proletaria-

rjatu, do likwidowania jej jaknajwcześniej i zredukowania jej rezultatów na miarę interesów klasowych burżuazji. Powstawszy w r. 1904, jako odgłos olbrzymich strejków powszechnych, demonstracji i wrzenia masy robotniczej w latach 1902—1904, liberalizm „bankietowy” późniejszej partji kadeckiej ofiaruje już swoje usługi w celu zrealizowania i zarazem przytłumienia rewolucyjnego ruchu proletariatu, że jednak ofiaruje się zawcześnie i absolutyzm, ufny jeszcze w swoje siły, odrzuca te usługi, więc pierwiosnek liberalny wędnie raptownie w końcu 1904 r. Wznowiona akcja rewolucyjna proletariatu w r. 1905 wywołuje nowe ożywienie liberalizmu i nowe nadzieje. Partja kadecka wierzy w możliwość zrealizowania walk i ofiar robotniczych w formie portfelów ministerjalnych i ofiaruje po raz wtóry swoje usługi. Że zaś absolutyzm i tym razem jeszcze polega więcej na bagnietach, niż na kadeckich ministrach, więc liberalizm burżuazyjny znowu kończy swą rolę bankructwem, czego wyrazem jest trzecia Duma. Atoli pogląd, jakoby burżuazja rosyjska niezdołną była raz na zawsze do bardziej liberalnego stanowiska, byłby zgoła mylny. Karjera polityczna burżuazji w Rosji bynajmniej nie jest skończona, raczej zaledwie rozpoczęta. Będąc sama nie prowodyrem walki, tylko pasożytem zarówno rewolucyjnego proletariatu, jak kontrrewolucyjnego absolutyzmu, umie ona i musi dostrajać swą fizjonomję polityczną do każdorazowej sytuacji, i o tyle zawierają jądro prawdy horoskopy Danów, Czerewaninów i t. d. Tylko że horoskopy te stawiane są do góry nogami: nie przebudzenie się ponowne burżuazyjnego liberalizmu jest warunkiem wznowienia rewolucji, lecz naodwrot, wznowiona akcja rewolucyjna proletariatu, jej spotęgowanie i jej zwycięstwo doda nanowo bodźca liberalizmowi.

Skoro istotna władza polityczna absolutyzmu padnie w gruzy pod ciosami masowego powstania proletariatu i liberalizm będzie historycznie niezbędną formą burżuazyjnego dążenia do zeskamotowania zdobyczy proletariatu, liberalizm ten zakwitnie bodaj nawet wśród łódzkiej burżuazji Poznańskich, Silbersteinów i Szeiblerów.

Obecna rewolucja w Rosji reasumuje i rezultaty i zadania wszystkich rewolucji nowoczesnych w zachodniej Europie. Przednią część proletariatu polskiego i rosyjskiego staje do walki odrazu już bez złudzeń tak co do jakobińskich metod działania zapomocą panowania „rewolucyjnej mniejszości”, jak co do możliwości natychmiastowego usunięcia burżuazyjnego panowania i zaprowadzenia „społecznej równości”, jak wreszcie co do cudotwórczych własności republikańskiej formy rządu. Wie ona, że, przeciwnie, republika jest sama tylko najwyższą formą polityczną dojrzałego burżuazyjnego społeczeństwa. Wszakże brak iluzji nie tylko nie osłabia rewolucyjnej siły proletariatu, lecz owszem potęguje ją. Proletariat w państwie rosyjskim nie oczekuje ostatecznego zbawienia od republiki, ale uważa ją za niezbędne narzędzie do tego zbawienia. Dalej dzisiejsza klasa robotnicza nie może łudzić się, że, obaliwszy absolutyzm i osiągnąwszy dyktaturę na czas pewien, zaprowadzi ustrój socjalistyczny. Przewrót socjalistyczny może być tylko wynikiem rewolucji międzynarodowej i rezultaty, które proletariat w Rosji po-

trafi osiągnąć w obecnej rewolucji, zależą, nie mówiąc już o stopniu rozwoju społecznego Rosji, od stopnia i formy rozwoju, jakie osiągną do owego czasu stosunki klasowe i akcja proletariatu w innych krajach kapitalistycznych. Lecz niemniej jest jasnym, że wzajem osiągnięcie władzy politycznej, choćby czasowe, przez proletariata rewolucyjny w Rosji będzie olbrzymim bodźcem dla międzynarodowej walki klasowej. Dlatego klasa robotnicza w Polsce i w Rosji może i musi z całą świadomością dążyć do pochwylenia władzy, aby zdobywszy ją, nie tylko dokonać bezpośrednich zadań rewolucji obecnej — urzeczywistnić wolność polityczną w państwie rosyjskim, ale zarazem przez zaprowadzenie 8 godzinnego dnia roboczego, przewrót w stosunkach agrarnych itd., słowem, przez możliwe urzeczywistnienie swego programu zadań, możliwie głębokie ciosy panowaniu burżuazji i w ten sposób przyspieszyć międzynarodowe jego obalenie.

Kłopotać się o to, aby rewolucji obecnej zachować jej właściwy „burżuazyjny“ charakter, jest całkowicie zbytecznym zadaniem dla proletariatu. Burżuazyjny ten charakter wyrazi się w tym, że proletariatowi nie uda się utrzymać przy władzy, że będzie on z niej prędzej czy później strącony przez kontrrewolucyjną akcję i burżuazji i właścicieli ziemskich i drobnomieszczaństwa i dużej części włościaństwa. Być może, że w końcu, po obaleniu proletariatu, zginie i republika i nastąpi na dłuższy czas panowanie najumiarkowańszej monarchji konstytucyjnej. Bardzo być może. Ale położenie klasowe jest takie, że dziś w Rosji nawet do umiarkowanej monarchicznej konstytucji droga prowadzi przez akcję rewolucyjną i dyktaturę republikańską proletariatu. Wykazanie tego rezultatu jest dziełem historycznym pierwszej, drugiej i trzeciej Dumy. A i ta umiarkowana monarchja konstytucyjna, która by zapanowała w Rosji po dyktaturze i strąceniu z niej proletariatu, chowałaby pod wsteczną formą polityczną tak dojrzałe i zrewolucjonizowane stosunki klasowe w swym łonie, że spokojne i normalne panowanie burżuazji, oparte na tych stosunkach, byłoby gmachem, wzniesionym na gruncie wulkanicznym.

Powyzsze perspektywy rewolucji wskazują proletariatowi nie tylko zwycięstwa, ale i porażki. Wszakże inną drogą cały proletariata międzynarodowy do swego ostatecznego zwycięstwa kroczyć nie może, o ile sobie przewrotu socjalistycznego nie przedstawiamy jako nagły wyskok, dokonany w 24 godzin, lecz raczej jako mniej lub więcej długi okres historyczny burzliwych walk klasowych z krótszemi i dłuższemi przerwami. Perspektywy te nie tylko nie mogą odbierać odwagi przedniej straży proletariatu niezmiernym ogromem zadań, przechodzących na pozór jego siły, zwłaszcza w obecnym okresie tryumfującej kontrrewolucji i zupełnego zdławienia masy. Przeciwnie, tylko mocne przeświadczenie o wielkości i historycznej niezbędności tych zadań może wlać nanowo siłę, odwagę i ufność w szeregi proletariatu. Ten fakt, że cały dotychczasowy przebieg rewolucji, mianowicie zaś logika wewnętrzna ostatniej doby kontrrewolucyjnej wykazuje wzniesienie nanowo rewolucyjnej akcji proletariatu i jego zwycięstwo jako konieczność historyczną, bo jedyną drogę do urzeczywistnienia zadań samej rewolucji, ten fakt wystarcza, aby dać

przodującej części proletariatu spiżowe przekonanie, że akcja ta nastąpi i że zwycięstwo będzie. A tę świadomość dać masom, wyjaśniając im logikę historyczną ostatnich dziejów rewolucji, stanowi maximum tego, co Socjaldemokracja w tej chwili uczynić może, ale zarazem minimum tego, co jest jej obowiązkiem.

Mówiliśmy cały czas tylko o proletariacie, nie wspominając o włościaństwie. Nie dlatego, że w Polsce ruch włościański, jako osobliwy ruch rewolucyjny nie istnieje. W Rosji gra on rolę czynnika rewolucyjnego pierwszorzędnej wagi i kwestja rolna wplotła się już w dzieje dotychczasowe rewolucji nierozdzielnie. Kto chce sięgać okiem w przyszłe zewnętrzne widoki dalszej walki, musi brać pod uwagę obok ruchów robotniczej masy miejskiej, przede wszystkim ruchy ludu wiejskiego. Atoli skoro chodzi nie o widoki zewnętrzne, tylko o wytyczne polityki rewolucyjnej i jej kierunku, to dla Socjaldemokracji może być miarodajną tylko samodzielna polityka klasowa proletariatu. Zadaniem partji proletariatu jest możliwe popieranie ruchu chłopskiego i kierowanie nim, dążenie do tego, aby o ile można stanąć na jego czele, pociągać go za sobą. Atoli przez współdziałanie w burzy rewolucyjnej nie wytwarza się jeszcze wspólnota ani tożsamość świadomej polityki. Ruch chłopski w Rosji, z rozmaitych czynników, interesów i warstw wypływający, nie może być z natury rzeczy identycznym z określoną i stałą polityką klasową proletariatu, która w swych celach wytycznych wychodzi daleko poza najrewolucyjniejsze rozpędy chwilowe ruchu chłopskiego. Ująć możliwie te rozpędy pod swoje żagle, wyzyskać stronę rewolucyjną kwestji rolnej w interesach całości ruchu, dając jej rozwiązanie, zgodne z rozwojem społecznym i interesami rewolucji, oto kardynalne zadanie proletariatu. Ale dokonanie samego przewrotu politycznego, określenie jego zadań i wypełnienie ich nie może polegać na aljansie proletariatu i włościaństwa, jak wogóle nie może być dziełem świadomych aljansów. Wspólna a jednolita akcja w takich razach może polegać na nieświadomym politycznym stopieniu różnych warstw społecznych, jak to miało naprzykład miejsce w Wielkiej Rewolucji Francuskiej oraz w pierwszej fazie rewolucji 1848, gdzie proletariąt z miejskim drobnomieszczaństwem działał jako jedna niezróżniczkowana masa „ludowa“. Takiego rodzaju współdziałanie z włościaństwem jest oczywiście dla dzisiejszego świadomego proletariatu w Rosji niemożliwością. Świadomy klasowo proletariąt może i musi tylko dążyć, opierając się na ruchach rewolucyjnych innych warstw ludowych, do wykonania własnej misji, do narzucenia całości ruchu własnej polityki, do samodzielnego kierowania całą masą armji rewolucyjnej i do zdobycia władzy w swoje dłonie, gdyż tylko świadoma politycznie, z natury swej rewolucyjna i samodzielna klasa potrafi, zdobywszy władzę, dokonać to, co stanowi bezpośrednio zadanie historyczne rewolucji i zarazem posunąć dzieło jej do tego skrajnego punktu, na jaki pozwoli sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa walki klasowej.

Koło Polskie w rosyjskiej Dumie.

Napisał G. Aleksinski.

„I szlachetny człowiek może być niewolnikiem okoliczności; kto jednak staje się lokajem okoliczności, ten nie jest człowiekiem szlachetnym“.

Ludwik Börne.

I.

Przy zaznajamianiu się z niedługą, lecz pełną wydarzeń historją rosyjskiego „parlamentaryzmu“, do rządu spraw najciekawszych i najbardziej złożonych wypada zaliczyć działalność „przedstawicieli narodu polskiego“ — miano, jakie nie bez śmiałości, nadają sobie członkowie Koła Polskiego w Dumie Państwowej.

Zdaje mi się, iż zrozumieć i wytłumaczyć tę działalność, odsłonić jej wewnętrzne i podstawowe przyczyny można jedynie wówczas, gdy się ją rozpatruje z klasowego punktu widzenia. Jeżeli się porzuci to stanowisko, to natychmiast zatraci się wszelką możność logicznego i politycznego objaśnienia polityki posłów polskich w rosyjskiej Dumie Państwowej, i polityka ta stanie się zupełnie niezrozumiałą, bezcelową i pozbawioną jakiegokolwiek treści wewnętrznej.

W rzeczy samej, wyobraźmy sobie świadomego nacjonalistę, t. zn. człowieka, dla którego kwestja narodowościowa jest najważniejszą dźwignią rozwoju społecznego i który, stosując tę nacjonalistyczną miarkę do Polski, uważa, iż ruch polityczny musi tu również czerpać swe siły w pierwszym rządzie ze źródła patryjotyzmu i ukształtować się w formę walki o samodzielność narodową. Jakież stanowisko powinien zająć taki nacjonalista wobec instytucji w rodzaju ogólnopństwowej Dumy? Jeżeli jest on człowiekiem konsekwentnym, to, moim zdaniem, ma dwa możliwe wyjścia: albo zdecydowany bojkot instytucji ogólnopństwowej z przeciwstawieniem jej odrębnej konstytucji dla niepodległej Polski, albo uczestniczenie w ogólnopństwowej reprezentacji lecz z tym jedynie celem, by z wszechrosyjskiej trybuny wypowiedzieć całą swą nienawiść i oburzenie przeciwko uciskowi narodowemu, by wobec ciemniejszej władzy centralnej zająć stanowisko najbardziej radykalne, niezłomne i zdecydowane, stanowisko nieznające wahań, ustępstw i kompromisów.

I oto, jeżeli ktoś, stojący na takim nacjonalistycznym punkcie widzenia pocznie badać działalność polskiej reprezentacji w Dumie Państwowej, to wypadnie mu doświadczyć niemałego zdziwienia. Spoztrzeże przed sobą ludzi, którzy do ogólnopństwowej instytucji reprezentacyjnej wstąpili, jako posłowie ciemniejszego narodu. Z ust ich usłyszy nieskończone mowy, całe potoki słów o miłości względem „uciskanej“ ojczyzny, o cierpieniach, jakie przechodzi ona pod niepohamowaną samowolą caratu, o konieczności wyzwolenia jej z tego ucisku. Jednocześnie zaś zauważy, że ludzie ci w swej polityce praktycznej, którą prowadzą — ich zdaniem — w imieniu „całego uciskanego narodu“ — są najwyraźniej zdrajcami tego narodu, najbardziej otwartymi pomocnikami tej właśnie władzy państwowej,

która gwałci i katuje ich „kraj rodzimy“, ich „ojczyznę“. Ciągłe ustępstwa na rzecz caratu, nieustanny kompromis z nim we wszystkich najważniejszych sprawach — w sprawach potu i krwi ludowej, w sprawach ujarzmania narodowościowego — oto niezmienny obraz polityki „posłów ciemzonego narodu“.

Przekonany jestem, iż człowiek, stojący na punkcie widzenia nacjonalizmu, nie jest w stanie dać historyczne i naukowo-społeczne objaśnienie tej niby sprzeczności, nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego teoria odrodzenia narodowego i narodowej odrębności przekształca się w praktyce w najmarniejszy i najbardziej niepożądany kompromis, w politykę najzupełniej sprzeczną z podstawowymi interesami tak wielce „ukochanego narodu“. Jedyne w tym wypadku możliwe dla historyka-nacjonalisty tłumaczenie — to tłumaczenie przez osobiste właściwości poszczególnych osób, argumenty ad hominem, nieprzekonywujące odwołanie się do tego, iż idea patriotyzmu jest sama w sobie rzeczą najlepszą, a tylko dani przedstawiciele narodu nie zdołali idei tej należycie wyrazić i obronić, okazali się marnymi patriotami, czy nawet zdrajcami.

Takie jednakowoż tłumaczenie, sprowadzające całą sprawę do cech osobistych i wypadkowych okoliczności, jest — rzecz prosta — zupełnie antihistoryczne, odbiera możliwość wyprowadzania ocen ogólnych, nie pozwala orjentować się w zamęcie postępów indywidualnych i poszczególnych faktów; usuwając człowiekowi wszelki grunt z pod nóg, czyni go niezaradnym i jako badacza i jako bojownika. Widoczną jest więc potrzeba innej wykładni, potrzeba takiego punktu orjentacyjnego, który pozwalałby sprowadzić do wspólnej podstawy wszystko doraźne i przypadkowe. Taki właśnie punkt widzenia daje nam teoria walki klas, marxowska teoria materializmu ekonomicznego. Jedyne przyjąwszy tę teorię, będziemy w stanie zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób zjawiska w rodzaju patriotyzmu i nacjonalizmu w ostrych konfliktach walki klasowej bądź rozkładają się, bądź też przystosowują do interesów klasowych określonej warstwy społecznej, jak to się stało właśnie z nacjonalizmem polskim, który przystosował się do potrzeb polskiej burżuazji ¹⁾.

II.

Rozumie się samo przez się, iż żaden socjaldemokrata, stojący na stanowisku marxizmu i uznający je za jedyne racjonalne, nie ma jednak prawa żądać przez to od swych słuchaczy i czytelników, aby mu wierzone na słowo. Przeciwnie: właśnie marxizm, jako teoria czynu i walki, mniej niż jakikolwiek inny system zdolny jest do zaspakajania siebie oderwanymi, dogmatycznymi tezami albo symbolem wiary, i jako naczelne zadanie stawia sobie ciągłe spraw-

¹⁾ Ten fakt przystosowania wyraźnie zaznaczony jest, jak czytelnicy pamiętają, w doskonałym artykule tow. W ara w Nr. 1 „P. S.“; autor stwierdza, iż „nacjonalizm przystosował się nie tylko do przeciwniepodległościowego rozwoju kapitalizmu polskiego, ale i do mieszczańsko-szlacheckiej reakcyjności w Polsce... Burżuazja polska znalazła w nacjonalizmie doskonały środek przeciw rewolucji proletariatu“. (P. S. Nr. 1, str. 7–8).

danie swych podstawowych zasad przez probierz rzeczywistości. Dlatego też i ja, twierdząc, iż słuszna ocena działalności przedstawicielstwa polskiego w Dumie możliwa jest li tylko z punktu widzenia interesów i stosunków klasowych, uważam za konieczne uzasadnić pogląd ten faktami i dowieść jego prawdziwości.

Rzecz prosta, że w niewielkim artykule nie da się wyczerpać cała obfitość odnośnego materiału, którym rozporządzamy: wypada czynić wybór, ograniczając się do najbardziej wartościowego i koniecznego. Z tego właśnie względu poprzestanę na materiale, jaki daje historia drugiej Dumy. Czynie to nie dlatego jedynie, iż fakty z jej życia znane mi są bezpośrednio, jako uczestnikowi tego życia, lecz również i dlatego, iż, moim zdaniem, są one nadzwyczaj charakterystyczne i stanowią najlepszy materiał dla ogólnego sądu o polityce Koła Polskiego w rosyjskim „parlamencie“. Przedewszystkiem więc do drugiej właśnie Dumy narodowcy polscy wnieśli swój projekt autonomji Polski, wypowiadając się tym samym oficjalnie w najważniejszej sprawie swego programu.

Następnie, w drugiej Dumie sytuacja ogólna była właśnie tego rodzaju, iż ściślej i lepiej, niż w Dumach pierwszej i trzeciej, określony był tam ciężar gatunkowy rozmaitych partji, — a więc i Koła Polskiego również, — oraz uwydatniona była ich stosunkowa wartość polityczna dla rewolucji i reakcji. Tłumaczy się to przez swoiste ustosunkowanie sił w drugiej Dumie, które doprowadziło do tego, iż centrum dumskie, składające się z kadetów i Koła Polskiego, musiało otwarcie i wyraźnie określić swe stanowisko względem prawicy i lewicy, względem reakcji i rewolucji, rządu carskiego i walczących przeciw niemu mas. Podczas gdy w pierwszej Dumie centrum kadeckie razem ze zbliżonym doń Kołem Polskim i innymi grupami tworzyło absolutną większość, dającą mu możność przeprowadzania swej własnej polityki, bez konieczności uciekania się do pomocy ze strony skrajnej prawicy lub lewicy, to w drugiej Dumie sprawa się miała zupełnie inaczej. Istniała w niej poważna lewica, licząca przeszło 200 posłów (65 socjaldemokratów, 35 socjalistów-rewolucjonistów, 15 – 20 socjalistów ludowych, około 100 trudowików i bezpartyjnych lewicowców); prawica była też ilościowo pokaźną, dochodząc do 100 osób (październikowców i czarnosecińców). W takiej sytuacji kadeci, których było koło setki i sąsiedzi ich — polscy narodowcy mieli możność przeprowadzenia tej lub innej uchwały jedynie pod warunkiem porozumienia z lewicą lub prawicą. Z drugiej strony w starciach pomiędzy lewicą i prawicą wynik zależał od tego, komu oddadzą swe głosy kadeci i narodowcy, a pierwszorzędnej wagi decyzje Dumy zależały czasem nawet od zachowania się poszczególnej grupy. Tak stało się np. z kwestją kontyngentu rekruta, kiedy to Koło Polskie odegrało rolę jednego z głównych czynników na rzecz zdradzieckiej i reakcyjnej uchwały. Dlatego też właśnie na zasadzie materiału z działalności drugiej Dumy oraz statystyki jej głosowań można nadzwyczaj dokładnie rozwiązać kwestję, kto w Dumie był stronnikiem rewolucji, a kto jej wrogiem, rozwiązać ją i w stosunku do narodowców.

Istnieje, wreszcie, jeszcze jeden wzgląd, który skłania mnie do wzięcia dla oceny dumskiej polityki narodowców zachowania się ich w drugiej Dumie. Toż przecież właśnie w związku z drugą Dumą powstało w rosyjskiej Socjaldemokracji pytanie o naszym stosunku względem Narodowej Demokracji. Jak wiadomo, bolszewicy i mieńszewicy zajęli w dumskiej frakcji dwa wręcz odmienne stanowiska w tej sprawie. Mieńszewicy dla zupełnie nieznanymi powodów lekomyślnie zaliczyli narodowców do „burżuazyjno-liberalnej opozycji“, że zaś, podług ich teorii, burżuazyjny liberalizm jest znakomitym sprzymierzeńcem proletariatu w jego walce z caratem, — więc mieńszewicki (w owym czasie) C. K. partyjny polecił s. d. frakcji dumskiej urzeczywistnić koalicję z Kołem Polskim, wejść do wspólnego z narodowcami biura informacyjnego, uczęszczać na wspólne z nimi narady i t. d. Rzecz przytym godna uwagi, że obecny w C. K. przedstawiciel Bundu pokaźnie przyczynił się do takiego postawienia kwestji, kiedy bowiem poproszono go, jako „kompetentną osobę“, by dał w dumskiej frakcji charakterystykę narodowców, nie omieszkał on wygłosić cały wykład na temat, iż narodowcy, aczkolwiek u siebie w Polsce reakcyjniści, w Dumie są jednak konstytucjonalistami¹⁾ i t. d.

W przeciwstawieniu do ujęcia kwestji przez mieńszewików, bolszewicy przy omawianiu sprawy we frakcji wychodzili z innych względów. Oceniali oni narodowców nie z punktu widzenia ich wynętrzań się z trybuny dumskiej, lecz przedewszystkim z punktu widzenia działalności poza Dumą. Wskazywali oni na to, że w Polsce narodowcy są partją skrajnie reakcyjną oraz najzaciętszymi wrogami polskiego proletariatu socjaldemokratycznego i że utrzymywanie z nimi jakiegokolwiek styczności, a tymbardziej urządzanie, mówiąc słowami Jules Guesde'a, wspólnej kuchni jest dla naszej frakcji sprawą zgoła niedopuszczalną i nieprzyzwoitą. Posłowie-bolszewicy uważali kwestję za tak ważną, iż nie zechcieli nawet poddać się decyzji C. K. i frakcji, i złożyli oświadczenie, że osobiście nie będą brali udziału w naradach z narodowcami.

Sprawę tę przeniesiono następnie na zjazd Londyński i ten stanowisko bolszewików uznał za zupełnie słuszne. W specjalnej rezolucji zjazd 1) „zwrócił uwagę dumskiej frakcji s. d. na niezbędną nieustanną i bezlitośną obnażanie kontrrewolucyjnej, czarnosecinnej istoty i działalności narodowych demokratów, jako sojuszników caratu w walce z rewolucją i na olbrzymie znaczenie tego obnażania nie tylko dla proletariatu polskiego, lecz i dla całej sprawy rewolucji“; 2) zjazd „uznał, iż polska frakcja narodo-demokratyczna powinna być zaliczona do tych grup dumskich, z którymi frakcja socjaldemokratyczna nie może wchodzić w żadne pertraktacje i umowy“.

W dalszym ciągu na podstawie faktów i dokumentów z dzia-

¹⁾ P. o tym sprawozdanie moje na zjazd Londyński Socjaldemokratycznej Partji Robotniczej Rosji, wydane pod tyt. „Dwa prądy w dumskiej taktyce rosyjskiej Socjaldemokracji“.

łałości dumskiej narodowców wykażę, jak wielką słuszość miał nasz zjazd, przyjmując taką uchwałę.

III.

Rozpocznę analizę od najważniejszego pod względem politycznym aktu polityki narodowców w Dumie, najważniejszego, rzecz prosta, i z punktu widzenia samego Koła Polskiego. Jest to — „projekt zasadniczych ustaw autonomicznej organizacji Królestwa Polskiego“, wniesiony do drugiej Dumy w kwietniu 1907 r., a podpisany przez 36 posłów polskich z p. Romanem Dmowskim na czele. Przy czytaniu tego dokumentu zwraca uwagę przedewszystkim fakt, iż podpisy narodowców z Królestwa spokojnie godzą się pod nim z podpisami obszarników - ugodowców, „realistów“ z kraju Zachodniego i t. zw. „postępowców“. Hrabia Łubiński, pan Lisowski i Mr. Konic postawili na tej „konstytucji“ swe nazwiska w jednym rzędzie z nazwiskiem Dmowskiego. Dlatego też ów projekt 46 posłów-polaków można uważać za platformę polityczną, na której przedstawiciele wielko-kapitalistycznej burżuazji Polski spotykają się i łączą z przedstawicielami wielkiej własności rolnej, za platformę, czyniącą zadość interesom politycznym obu części tego bloku agrarno-kapitalistycznego.

Jakaż jest treść tej platformy?

Odpowiadając na to pytanie, należy przedewszystkim zatrzymać się przy zasadach, na których oparto „projekt autonomji“. Zasady te zostały wyłożone w wniesionym do Dumy „memorjale informacyjnym“ do projektu.

46 posłów-Polaków zaczyna swój memorjał od pełnego szacunku pokłonu pod adresem „manifestów najwyższych z r. 1905“, które, zdaniem p. p. Dmowskich, „oznaczają początek nowej epoki w historii rozwoju państwowości rosyjskiej“ oraz „dały podstawy swobód obywatelskich i zrównania praw politycznych“¹⁾. A „podstawy“ te, dodamy od siebie, dały się poznać w ogłoszeniu Polski w stanie wojennym, co, jak wiadomo, nastąpiło natychmiast po wydaniu miłych sercu p. Dmowskiego „manifestów najwyższych“.

Przezołgnawszy się na brzuchach przed „manifestami“, 46 „patriotów“ polskich spieszy usprawiedliwić się wobec wszechrosyjskiej żandarmerji z możliwych oskarżeń o separatyzm. Zaraz w początkowych wierszach swych „konstytucyjnych“ oświadczeń podkreślają, że „w nowym systemie politycznym“, który uwidocznili się w „manifestach najwyższych“ cenią oni — 46 patriotów polskich — przedewszystkim „pragnienie wzmocnienia całości i trwałości państwa“²⁾. Przez tę deklarację 46 miłujących ojczyznę burżua oficjalnie i otwarcie zrywa wobec samodzierżawia i kołoczącej się przy nim Dumy wszelką wspólność ze starymi tradycjami powstańczo-szlacheckiego patriotyzmu, tradycji tych uroczyście się

1) P. „Projekt autonom. org. Kr. Pol.“, str. 7.

2) Ibid., str. 7.

wyrzeka. Ale wyrzekszy się ich, zamienia je naturalnie na nowe — na tradycje okresu burżuazyjno-kapitalistycznego i podnosi „przyrodzony i wychowany przez całe dzieje indywidualizm Polaków“, konkretną podstawą którego jest, ich zdaniem, „gruntownie utrwalona wolność posiadania“.

Sprawa jest więc jasna, jak słońce: patrijotyczny burżua znalazł swą prawdziwą „ojczyznę“, swą ziemię obiecaną, rodzimą i, zamiast oddawać się, jak dawniej, marzeniom o niepodległości i wolności Polski, układa hymny pochwalne na cześć wolności tej nowej ojczyzny — swej własności prywatnej oraz związanej z nią nieograniczonej wolności wyzyskiwania robotnika przez kapitał. Oto jakim jest nowe hasło patrijotycznego burżua!

P. p. Dmowscy i Konice mają, naturalnie, na tyle rozumu, by te klasowe chuci burżuazji kapitalistycznej upiększyć ogólnikami, spowinać w płaszcz liberalizmu i ogłosić nową „deklarację praw człowieka i obywatela“.

„Wolność — powiada wzmiankowana deklaracja — jest to prawo do życia i rozwoju w zgodzie ze swemi wrodzonymi właściwościami“¹⁾. Że zaś własność prywatna jest „wrodzoną właściwością“ kapitalisty polskiego, również jak i kapitalistów wszystkich innych krajów, to staje się jasnym, iż przytoczona formuła wolności całkowicie zawiera w sobie formułę „wolnego“ wyzysku mas pracujących.

I jeszcze jedna okoliczność zwraca na się uwagę przy zaznajamianiu się z motywowo-zasadniczą częścią projektu — a mianowicie ciągle odwoływanie się do prawa i moralności. Jest to znowu rys typowy dla ideologów burżuazji kapitalistycznej: dążąc do zabezpieczenia ustroju kapitalistycznego od zamachów ze strony socjalistycznego proletariatu, chętnie osłaniają oni fetyszami prawa i moralności ucisk klasowy i gwałt, znajdujący się u podstawy burżuazyjnych porządków.

Zgodnie z tym i autonomia Polski wystawiona jest w projekcie, jako rezultat umowy prawnej, ugody pomiędzy narodem i władzą carską, nie zaś jako skutek walki narodu z caratem. Władza rządowa daje autonomję, a 46 posłów obiecuje jej za to „przywrócenie rządowi zaufania ze strony narodu polskiego“, skutkiem czego „nie tylko pocznie powracać do zdrowia rosyjski organizm państwowy, lecz nadto stanie się on niedostępnym na całej swej zachodniej granicy“²⁾. Znaczy to, że 46 polskich patrijotycznych burżua proponuje rosyjskiemu samowładztwu w imieniu i na rachunek całego narodu następującą operację handlową: dacie nam autonomję, a my wam za to zapłacimy „lojalnością“ i „zaufaniem“ względem władzy najwyższej!

Może jednak powstać kwestja: co będzie, jeżeli część tego narodu, w imieniu którego targuje się 46 członków Koła, nawet po otrzymaniu narodowo-demokratycznej „autonomji“ nie zechce

1) Ibid., str. 9.

2) Ibid. str., 11 i 12.

żyć „zaufania“ i trwać w „lojalności“? Co się stanie, jeżeli np. socjalistyczny proletariąt Polski będzie dalej prowadził swą walkę? Może tu być, rzecz prosta, jedna tylko odpowiedź: wówczas burżuazja polska, pozostająca w układzie handlowym z władzą carską, przedsięwzięcie wszystkie środki, aby „uczciwie“ dopełnić przyjęte na się obowiązki i będzie żarliwie pomagać rządowi w sprawie zduszenia rewolucji.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak właśnie wygląda sprawa. Widoczne to jest z każdego punktu projektu, nawskróś przesyconego w całości swę duchem układu handlowego. Nie jest to projekt ugody pomiędzy rosyjskim i polskim narodem, lecz właśnie układ pomiędzy burżuazją polską i rosyjskim caratem.

Projekt nie wspomina ani słowem o możliwości zniesienia w Rosji władzy dotychczasowej i zmianie jej na ludowładztwo-rzeczpospolitą; przeciwnie na każdym kroku potwierdza on nienaruszalność carskiej monarchji. § 7 projektu głosi: „Sejm Królestwa Polskiego zbiera się corocznie w Warszawie na rozkaz Najwyższy“. W innych punktach podano, iż „projekty praw, uchwalone przez sejm Królestwa Polskiego“ przedkładane są „do Najwyższej decyzji“ (str. 11). Namiestnik Polski, do którego, podług pomysłu p. Dmowskiego, należy główna władza wykonawcza w kraju, „naznaczany jest przez władzę Najwyższą“ (str. 9). Ta również władza mianuje „ministra — sekretarza stanu dla spraw Królestwa Polskiego“ (str. 11).

Jednakowoż p. p. Dmowscy nie zatrzymują się na tym w swych wiernopoddańczych troskach o prawa i prerogatywy monarchji rosyjskiej. W § 4 swego projektu proponują oni, aby z pod kompetencji sejmu usunąć, narówni z całym szeregiem innych spraw, i „utrzymanie członków Domu panującego, jakoteż sprawy i instytucje dworu Monarszego“ oraz „ustawodawstwo karne w sprawach o bunt przeciw władzy Najwyższej“. W § 15 obiecują natomiast, iż „skarby Królestwa Polskiego“ będzie uczestniczył „w wydatkach państwowych na utrzymanie członków Domu Monarszego i ministerjum dworu“, jak również i „osobistej kancelarji Jego C. Mości“.

Jak czytelnicy widzą, 46 narodowych demokratów, realistów i postępowców, nadających sobie miano „posłów narodu polskiego“, o niczym nie zapomniało i o wszystkim miało staranie w swym projekcie. Dali oni monarsze prawo zwoływania i rozpędzania sejmu, zatwierdzania praw, wydanych przez sejm i posyłania ich do djabła, zachowali urząd namiestnika (na pamiątkę Hurki i Skałłona!) i przyrzekli nawet, iż lud polski będzie napełniał swemi groszami bezdenne kieszenie p. p. Romanowych. Sprawa więc wygląda, jednym słowem, tak, że dla mnie np., jest zupełnie niepojętym, dlaczego Mikołaj II nie miałby zrobić p. Dmowskiego ministrem-sekretarzem stanu do spraw Królestwa Polskiego, czy też bodaj nawet i namiestnikiem!

Karol Kautsky powiedział kiedyś w jednym ze swych artykułów, iż współczesna burżuazja kapitalistyczna jest bardzo podobna

do kościoła katolickiego w tym znaczeniu, że zarówno pierwsza, jak drugi umieją trawić wszelką formę władzy: oboje mają odpowiednio silny żołądek. Ale żołądki p. p. Dmowskich i Koniców są widocznie silniejsze od wszystkich innych, potrafią bowiem zasymilować i przetrawić — nie bez pożytku dla swego zdrowia — nawet samowładztwo domu Romanowych.

Ta zdumiewająca zdolność przystosowywania się jest znowóż charakterystyczną cechą współczesnej burżuazji kapitalistycznej. W obawie przed czerwonym widmem socjalistycznego ruchu robotniczego, współczesny burżuaz zawiera sojusz z najbardziej archaiczną władzą, starając się ugodzić z nią dla wspólnej walki przeciw klasie robotniczej. Również i p. p. Dmowscy z tych właśnie względów obmyślają swe projekty, w których nader misternie urzeczywistniają oryginalne połączenie burżuazyjnego „indywidualizmu“ i „wolności prywatnego władania“ z przywilejami i prerogatywami pańszczyźnianej, azjatyckiej władzy!

Nie warto, naturalnie, nawet mówić o tym, że w projekcie 46 postów ani wspomniano o ogólnopañstwowej konstytuancie, lub bodajby o konstytuujących prawach sejmu polskiego. Dekretuje się wprost, że Królestwo Polskie 1) „stanowi nieodłączną część państwa rosyjskiego“ i 2) „w wewnętrznych swych sprawach rządzi się osobnemi ustawami na zasadzie osobnego prawodawstwa“. Z zakresu „spraw wewnętrznych“ usunięto przytym, prócz Najwyższego „domu“ i „dworu“, cały szereg spraw, w tej liczbie „armję i flotę, jak również wszystkie drogi komunikacji i urzãdzenia, należące do urzãdów wojny i marynarki“, następnie „prawodawstwo cłowe i akcyzowe“ oraz „ogólnopañstwowe pożyczki i zobowiązania“ (p. § 4).

Wątpię, aby zachodziła potrzeba wyjaśnienia wewnętrznej treści tych punktów. Armję p. p. Dmowscy chętnie pozostawiają w rękę władzy centralnej, gdyż wiedzą z doświadczenia, jak bardzo pożyteczni są carscy żołnierze i kozacy dla obrony „własności prywatnej“ i dla rozprawiania się w czasie strejków i demonstracji z socjalistycznym proletariatem Łodzi, Warszawy oraz innych miejscowości. Co się tyczy „prawodawstwa cłowego“, które usunięto z pod kompetencji sejmu, to na ten punkt zwróciłbym szczególną uwagę owych teoretyków P. P. S., co to przekonywali najszanowniejszą publiczność, jakoby „polityka cłowa“ caratu rozwijała w burżuazji polskiej dążności separatystyczne. Sprawa, jak wynika z autorytarnego oświadczenia 46 przedstawicieli polskiej burżuazji, stoi zupełnie inaczej, i ten punkt projektu p. Dmowskiego najlepiej wykazuje całą bezsensowność i bezpodstawność p. p. sowskich nadziei na „seperatyzm cłowy“ polskiej burżuazji.

Względem punktu o „pożyczkach i zobowiązaniach państwowych“ niech nie pomyślą czasem czytelnicy, iż usunięto je z zakresu władzy sejmu w tym celu, aby naród polski uwolnić od wydatków, związanych z temi pożyczkami. Naodwrot: § 15 projektu głosi, iż „skarby Kr. Polskiego“ uczestniczy w wydatkach „związanych z amortyzacją pożyczek i zobowiązań państwowych oraz z opłacaniem procentów od nich“. W ten sposób rząd carski otrzymał

zupełną swobodę zaprzędawania narodu cudzoziemskim bankierom, a p. p. Dmowscy ręczą, iż naród polski z „zaufaniem“ i „lojalnie“ będzie płacił długi Romanowa-Stołykina i Ski.

Widzieliśmy, jakie obietnice i zaliczki daje caratowi 46 „przedstawicieli narodu polskiego“ w drugiej Dumie: zobaczymyż teraz, czego chcą oni wzamian za swe usługi.

W § 5 projektu czytamy, iż „do kompetencji sejmu należy prawodawstwo we wszystkich sprawach krajowych z wyjątkami wskazanymi w. § 4“. Jeżeli jednak poczniecie przeglądać spis owych wyjątków (najważniejsze już zaznaczyłem), to przekonacie się, iż władzy sejmu podlegają te jedynie sprawy i kwestje, które obejmują gospodarcze życie narodu, t. zn. kwestje produkcji i wymiany, stosunków pomiędzy wytwórcą a spożywcą, pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem, władza policyjna i sądowo-kryminalna, zabezpieczająca „wolność posiadania“, sądownictwo cywilne, prawodawstwo robotnicze itd.

Takie postawienie sprawy autonomji jest zupełnie zrozumiałym i dającym się wytłumaczyć z punktu widzenia interesów klasowych burżuazji.

Posiadając w sferze stosunków produkcji pewne „przyrodzone właściwości“ w postaci własności prywatnej, mając w ręku ten najpotężniejszy oręż ekonomicznego ucisku i wyzysku kapitalistyczny burżua ogłasza swą samodzielność i „autonomję“ w tej dziedzinie, gdyż wie, że jest tu panem, gospodarzem i zarządcą życia społecznego. Wysłunięcie zasady autonomji narodowej w stosunku do takich kwestji, jak walka pracy z kapitałem, prawodawstwo robotnicze itd. jest dlań sprawą bardzo korzystną, gdyż tą drogą ogólnorosyjski ruch robotniczy zostaje rozszczepiony na strumienie narodowe i z olbrzymiej międzynarodowej walki przeciw kapitalistom zostaje sprowadzony do całego szeregu odrębnych i mniejszych konfliktów wewnątrz poszczególnego narodu. Równolegle do tego projektodawcy pozostawiają poza obrębem autonomji sprawy w rodzaju armji, ogólnorosyjska koncentracja której w ręku jednej władzy centralnej może być bardzo korzystną dla burżuazji polskiej w jej walce z proletariatem.

Zasada *laissez faire, laissez passer* jest w sferze życia gospodarczego klasycznym hasłem burżuazji kapitalistycznej; niekrepowanie konkurencji ekonomicznej i wyzysku — oto jądro teorii autonomicznej burżuazyjnych nacjonalistów współczesnej Polski.

Kończąc rozpatrywanie projektu autonomji Polski, wniesionego do drugiej Dumy przez 46 członków Koła Polskiego, uważam za konieczne zatrzymać się nad jeszcze jednym punktem, który, być może, wywoła niejakie wątpliwości i zapytania ze strony niektórych czytelników, obznajmionych z omawianym projektem. Mianowicie w § 8 projektu powiedziano, iż sejm jest wybierany przez ludność kraju na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania. Być może, że znajdą się między czytelnikami tacy, którzy zechcieliby uważać ten punkt za oczywisty dowód umiłowania przez p. p. Dmowskich ludu i wolności; należy jednak pamiętać

o tym, iż skoro p. p. Dmowski chcą przeproczyć pożądaną dla się projekt autonomji, to zmuszeni są, rzecz prosta, poczynić pewne ustępstwa na korzyść mas. Jeżeli bowiem żaden z punktów projektu nie przykuje do niego współczucia mas i ich poparcia, to wszelkie nadzieje burżuazyjnego nacjonalizmu zawisną w powietrzu i nie zostaną urzeczywistnione. Z drugiej strony powszechne prawo wyborcze nie tylko nie jest sprzeczne z panowaniem burżuazji, lecz przeciwnie zapewnia jej najbardziej zupełne i nieskażone uzewnętrznianie się władzy kapitału, ustanawiając równocześnie zewnętrzną i formalną równość pomiędzy członkami społeczeństwa. Już Engels wskazała na to, iż w ustroju kapitalistycznym „klasa posiadaczy panuje bezpośrednio przez powszechne prawo wyborcze“, a nadmiar to powszechne prawo wyborcze do sejmu jest sprawą zgoła niewinną i nie wzbudzającą obaw wobec zabezpieczonego przez projekt utrzymania całego szeregu prerogatyw monarchji carskiej. Toż gdyby sejm polski, wybrany przez powszechne głosowanie, dał zbyt wielką przewagę socjalistom, jak to miało miejsce niedawno w sejmie Finlandji, rząd carski pomógłby p. p. Dmowskiemu uporać się z takim sejmem i postąpiłby z nim w ten sposób, jak z finlandzkim.

Sumując ogólne wyniki z treści projektu autonomji Polski, wypracowanego przez 46 „patriotów“ polskich, mniemam, iż wolno mi powiedzieć, że projekt ten stanowi platformę ugodową pomiędzy blokiem agrarjuszów polskich i kapitalistów a rosyjskim samowładztwem, platformę, w której uwzględniono interesy obu umawiających się stron. Przy formułowaniu projektu miano na widoku nie interesy „całego narodu polskiego“, jak przekonywują jego autorowie, lecz wyłącznie interesy burżuazyjnych warstw narodu polskiego. I odwrotnie: wszystkie ujemne strony projektu, wszystkie jego złe cechy skierowane są przeciwko proletarjatowi i rewolucji. Obrona kapitalistycznego układu stosunków od zamachów klasy robotniczej — oto jaką jest prawdziwa idea, będąca podwaliną „konstytucji“ p. Dmowskiego. W projekcie niema nawet oznaki stosunku opozycyjnego względem caratu; polska burżuazja kapitalistyczna wyciąga w nim otwarcie rękę ku samowładztwu rosyjskiemu i wyowiada mu swe wiernopoddańcze, służalcze uczucia.

Taksamo postępowali narodowcy polscy i w swej polityce praktycznej w ciągu działalności drugiej Dumy, przy obradach nad najważniejszymi sprawami życia całego ludu. Z odnośniami faktami i przejawami tej polityki zaznajomię czytelników w pozostałej części artykułu.

Ruch współdzielczy na usługach kontrrewolucji i kapitału.

Napisał K. Radek.

Jak w Rosji, tak i u nas przyniosły ostatnie lata powstanie ruchu kooperatywnego. Zaczątki jego widzimy w całym kraju:

w małych miścinach prowincjonalnych, a nawet po wsiach powstają stowarzyszenia spożywcze, stowarzyszenia wspólnych zakupów, wspólnej sprzedaży; w większych ośrodkach przemysłowych i osadach fabrycznych rozwijają się wśród robotników nietylko stowarzyszenia spożywcze, ale powstają nawet tu i owdzie stowarzyszenia wytwórcze.

Nie będziemy tu rozpatrywali znaczenia rozwoju organizacji kooperatywnej wśród rzemieślników, drobnych posiadaczy rolnych i t. d. Zajmuje nas wyłącznie jej rozpowszechnienie wśród robotników. Nie przeceniając otóż obecnego stanu rozwoju tego ruchu, nie przeceniając zwłaszcza powodzenia jego wśród klasy robotniczej, uznać go jednak należy za fakt bardzo znamienny, pozostający u nas w chwili obecnej w ścisłym związku z charakterem ostatnich kilkunastu miesięcy, a mianowicie z opadaniem fal rewolucji.

Charakterystycznym jest, że w okresie największego ożywienia ruchu robotniczego, gdy proletarijat polski z zapartym tchem słuchał o drogach, jakimi kroczy w swej walce o poprawę bytu proletarijat zachodnio-europejski, gdy począł zakładać związki zawodowe, garnać się masowo do organizacji politycznej — wówczas do ruchu kooperatywnego odnosił się on z platoniczną jeno sympatją; ujawniło się w tym instynktowne zrozumienie tak drugorzędności znaczenia kooperacji dla walki klasowej wogóle, jak też nieprzydatność jej jako narzędzia bezpośredniej walki z absolutyzmem i kapitałem u nas w obecnym momencie. Równocześnie sami zwolennicy ruchu kooperatywnego przeciwstawiali ruch ten walce rewolucyjnej; czynili to np., chrześcijańscy demokraci w pismach ulotnych, rozpowszechnianych w Łodzi, przez co uwydatniali sami cel swej agitacji za ruchem kooperatywnym.

Agitacja ta znajdowała w owym okresie posłuch w tej drobnej tylko części klasy robotniczej, która nie zdołała otrząść się jeszcze ze snu, wyzwolić z dotychczasowej bierności, która nie odważyła się dotąd myśleć o walce; wśród szerokich mas, idących za socjalistycznymi sztandarami nie miała ona żadnego powodzenia, aczkolwiek partje socjalistyczne wcale nie oświeślały krytycznie antirewolucyjnego charakteru agitacji kooperatystów rozmaitych odcieni, zaniedbując to częścią z dufości w rozmach ruchu i nastroj bojowy mas, częścią, ponieważ zbyt zajęte były bezpośrednią walką rewolucyjną.

Dopiero w ostatnich kilkunastu miesiącach spostrzegamy pewien zwrot. Szersze koła robotników poczynają się interesować sprawą kooperatyw i to nietylko te koła, które się znajdują pod wpływem klerykalno-narodowo-demokratycznej agitacji. Straszna drożyzna przy równoczesnym obniżaniu płac przez przedsiębiorców, akcja zaczepna kapitału przy represjach rządowych, unicestwiających coraz to inne organizacje zawodowe, obniżenie nastroju bojowego, który popychał przódy klasę robotniczą do bezpośredniej walki z kapitałem o polepszenie bytu — oto obiektywne momenty, wywołujące w szerokich kołach robotniczych chęć poprawy bytu

w ramach obecnych warunków wyzysku przez korzystniejsze zużytkowanie zarobku przy pomocy stowarzyszeń spożywczych.

Nie należy także zapominać, że obecne stłumienie ruchu rewolucyjnego wywołało w szerokich warstwach masy proletarjackiej pewne rozczarowanie. Rewolucja, która miała przynieść jej obok wolności demokratycznych znaczne podniesienie jej stopy życiowej, spowodowała na razie straszną reakcję rządową i wściekłe ataki kapitału. Główne ofiary ponosi klasa robotnicza. Wraz ze zmęczeniem i wyczerpaniem, powstaje w niej chęć obejścia przeszkody, zdobycia twierdzy nie w walce pierś o pierś, lecz z tyłu, — osiągnięcia poprawy bytu na drodze pokojowej, niewymagającej takich cierpień i ofiar, jak walka rewolucyjna. W ruchu współdzielczym masa robocza szuka właśnie takiej drogi. W nim stara się znaleźć ujście dla potrzeby organizacji, obudzonej w niej przez twórcze tchnienie rewolucji, a nie zniszczonej przez barbarzyńskie pochody krzyżowe carskich Attyłów. Te subiektywne momenty również wywołują w klasie robotniczej zainteresowanie sprawą kooperatyw.

Wyzyskując ten nastrój w celach odciągnięcia robotników od walki klasowej, narodowi i chrześcijańscy demokraci występują gorliwie za zakładaniem stowarzyszeń spożywczych i udzielają pomocy w agitacji Towarzystwu polskich kooperatystów, które, założone z końcem 1905 roku, wydaje pismo „Społem“ i pracuje agitacyjnie i organizacyjnie na polu ruchu kooperatywnego. I rzecz ciekawa! Narodowi demokraci, którzy piętnują zawsze jako utopję cel ostateczny ruchu robotniczego, nie urojony bynajmniej dowolnie przez fantastę społecznego, lecz wyrastający z samego rozwoju ekonomicznego, zarówno jak chrześcijańscy demokraci, widzący swój ideał w powrocie do średniowiecznego ustroju gospodarczego, oddają się pod komendę Towarzystwa kooperatystów, które chciałoby skierować ruch robotniczy ku walce o oczywistą utopję, dowolnie wysnutą z głowy przez kilku dobroludków, nie umiejących czytać w księdze życia, widzących to tylko, co widzieć chcą, a nie to, co się rodzi i rozwija rzeczywiście. Panowie Wojciechowscy, Beckowie, Abramowscy, Radziwiłłowicze, ci „znani działacze“, głoszący stare utopje Holyake'ów, Gide'ów, Buschów i Mühlbergerów o usunięciu kapitalizmu przez organizację spożywców, mogliby się zastanowić nad tym, z jakich to powodów udzielają im poparcia najbardziej zacięci obrońcy wyzysku ekonomicznego w Polsce. Niejednemu z obecnych kooperatystów, o ile zgóry nie zdawał sobie sprawy ze swej rzeczywistej roli, stałoby się wówczas może jasnym, iż nasi giermkowie kapitalizmu pomagają im dlatego, że ideał kooperatywu jest nieziszczalny, nie stanowi więc niebezpieczeństwa dla istnienia kapitalizmu, natomiast bardzo pożądanymi dla kapitału są złudzenia, które kooperatyści sieją w masie. W każdym razie obowiązkiem Socjaldemokracji jest wyjaśniać cały ten podkład robotnikom, którzy w nieświadomości swej wierzą zapewnieniom kooperatystów, a nawet częstokroć utożsamiają tę nową, z łamów „Społem“ przesiąkającą do nich ideologję z ideologją socjalistyczną. Gdyby agitacji koope-

ratystów udało się zyskać dla swych poglądów jakkolwiek większą ilość robotnika, wówczas pożytek, który mogą w chwili obecnej przynieść robotnikom stowarzyszenia współdzielcze, zamieniłyby się w dar Danaów; za owe drobne korzyści zapłaciłaby bowiem część klasy robotniczej chwilowym zaciemnieniem świadomości klasowej.

Walka, którą Socjaldemokracja musi podjąć przeciw temu szwindlowi kooperatywizmu, jest niełatwą już dlatego, że brak nam możliwości szerokiej legalnej agitacji. Pierwszą rzeczą, którą uczynić wszakże należy, jest zaznajomić zorganizowanych robotników ze stanowiskiem Socjaldemokracji wobec ruchu współdzielczego wogóle oraz specjalnie tej jego „teorii“, którą garść burżuazyjnych inteligentów usiłuje do nas przesadzić. Z obłudnych mętnych frazesów apostołów kooperatywizmu należy wyłusknąć ziarno społecznej i politycznej reakcji i wyjaśnić jego znaczenie przednim warstwom klasy robotniczej.

I. STOWARZYSZENIA WYTWÓRCZE,

Stowarzyszenia spożywcze zakładają częstokroć fabryki najniezbędniejszych przedmiotów spożycia mas. Mając zapewniony zbyt mogą fabryki te w pewnych warunkach dobrze się rozwijać. Gdy mowa jednak o stowarzyszeniach wytwórczych, chodzi nie o te fabryki, lecz o samodzielne przedsiębiorstwa, należące do robotników w nich pracujących i niezależne od stowarzyszeń spożywczych.

Powstawały one samorzutnie w Anglii jeszcze z końcem XVIII w., we Francji w pierwszej połowie XIX w., były sławione przez rozmaitych reformatorów społecznych i, jako środek rozwiązania kwestji społecznej, propagowane w Anglii przez socjalistów chrześcijańskich; w Niemczech polecał je Schulze z Delitsch, jako środek zamienienia robotników w kapitalistów. Ale doświadczenia, porobione z temi stowarzyszeniami, przekonały nawet burżuazyjnych kooperatystów, iż nie są one w stanie nie tylko rozwiązać kwestji społecznej, ale iż brak wszelkich warunków dla szerszego ich rozwoju. Wszędzie, gdzie tylko je zakładano, nie zdołały one zdobyć najmniejszego nawet znaczenia w gospodarstwie społecznym. Według danych, zebranych przez Schotta i Petersiliego w „Wörterbuch der Volkswirtschaft“ (II t., 617 str.), istniało w Niemczech w r. 1893 z 199 założonych przez rzemieślników i robotników stowarzyszeń wytwórczych tylko 34, a więc 17%; nie miały one najmniejszego znaczenia w życiu ekonomicznym Niemiec, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż prawie zupełnie brak danych o ich życiu. We Francji w r. 1902 istniało ich 250; wegetują one jeno dzięki subwencji państwa i rad miejskich. W Anglii istnieje ich 57; wytwórczość fabryk, zakładanych przez towarzystwo zakupów zbiorowych przewyższa znacznie ich wytwórczość. Sprawozdanie austriackich kooperatyw z r. 1903 mówi o wegetowaniu stowarzyszeń wytwórczych. Jest to zjawisko całkiem naturalne. Nietylko robotnicy, ale nawet rzemieślnicy nie są w stanie zebrać kapitału, któryby pozwolił im na zakładanie stowarzyszeń wytwórczych w tych gałęziach przemysłu, które opanował wielki kapitał. Kapitał stały, po-

trzebny do założenia przedsiębiorstwa w gałęziach tych, jest tak wielki iż nie sposób go zebrać ani robotnikom, ani rzemieślnikom. Stowarzyszeniom wytwórczym pozostają więc jako pole działalności zakątki stroju kapitalistycznego, w które nie wkroczył jeszcze z całym impetem współczesny postęp techniczny. Ale i tu oznaczały mały kapitał, zebrany przez członków stowarzyszenia, straty na zakupie surowego materiału, a więc i zmniejszenie zdolności konkurencji z prywatnym przemysłem. Gdzie zaś stowarzyszenie pożyczowało większe kapitały, tam przez płacenie wysokich procentów popadało w dawną zależność od kapitalisty, będącą tylko zmienioną formą dawnego najemstwa.

Nie koniec na tym: trudność zbytu towarów była niejednokrotnie rafa, o którą rozbijała się wątpia łądz tych stowaryszeń; powstawały one często w takich czasach, gdy zbyt towarów jest najtrudniejszy, w czasach złej konjunktury, co, rzecz zrozumiała, nie przyczyniało się do ich rozwoju. Ale i w czasach normalnych brak wykształcenia kupieckiego utrudniał im znacznie zbyt wytworów. Do tego przyłącza się jeszcze zasadnicza sprzeczność ich istoty, na którą słusznie położyła nacisk R. Luxemburg w pracy swej, skierowanej przeciw Bernsteinowi: „W gospodarce kapitalistycznej — pisze ona — wymiana panuje nad produkcją i czyni warunkiem bytu przedsiębiorstwa ze względu na konkurencję bezwzględny wyzysk, t. j. zupełne opanowanie procesu produkcji przez interesy kapitału. Praktycznie przejawia się to w konieczności uczynienia pracy jak najbardziej intensywnej, skracania lub przedłużania jej według położenia rynku, przyciągania siły roboczej lub odrzucania jej i wyrzucania na bruk według wymagań rynków zbytu, krótko mówiąc, w konieczności stosowania tych wszystkich sposobów, które czynią przedsiębiorstwo kapitalistyczne zdolnym do konkurencji. Z tego wszystkiego wynika w stowarzyszeniu wytwórczym dla robotników pełna sprzeczności konieczność rządzenia siebie samych z całym wymagalnym absolutyzmem, grania roli przedsiębiorców kapitalistycznych w stosunku do samych siebie. O tę sprzeczność rozbija się też stowarzyszenie wytwórcze i albo zamienia się w stowarzyszenie kapitalistyczne, albo, jeżeli interesy robotników przemogą, rozwiązuje się. Co tu (w książce p. Potter) zostało powierzchownie i płytko nazwane brakiem dyscypliny, jest niczym innym, jak naturalnym, absolutnym panowaniem kapitału, którego przeciwieństwo robotnicy nad sobą samymi rozciągać nie mogą“¹⁾.

Wszystkie te okoliczności powodują, iż stowarzyszenia te zazwyczaj kończą bankructwem, pograżając w większą jeszcze nędzę tych, którzy w ich przystani szukali schronienia przed burzami kapitalizmu. Ale i w tych nielicznych wypadkach, gdzie los jest dla nich przychylniejszy, nie posiadają one żadnego znaczenia dla klasy robotniczej i jej walki. Garść robotników, członków stowarzyszenia wytwórczego, które dzięki szczególnym warunkom rozwija się, stara się zmonopolizować korzyści przynoszone przez nie: rozszerzając stowarzyszenie, przyjmuje do pracy innych robotników, ale jako najemców, nie

¹⁾ Rosa Luxemburg: Sozialreform oder Revolution, s. 42. Leipzig 1899.

zaś dzielących się zyskami towarzyszy; z czasem pierwotni założyciele stowarzyszenia przestają sami pracować; zagarniając wytworzoną przez innych wartość dodatkową, zamieniają się sami w drobnych kapitalistów. Jest to wynik bardzo pożądany, być może, dla tej garstki szczęśliwców, ale obojętny dla klasy robotniczej.

Sprawiedliwość każe przyznać, iż Towarzystwo kooperatystów nie agituje za zakładaniem stowarzyszeń wytwórczych. Czynią to natomiast chrześcijańscy i narodowi demokraci, pozbawieni zupełnie krzty sumienności, gdzie chodzi o sianie złudzeń, mogących osłabić walkę klasową proletariatu. Z inicjatywy ich powstał cały szereg rozmaitych fabryczek robotniczych i nie przechodzi tydzień, by prasa nie donosiła o powstawaniu nowych. Nie ulega wątpliwości, iż złudzenia co do możliwości rozwoju tych stowarzyszeń zostaną i u nas wnet zdruzgotane przez rzeczywistość.

II. STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZE. 1)

„Zakorzenione zło naszego ustroju gospodarczego to nie zmonopolizowanie narzędzi produkcji przez klasy wyższe, lecz brak organizacji siły spożywczej mas. Wydaje mi się zupełnie oczywistym, że nie może być porządku i kontroli w handlu i przemyśle, dopóki nie będzie porządku i kontroli w sferze spożycia. Nieregularne i przypadkowe sposoby, w jakie wydajemy pieniądze nasze, jako spożywcy, z konieczności sprowadzają istniejący bezład i współzawodnictwo w całym ustroju przemysłowym. Wobec tego, że zakres zapotrzebowań na najrozmaitszego rodzaju towary jest nieznan — z konieczności powstać musi współzawodnictwo rynkowe, spekulacje, kryzysy i wszystkie inne niedomagania obecnego systemu gospodarczego, będącego tej nieświadomości wynikiem“. W taki sposób przedstawia się obraz gospodarki kapitalistycznej w głowie Jana Müllera, kierownika szwajcarskich stowarzyszeń spożywczych, a „Społem“, organ Towarzystwa kooperatystów polskich przedrukowuje mowę jego, wygłoszoną na kongresie angielskich kooperatyw w Paisley w 1905 r. i zawierającą to gienjalne odkrycie. „Niema dla mnie prawdy bardziej oczywistej, niż ta“ — powiada Müller, a polscy kooperatyści rozpowszechniają nawet w broszurowym wydaniu 2) tę prawdę, będącą kamieniem węgielnym ich społecznego światopoglądu. Znalazszy w braku organizacji siły spożywczej mas zasadnicze zło ustroju kapitalistycznego, widzą w stowarzyszeniach spożywczych główne narzędzie walki z tym zakorzenionym złem.

1) Mimoходом: istnieje w polskim języku książka p. Ludwika Krzywickiego, przedstawiająca na podstawie pilnie zebranych materiałów historję tego ruchu aż do 1903 r. Charakterystycznym bardzo dla autora tej pracy jest, iż zasadniczemu oświeceniemu kwestji poświęca aż 14 (dosłownie) czternaście wierszy na ostatniej stronie książki o 372 str. Nie wiele, jak na literata, chcącego być marxistą!

2) Mowa Müllera, przedrukowana w książce St. Wojciechowskiego: Ruch współdzielczy i jego rozwój w Anglii (str. 120—136). Warszawa 1907. Gebetner i Wolff.

Pozwalam sobie przytoczyć obraz przyszłości, nakreślony według ich poglądów: „Najsamprzód powstają spółki spożywcze w każdym miasteczku, w każdej wsi po jednej, po miastach po kilka, kilkanaście. Zadaniem ich jest sprowadzanie towarów dla swoich członków wprost z fabryk. Po jakimś czasie spółki te zawiązują wspólne stowarzyszenia dostaw hurtowych. Zadaniem tego związku jest pośredniczenie między fabrykami czy rolnikami, a setką takich spółek... Stowarzyszenia spożywcze rozwijając się na podstawach... demokratycznych i współdzielczych, zgromadzają coraz większe fundusze. W pewnej chwili widzą one, że mogłyby użyć nadwyżki funduszów swoich na cele wytwórcze. Zamiast np., sprowadzać z piekarni pieczywo do sklepu swego, mogą założyć własną piekarnię, potem rzeźnię, potem fabrykę ubrania, mebli itd. Dając towar dobry i tani, zaspakajają coraz większy zakres potrzeb swoich członków, usuwając potrzebę szukania rynków zbytu poza granicami kraju; nie ryzykują nic, nie obawiają się przesilen ekonomicznych. Opanowują powoli całą produkcję rolniczą, produkują materiał surowy, potrzebny do przemysłu. Zaborczość jest obca kooperatywom, których rdzeń — to uczucie solidarności; szukają one zbytu wewnątrz, podnosząc przez zaoszczędzenie na wydatkach nabywcą zdolność ludności. Zwolna z atym zbliżają stan idealny: pokój powszechny. Państwa mogą rozbroić się, towar nie potrzebuje, aby mu szybkostrzelne działa i lyddytowe pociski torowały drogę do Chin, Indji, Kamerunu, Zanzibaru, Bułgarii, Serbji. Znajduje on sobie miliony nabywców w kraju, w którym powstał.

Tak więc współdzielczość odrodziła pracę, zniszczywszy doszczętnie największych odwiecznych jej wrogów: handel, wojnę.

Stanowiąc taką potęgę twórczą stowarzyszenia współdzielcze zastępują władze państwowe i w dziedzinie opieki nad pracownikami. Stowarzyszenia te, owiane duchem samopomocy, obce dążeniom do zysku i uczuciom chciwości, z takim samym nastrojem odnoszą się do pracowników swoich, czy to w kooperatywach spożywczych, czy wytwórczych¹⁾.

Powyższe wywody dadzą się sprowadzić do następującego poglądu: Istota zła leży w beładzie spożycia mas roboczych. Stan ten da się usunąć w ten sposób, że robotnicy zakładają stowarzyszenia spożywcze; stowarzyszenia te nagromadzą w swym ciągłym rozwoju znaczne kapitały; zapomocą tych kapitałów założą fabryki, wytwarzające przedmioty spożycia mas robotniczych; w fabrykach tych pracować będą członkowie stowarzyszeń, towary zaś przez nich wytworzone będą sprzedawane ogółowi stowarzyszonych. W ten sposób zostanie zniesiony zarówno wyzysk robotnika jako konsumenta, jak też wyzysk jego jako producenta, albowiem tak zysk fabrykanta, jak i zysk kramikarza wpływać będą do kieszeni

¹⁾ Józef Beck: Współdzielczość jako program życiowy. Biblioteka „Społem“. Warszawa 1907.

stowarzyszenia, czyli ogółu jego produkujących i konsumujących członków. Biedakom kapitalistom, pozbawionym zarówno konsumentów, jak i masy najmitów, z których pracy wyciskali wartość dodatkową, nie pozostanie nic innego, jak wywędrować do krajów, pozbawionych jeszcze zbawczej działalności Becków, Wojciechowskich i Abramowskich.

W ten sposób skromne przedsięwzięcie: sklepy do taniego kupowania towarów uwolni ludzkość od zmyru kapitalizmu; za ladą dokonany zostanie największy przewrót w historii ludzkości; nie wśród szczerku oręża, po długiej uciążliwej wojnie domowej, nie z bronią w ręku zatknie lud nad bastylją kapitalizmu czerwony znak socjalizmu; nie — z wagą i metrem, kredką i litrem w dłoni, z okularami na nosie przezwyciężą kooperatyści kapitalizm.

Całe powyższe rozumowanie polega, jak wykażemy to poniżej, na bajecznym nieuctwie, o ile nie jest świadomym oszustwem. Opierając się na dawno zbitych mylnych poglądach ekonomicznych nie uwzględnia ono doświadczeń, poczynionych przez zachodnio-europejski rozwój ruchu współdzielczego; puszczając wodze wyuzdanej fantazji, zamyka ono oczy na najprostsze, wszystkim widome i wiadome fakty.

Poczynamy od zasadniczego poglądu kooperatystów, od korzenia zła: bezładnego spożycia. Na pierwszy rzut oka jest już widocznym, że „korzeń“ ten ma jedną małą wadę: posiada niestety swój własny korzeń. Istniejący bezład w wytwarzaniu powoduje mianowicie nieregularność i przypadkowość spożycia mas ludowych, a nie odwrotnie. Robotnik zaspakaja swe potrzeby w zależności od stanu przemysłu, już to dającego mu zatrudnienie i możliwość spożywania, już to każącego mu zażywać przyjemności spoczynku i niespożywania. To powoduje bezład spożycia i, wpędzając robotnika w długi, utrudnia rozwój organizacji współdzielczej, o czym jeszcze pomówimy poniżej. Mało tego: „zakorzenione zło“ polega w głównej mierze nie na tym, że robotnicy bezładnie spożywają, ale przede wszystkim na tym, że mało spożywają, że dochód krajowy dzieli się w ten sposób między ludność, iż np., we Francji w r. 1895 na jednego bogatego przypadało 6300 rb. dochodu (cyfry niedokładne), na jednego zamożnego 960 rb., a na niezamożnego 370 rb.; w Anglii w tymże roku członek klasy najbogatszej pobierał przeciętnie 200 razy tyle, co członek warstwy najmniej zamożnej, przyczem 130 tysięcy osób pobierało rocznie więcej niż połowę tego, co pobiera 16 milionów ludzi; w Prusiech zaś w r. 1898 62 tysiące osób pobierało 852 milionów rubli rocznie, podczas gdy 1281000 pobierało tylko 609 milionów rubli. Przyczynę takiego nierównomiernego podziału wytworu pracy społecznej sformułował Marx w swym lapidarnym stylu w liście z powodu gotajskiego programu niemieckiej Socjaldemokracji: „Każdorazowy podział środków spożywczych jest tylko skutkiem rozdziału samych warunków wytwarzania. Kapitalistyczny sposób wytwarzania polega na tym, że rzeczowe warunki wytwarzania należą w formie kapitału i własności ziemskiej do niepracujących, masa zaś

jest tylko właścicielką osobistego warunku wytwarzania: siły roboczej. Z takiego rozdziału czynników wytwarzania wynika sam przez się współczesny rozdział środków spożycia. Skoro rzeczowe warunki wytwarzania staną się wspólną własnością robotników, wówczas wyniknie z tego również odmienny od współczesnego rozdział środków spożycia". I tu właśnie znajduje się korzeń złego: w istocie kapitalistycznego wytwarzania. Kto choć na chwilę o tym zapomina, lub zasadniczo temu przeczy, ten nigdy nie potrafi zrozumieć żadnej poszczególnej kwestji społecznej, zawsze będzie skazany na wyszukiwanie niezawodnych środków leczniczych, które regularnie będą chybiały celu. Kooperatyści nie mogą lub nie chcą tego zrozumieć i tu właśnie mieści się ich grzech pierworodny; jeżeli mieć to na oku, to dalsze dzieje ich grzechu przedstawiają się jako naturalny wynik tego zasadniczego błędu — błędu, oczywiście, o tyle, o ile agitacja ich, uprawiana przez inteligentów z burżuazji, nie jest prostym szwindlem, mającym na celu, jak np., u narodowych demokratów — otumanienie proletariatu. To zasadnicze niezrozumienie uniemożliwia kooperatystom postawienie kwestji ruchu współdzielczego na właściwym gruncie i czyni ich zgóry — niezależnie od dobrej lub złej ich woli — obrońcami kapitalizmu; albowiem oparty na takiej podstawie ruch współdzielczy odwraca oczy wyzyskiwanych od źródła siły kapitalizmu i wyzysku, od zmonopolizowania środków produkcji w obecnej gospodarce.

Załatwiwszy się z „korzeniem“, przejdźmy do poszczególnych gałęzi drzewa mądrości współdzielczej.

1. Przedewszystkiem złudne są nadzieje na możliwość zorganizowania całej klasy robotniczej w stowarzyszenia spożywcze. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że nie istnieją żadne granice organizacji spożywców, gdyż każdy robotnik woli przecież taniej kupować, aniżeli drożej. W rzeczywistości jednak robotnik nie jest jednostką abstrakcyjną, która posiada tylko tę cechę, że woli kupować tanio, aniżeli drogo, lecz żyje w warunkach konkretnych, wpływających na to, czy tej swej chęci może zadość uczynić. Mimo wszystkich społecznych reform stopa życiowa szerokich mas robotniczych i na Zachodzie jest tak niska, że całe liczne ich warstwy skazane są na życie z dnia na dzień, na kredyt u sklepikarzy. Ciągłe falująca rezerwowa armja pracy, już to przyciągana, już to odrzucana przez kapitał, znajduje się w tych samych warunkach. Nawet zorganizowani robotnicy, gdy brak pracy trwa zbyt długo i gdy kończy się ich prawo do zapomóg, pobieranych od związku zawodowego, muszą korzystać z kredytu sklepikarza. Stowarzyszenia spożywcze starają się temu przeciwdziałać. W wielu miejscowościach na Zachodzie pomagają nowowstępującym członkom do wydostania się z rąk wierzyciela, starają się starych członków, którzy chwilowo chodzą bez pracy, utrzymać nad wodą przez wypłacanie im dywidendy przed terminem, przez statut oznaczonym i t. d. Ale pomagać w ten sposób większej ilości członków i przez dłuższy czas, a tak stoi sprawa, gdy rozpocznie się kryzys, nie mogą;

nie pozwala na to brak kapitału najpotężniejszym nawet stowarzyszeniom. Stwierdza to historia ruchu współdzielczego. Tak np., opowiada p. Beatrice Potter (późniejsza Webb), znana angielska działaczka społeczna, w swej historii angielskiego ruchu współdzielczego, że wszelkie usiłowania wciągnięcia do stowarzyszeń współdzielczych „ubogich mas“ Londynu były bezskuteczne.

2. Podczas gdy nie można bynajmniej liczyć na zorganizowanie nawet większości robotników jako spóżywców, zapowiadają kooperatyści zniesienie wyzysku kapitalistycznego za pomocą fabryk, należących do organizacji spóżywców. Jasnym jest, że według tego planu wszyscy robotnicy, wytwarzający obecnie w przedsiębiorstwach kapitalistycznych, muszą te same towary wytwarzać w fabrykach stowarzyszenia, do którego należą jako spóżywcy, a więc dla samych siebie. Zapytajmy więc przedewszystkiem, czy stowarzyszenia spóżywcze mogą wytwarzać wszystkie towary, wytwarzane w przedsiębiorstwach prywatnych, to zn. innymi słowy, czy towary te mogą być sprzedawane członkom stowarzyszenia. Otóż główne gałęzie produkcji kapitalistycznej, które skupiają największą ilość kapitału, które zatrudniają największą masę najmitów, które są najbardziej skoncentrowane, które są niejako miernikiem stopnia rozwoju kapitalistycznego każdego kraju, wszystkie one albo wcale, albo przeważnie nie produkują przedmiotów spóżycia robotników. Ani przemysł metalurgiczny, wytwarzający maszyny, koleje, okręty, armaty, ani przemysł węglowy, zaopatrujący wszystkie inne gałęzie przemysłu w węgiel, ani przemysły, produkujące dla kolonji i rynku światowego i t. d. — nie są zależne od spóżycia robotniczego. Ich wyrobów stowarzyszenia spóżywcze ani nie nabywają, ani nie sprzedają; stowarzyszenia spóżywcze nie będą więc zakładały fabryk lokomotyw, okrętów, hut żelaznych i t. d., gdyż, jak wiadomo, wytwarzają one i mogą wytwarzać — na tym bowiem polega cały plan — tylko przedmioty, spóżywane przez członków stowarzyszeń. Tak więc pozostaną te gałęzie przemysłu w rękach prywatnych kapitalistów. W tych samych rękach pozostanie przemysł, wytwarzający przedmioty spóżycia i zbytku burżuazji; jakie rozmiary ma zaś ten przemysł można pojąć, jeżeli uprzytomnić sobie olbrzymie marnotrawienie bogactw społecznych, ujawniające się w coraz to nowych modach, sporcie i wszelkich wybrykach, tak charakterystycznych dla burżuazji i tak od niej nieodłącznych. Burżuazja nie ma potrzeby oszczędzania na swym spóżyciu przy pomocy stowarzyszeń spóżywczych, „oszczędza“ ona sobie dość na głodowych płacach robotników. Ale mało tego: cały szereg przedmiotów nawet najbardziej bezpośredniego spóżycia mas robotniczych jest wykluczony z zakresu produkcji fabryk współdzielczych. P. Potter twierdzi we wspomnianej powyżej pracy, iż „stowarzyszenie (angielskie) wielkich zakupów nie było w stanie zabrać się do fabrykacji wyrobów bawełnianych, aczkolwiek znajduje się tak blisko głównych centrów przemysłu bawełnianego. Wielka rozmaitość kupowanych przez robotników wyrobów bawełnianych jest przyczyną, dla której ilość każdego rodzaju towarów, kupowanych przez członków stowarzyszeń, jest za

małą, by czynić możliwą opłacającą się fabrykację.¹⁾ Wymienione gałęzie przemysłu zatrudniają miliony robotników. Widzimy więc, że obietnice panów kooperatystów urzeczywistnią się, ale chyba tylko wtedy, kiedy robotnicy poczną kupować djamenty, automobile, jachty spacerowe, okręty przewozowe, pancerniki, armaty, koleje żelazne itd. Cóż wynika z tego wszystkiego? Wynikają oczywiście dwie rzeczy: a) w tych gałęziach przemysłu, będących filarami kapitalizmu, mających największy wpływ na państwo, nie zniknie prywatna produkcja kapitalistyczna, a więc nie może być mowy o zniknięciu jej skutków: kryzysów, wojen i t. d.; b) owe miliony i dziesiątki milionów proletarijusz, pracujących w tych prywatnych fabrykach, będą nadal wytwarzały nadwartość dla swych wyzyskiwaczy. Oczywiście, że dla nich wyzysk nie zniknie. Jeżeli zaś będą oni należeli do stowarzyszenia spożywczego, to nie będą bezpośrednio zainteresowani w zniesieniu wyzysku w fabrykach towarzystw spożywczych. Przeciwnie im, żyjącym w piekle kapitalizmu, nie wpadnie wcale na myśl stwarzać raj drobnym grupom robotników, pracujących w fabrykach ich stowarzyszenia; będą domagali się jak największej dywidendy. Jest to przynajmniej naturalną, bezpośrednią tendencją, wynikającą z położenia rzeczy. Tak więc widzimy, że stowarzyszenia spożywcze ani wogóle ani w fabrykach należących do stowarzyszeń nie zniosą wyzysku robotników jako wytwórców.

3. Jeżeli wziąć pod uwagę środki realizacji utopji kooperatystów, to odrazu rzuca się w oczy fakt, że z pod nóg ich musi się ciągle obsuwać grunt, na którym budują. W czym się bowiem streszcza ich utopja? Oto ni mniej ni więcej tylko w próbie wykupienia prywatnego kapitału, a raczej zastąpienia go przez kapitał, stworzony z oszczędności, robionych na płacy roboczej. Aby ten plan należycie ocenić, trzeba uprzytomnić sobie, że kapitał prywatny gromadził się początkowo wieki całe drogą zwyczajnego rabunku, drogą rabunku, dokonywanego pod osłoną prawną, potem drogą wyciskania wartości dodatkowej z olbrzymich mas pracującej ludności. A płaca robocza? Nasi kooperatyści słyszeli coś, że tak zwane „żelazne prawo płacy roboczej“, ustanowione przez Ricarda, a tak spopularyzowane przez Lassalle'a, zostało uznane za fałszywe i to pozwala im już widzieć niebo — jak mówią Niemcy — pełnym skrzypiec. Jakżeż ma się sprawa z „żelaznym prawem płacy“, což okazało się w prawie tym fałszywym? Otóż, jak wiadomo, twierdziło ono, że naturalnym poziomem płacy jest poziom, dostateczny na opędzenie koniecznych potrzeb robotnika i na utrzymanie jego rodziny. Kiedy zarobki ogólnie podnoszą się, wówczas mnożą się rodziny, i powstałe ze wzrostu ludności współzawodnictwo, obniżając znowu płacę po za naturalną granicę, powoduje zwiększenie śmiertelności, emigrację, przez co mechanicznie przywraca naturalny poziom płacy. W ten sposób, według prawa Ricarda, zapewnia sobie kapitał niezbędną mu w czasach rozkwitu ilość sił roboczych drogą, że tak

¹⁾ B. Potter: Die britische Genossenschaftsbewegung, str. 205. Leipzig 1893.

powiem, naturalną, przez zwiększenie zapomocą podwyższonej płacy rozmnażania się robotników. Oczywiście, że taki rezultat może być osiągnięty na rynku pracy dopiero ze zjawieniem się nowego pokolenia robotników, co wymaga 20 do 25 lat. Otóż Marx wykazał, że przy rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej, wobec konieczności dla niej natychmiastowego przystosowania się do każdej konjunktury rynku i właściwej jej kolejności zmian rozkwitu na kryzys, prawo to, które miało zastosowanie w okresie manufaktury, straciło ważność. Przy szalonym tempie obecnej gospodarki, nienasycony Bóg-kapitał nie może czekać na urodzenie się nowych ofiar wyzysku, lecz zadawała swe potrzeby na innej drodze. Stwarza sobie stałą armję rezerwową sił roboczych, z której dowolnie czerpie według potrzeby konjunktury rynku. Ale prawo zasadnicze, które określa przeciętną wysokość płacy roboczej przez niezbędne środki życiowe, bynajmniej nie zostaje usunięte ani zmienione, a tylko urzeczywistnia się inną drogą. Niewzruszoną pozostaje więc prawdą, że kapitał posiada stałą tendencję do obniżania płacy roboczej do tego najniższego poziomu. Tendencji tej sprzyja rozwój kapitalistyczny, czyniąc coraz mniej potrzebnym fachowe wykształcenie robotników, zastępując pracę mężczyzn pracą kobiet, umożliwiając kapitałowi przyciąganie sił roboczych z innych części świata (t. np., kapitaliści niemieccy poczynają już przy pracy okrętowej zatrudniać Chińczyków), stwarzając olbrzymie trusty i kartele, owe lewjatany, wobec potęgi których, zdaniem małżeństwa Webbów, nawet najpotężniejsze związki zawodowe są bezsilne. Z drugiej strony przeciwdziałają coprawda tej tendencji związki zawodowe, starając się zmniejszyć konkurencję na rynku pracy; niejednokrotnie sprzyjają im w tym dążeniu pewne zjawiska gospodarstwa kapitalistycznego, gdyż w kotle czarownic, jakim jest kapitalizm, żadna, choćby najsilniejsza tendencja nie przebija się czysto, bez wahań. Ale na ogół biorąc i dla klasy robotniczej w jej całości, to dążenie kapitału do dawania robotnikom w płacy roboczej tylko niezbędnych środków utrzymania zwycięża. Nie ulega więc wątpliwości, że w fantastycznych obliczeniach kooperatystów istnieje wewnętrzna sprzeczność: im lepiej robotnicy korzystają z swej płacy, im taniej nabywają środki spożywcze, tym bardziej działa tendencja kapitału do obniżenia ich zarobku pieniężnego. Urzeczywistnienie się tej tendencji, a zwłaszcza stopień jego, zależy od rozmaitych okoliczności. Ale że istnieje ona, to fakt. W ten sposób stwarzyszenia spożywcze, dając robotnikowi bezpośrednio jedną ręką dywidendę, drugą ręką pośrednio przyczyniają się do obniżenia jego płacy roboczej. A płaca robocza jest przecież źródłem dywidendy, za którą kooperatyści chcą wykupić kapitał! Krótko mówiąc: zalecać robotnikom, by się wyzwolili w ten sposób, równa się propozycji, czynionej tonącemu, by się sam wyciągnął z wody za włosy.

4. Kooperatyści chcą wprawdzie wykupić tą drogą kapitalizm nie odrazu, lecz powoli, w miarę wzrostu ich zasobów. Co należy sądzić o tym, zrozumie każdy, kto zada sobie trud porównania wzrostu obrotów i dywidendy towarzystw spożywczych ze wzrostem obrotów i akumulowanego kapitału przedsiębiorstw prywatnych, sto-

warzyszeń akcyjnych i trustów; oczom jego przedstawi się obraz wyścigów żółwia z automobilem; zobaczy, że kapitał, który ma być wykupiony, rośnie w bez porównania szybszym tempie, niż zasoby, z których ma być wykupiony. I na tym właśnie punkcie pryskają współdzielcze bańki mydlane.

Przejdźmy obecnie za kooperatystami z dziedziny ekonomii w dziedzinę polityki. Niemieckie przysłowie powiada: „Ein Schuff gibt mehr, als er kann“ (Iotr daje więcej, jak może). Nie chcemy podawać w wątpliwość osobistej uczciwości kooperatystów, ale mieliśmy już sposobność wykazać, że wkładają oni na słabe barki stowarzyszeń spożywczych więcej, aniżeli te znieść mogą. Ciężary te zdawały się jednak kooperatystom zbyt małymi. Przypisują więc stowarzyszeniom spożywczym jeszcze inne zadania: tak np., uregulowanie stosunku pracy do kapitału. Wobec tego, że, jak wykazaliśmy, przypuszczenia ich co do wyparcia prywatnego przemysłu przez kooperatywy na niczym się nie opierają, nie może być mowy o zniknięciu potrzeby państwowej regulacji warunków pracy w przedsiębiorstwach prywatnych, w których pracować będzie olbrzymia większość proletariatu. Rozwoju państwowej ochrony siły roboczej kooperatywy powinny domagać się nawet w swym własnym interesie ze względu na konkurencję z prywatnymi przedsiębiorstwami. Stowarzyszenia spożywcze na zachodzie z niechęcią dają robotnikom swoim lepsze warunki, aniżeli istnieją w przedsiębiorstwach prywatnych i potrzeba zazwyczaj usilnej walki ze strony partji socjalistycznej i związków zawodowych, zanim uznają zasadę, iż powinny świecić przykładem przedsiębiorstwom prywatnym, a nie postępować dopiero za nimi. Tu, gdzie związki zawodowe i partje socjalistyczne są silne, prędzej lub później uznanie tego obowiązku przedostaje się do głów kierowników ruchu współdzielczego. Mimo to powstają często konflikty, gdyż pracownicy domagają się warunków, jakich stowarzyszenia ze względu na konkurencję dać im nie chcą. Względ ten czyni więc opiekę państwa nad pracownikami pożądaną zarówno w interesie samych stowarzyszeń spożywczych, jak i pracowników przez nich zatrudnianych. O ile zaś rozwój tej opieki niezbędnym jest u nas nie tylko ze względu na robotników przemysłu prywatnego, ale nawet ze względu na zatrudnionych w stowarzyszeniach spożywczych, świadczy fakt, iż np., taki sobie p. St. Wojciechowski, redaktor „Społem“, wypowiada się publicznie za 12-godzinny dzień roboczy w handlu („Społem“, Nr. 32 1907 r.)...

Fizjonomia pp. kooperatystów nie byłaby zupełną, gdyby pamiętali tylko o poziomych interesach „warstw upośledzonych“. Jako idealisci najczystszej wody, dbają troskliwie o ich życie duchowe i radzi są nad wszelki wyraz, że i tu ich praca ma odrodzić robotników, przynosząc im niebывałe korzyści moralne. Z jednej strony wskazują na wykształcenie handlowo-przemysłowe, a z drugiej na ducha solidarności, samopomocy społecznej, które zdobywa proletarijat, kierując samodzielnie kooperatywami¹⁾. Ale zapominają dodać,

¹⁾ Tę stronę uwydatnia specjalnie Edward Abramowski w broszurze: *Ideje społeczne kooperatywności*. Biblioteka „Społem“. Warszawa 1907.

że wykształcenie handlowo-przemysłowe zdobywa w kooperatywach nie masa członków, lecz funkcjonariusze stowarzyszenia, a więc pojedyncze jednostki. Co się zaś tyczy masy, o którą jedynie może chodzić, to wobec braku wiadomości fachowych nie może ona wcale kierować stowarzyszeniem, lecz musi polegać na wybranych przez się urzędnikach, mierząc ich znajomość rzeczy pomyslnym lub niepomyslnym rozwojem stowarzyszenia. Korzyść więc przynoszona pod tym względem przez stowarzyszenia spożywcze ogranicza się do faktu, że do masy proletariuszy, pracujących w handlu przybędą jeszcze nowi proletariusze handlowi, wyhodowani przez kooperatystów z łona robotników innych zawodów. Sądzić by można, że i teraz nie brak wcale licznych handlowców pozbawionych pracy, ale zdaje się, że pp. kooperatyści widzą właśnie główną trudność urządzenia nowego ładu społecznego w braku fachowców na polu handlu i przemysłu. Obawa ta jest w każdym razie znacznym postępek w porównaniu do wątpliwości burżuazyjnych profesorów na zachodzie, którzy do niedawna przypuszczali, że socjalizm rozbije się o coś innego, mianowicie o brak ochotników do czyszczenia butów. Co się zaś tyczy ducha solidarności, nie zaszkodzi zwrócić naszym kooperatystom uwagę na to, że daleko lepszą szkołą jej jest walka ekonomiczna i polityczna, prowadzona przez proletarjat, aniżeli stowarzyszenie spożywcze; kiedy bowiem pierwsza wymaga od proletariusza poświęceń, stawia go w jednym zwartym szeregu przeciw zaciętemu wrogowi, w stowarzyszeniu spożywczym element walki usuwa się na plan dalszy, cel wysiłków nie porusza wysokich strun w duszy robotnika. Pozostaje jeszcze ów instynkt samopomocy społecznej, na który szczególnie nacisk kładzie p. Abramowski. Nikomu chyba nie zależy bardziej na obudzeniu masy do samopomocy, do budowania ognisk życia kulturalnego, jak Socjaldemokracji, opierającej przyszłość ruchu na samodzielnej walce klasy robotniczej. To też wszystkie prawie istniejące na zachodzie robotnicze instytucje samopomocy — w szerokim słowa tego znaczeniu — są, za wyjątkiem Anglii, wyłącznym prawie dziełem ruchu socjaldemokratycznego. Czyż domy ludowe, związki zawodowe, sekretarjaty robotnicze, instytucje oświatowe są w mniejszym stopniu dziełami samopomocy, jak stowarzyszenia spożywcze, czy mniej od nich budzą w masie ducha samodzielności, potrzeby kulturalne itd.?! Pod tym względem mogą stowarzyszenia spożywcze przy określonych warunkach być ogniwem w łańcuchu innych urządzeń. Dodatni wpływ moralny kooperatyw na proletarjat zauważymy właśnie tylko tam, gdzie kooperatywy nie pozostawione są samym sobie, to znaczy swym tendencjom drobnomieszczańskim, lecz gdzie współżycie ich z ruchem socjalistycznym — politycznym i zawodowym, napełnia je duchem wyższym, płynącym z walk klasowych ludu roboczego. Słusznie też porównuje entuzjasta ruchu kooperatywnego tow. Ansele, kierownik belgijskich kooperatyw, w swej mowie, wygłoszonej w Paryżu w r. 1900, same kooperatywy do ubogiej szwaczki, w której szare życie wnosi wyższy polot dopiero małżeństwo z artystą — z twórczym socjalizmem.

Kooperatyści, jak widzieliśmy, zwężają walkę robotniczą do działalności stowarzyszeń spożywczych. Ale nie dość na tym. Zamykają oni oczy na fakt, że rozwinięcie wszystkich nawet niepolitycznych form walki robotniczej nie wystarczy nietylko do wyzwolenia klasy robotniczej z jarzma kapitału, ale nawet do zmniejszenia jego ciężaru. Jakżeż szerokie są warstwy robotnicze tak przytłoczone brzemieniem wyzysku, iż nie są zdolne do żadnej walki przeciw niemu! Kto nie wskazuje tego klasie robotniczej, kto nie mobilizuje jej dla wywarcia nacisku na państwo, by łagodziło ono prawami wyzysk kapitału, gdzie wyzyskiwani sami go zmniejszyć nie mogą, by prawami zabezpieczało masie robotniczej jej czasowe zwycięstwa, wykonywa manewr reakcyjny, mający na celu osłabienie proletariatu. Odwracając uwagę mas od znaczenia walki politycznej i wpływu prawodawstwa na życie społeczne, podcinają kooperatyści gałąź na której sami siedzą: wszak polityka celna i podatkowa państwa może przez podrożenie środków żywności mas w jednym roku obrócić w niwecz „praktyczne wyniki“ pracy stowarzyszeń współdzielczych, trwającej lat dziesiątki. Odwracanie się od polityki, lekceważenie jej jest reakcyjnym wszędzie nietylko ze względu na ogólne interesy klasy robotniczej, ale nawet ze względu na najwyższe interesy samego ruchu kooperatywnego. Ten manewr reakcyjny nabiera jeszcze większej wagi i wymaga silniejszego zwalczania w warunkach naszych, pod rządami absolutyzmu.

W chwili, gdy nawet stowarzyszenia spożywcze nie mogą istnieć bez przeszkód ze strony rządu carskiego, zasadniczo wrogiego idei zrzeszenia¹⁾, propagować obojętność względem walki politycznej o swobody demokratyczne i reformy społeczne, zmniejszać znaczenie przekształcenia państwa samowładnego w duchu demokratycznym, to znaczy działać na korzyść samowładztwa carskiego, a nie samopomocy ludowej lub socjalizmu bezpieczeństwa. Z pod osłony hymnów na nutę samopomocy i wewnętrznego doskonalenia człowieka wyłazi ucho dawnego manchesterskiego liberalizmu — przeciwnika interwencji państwowej tam, gdzie chodziło o poprawę bytu mas ludowych, oraz dawna nasza znajoma, abstynencja polityczna, ów twór reakcyjnego organiczności polskiego, powracający ciągle w najrozmaitszych przejawach na widownię życia społecznego.

Powyzsze, poddane przez nas krytyce, ideje kooperatyizmu apostołowie nowej ewangelii starają się zaszczepić w s z y s t k i m w a r s t w o m „k r z y w d z o n y m“ i, obiecując przytym stać na gruncie

¹⁾ „Społem“ podaje w Nr. 36 z 16 listopada 1907 r. ciekawy obrazek: W Skierbieszowie (pow. Zamojski) sprowadziło stowarzyszenie spożywcze „Gwiazda“ kilkanaście krakusek dla uczestników banderji urządzonej na cześć biskupa. Administracja zamknęła za to sklep stowarzyszenia i zapieczętowała go, nie pozwalając usunąć towaru: „D o s p o t ę g o w a n i a r e p r e s j i p r z y c z y n i l i s i ę n i e m a ł o w p ł y w o w i k u p c y m i e j s c o w i, d l a k t 6 r y c h s p 6 ł k a b y ł a s o ł ą w o k u“ — dodaje „Społem“. Polecamy fakt ten kooperatystom do refleksji na temat znaczenia swobód politycznych dla ruchu kooperatywnego oraz harmonji społecznej, przez ruch ten stwarzanej.

bezwzględnej bezpartyjności, zapowiadają sprowadzenie s t a n u h a r m o n j i s p o ł e c z n e j. Niestety, zanim ten raj współdzielczy nastąpi, ruch kooperatywny zaostreza teraz na grzesznej ziemi walkę klasową; nie uzbraja on klasy robotniczej do walki z wielkim kapitałem przemysłowym, organizuje ją jednak do walki z drobnym kapitałem handlowym.

Drobny handel ginie z jednej strony pod ciosami wielkiego kapitału, przeciwstawiającego małym sklepikom olbrzymie bazyry, domy towarowe, z drugiej — pod naporem stowarzyszeń spożywczych. Demagogdy z narodowej i chrześcijańskiej demokracji mogą „harmonijnie“ obiecywać złote góry drobnomieszczaństwu, a równocześnie polecać robotnikom zakładanie kooperatyw, nie mniej jednak pewnym jest, że muszą one z konieczności zwiększać przeciwieństwa klasowe w naszym społeczeństwie. Klasa robotnicza nie myśli, rzecz zrozumiała, wyrzekać się dla wygody drobnomieszczaństwa i tak ginącego pod druzgocącym kołem historii, tych korzyści, jakie mogą jej zapewnić stowarzyszenia spożywcze. Socjaldemokracja, partja klasowa proletariatu nie waha się przyznać to głośno. Ale na fakt ten muszą znów zamykać oczy kooperatyści, boć są oni przeciwnikami walki klas i propagują ideę kooperacji również wśród drobnomieszczaństwa.

Nie lepiej jak z harmonją stoi sprawa b e z p a r t y j n o ś c i. Na tych samych niemal stronach swego pisemka, na których pieją o niej, wypisują pp. kooperatyści napaści na socjalizm naukowy, światopogląd walczącego proletariatu; w broszurkach, poświęconych propagandzie kooperatyizmu, zwalczają skarykaturowane przez się poglądy socjalistyczne. I ta strona polskiego kooperatyizmu jest, podobnie jak wszystkie inne, nieoryginalną; wszak niedawno czytaliśmy na łamach niemieckich i szwajcarskich pism partyjnych polemiki z „bezpartyjnym“ kierownikiem szwajcarskich stowarzyszeń spożywczych, który w broszurze, poświęconej również bezpartyjności ruchu współdzielczego, a wydanej przez organizację, w trzech czwartych składającą się z socjaldemokratów, zwalczał — właśnie Socjaldemokrację. Podobieństwo w sytuacji jest tym większe, iż zarówno p. Müller, jak i polscy zwolennicy takiego bezpartyjnego kooperatyizmu, pp. Beck i inni maleńcy koryfeusze kooperatyizmu, są uciekinierami z obozu socjalistycznego.

Już ten pobieżny przegląd „teorii“ kooperatywnej wystarczy, by stało się jasnym dla każdego socjaldemokraty, że obowiązkiem naszym jest bezwzględna walka z agitacją Towarzystwa kooperatystów, nie tylko dlatego, iż szerzy ono błędne poglądy na istotę społeczeństwa kapitalistycznego i środki walki z kapitalizmem, że jest narzędziem w ręku burżuazji dla zaciemnienia świadomości proletariatu, ale nadto, ponieważ w społeczeństwie pozbawionym swobód politycznych propaguje zaniechanie walki politycznej, tego jedyne go środka obalenia rządu carskiego.

Potępienie jednak złud kooperatyizmu, wykazanie granic ruchu kooperatywnego bynajmniej nie jest jednoznacznym z wrogim lub nawet obojętnym stosunkiem do stowarzyszeń spożywczych. Burżuazyjni reformatorowie społeczni przeceniają również znaczenie zwią-

ków zawodowych i starają się spacyfikować ich charakter, usiłują skierować je na wązkie tory walki ściśle zawodowej; burżuazja stara się wszędzie wyzyskać związki zawodowe w swych interesach. Socjaldemokracja nie ogranicza się jednak do walki ze złudzeniami ograniczonych związkowców i zakusami burżuazji, lecz, dawszy właściwą ocenę związkom zawodowym, energicznie popiera usiłowania klasy robotniczej, mające na celu ich rozwój. Podobnie do pewnego stopnia ma się sprawa ze stowarzyszeniami spożywczymi. Nie są one, zdaniem międzynarodowej Socjaldemokracji, organami bezpośredniej walki klasowej, jak ruch zawodowy i walka polityczna; sfera ich działalności, to nie stosunki wytwarzania, lecz podział produktów, walczą więc one nie ze źródłem wyzysku, lecz z pewnymi jego objawami w sferze wymiany. Wszystko to prawda, ale zakreślenie granic ich wpływów nie wyczerpuje całokształtu kwestji. Ruch robotniczy rozrósł się, czerpie pobudki i siły nietylko z zasadniczych, ale z wszelkich niedomagań kapitalizmu; używa on nietylko tych środków walki, które skierowane są bezpośrednio przeciw istocie zła, ale posługuje się wszelkimi drogami, o ile tylko mogą w jakiegokolwiek mierze wzmocnić jego siły, uzdolnić go do szybszego pochodu naprzód. Jednym z takich środków walki są stowarzyszenia spożywcze. Podnoszą one stopę życiową pewnych, aczkolwiek licznie ograniczonych, warstw klasy robotniczej. Fakt ten dodaje siły partji klasowej proletariatu, albowiem uzdalnia te warstwy do pełniejszego zaspakajania swych potrzeb kulturalnych, a więc daje im możność do podniesienia się na wyższy stopień rozwoju umysłowego: z ich szeregów mogą się rekrutować inteligentni robotnicy, ten nieoceniony żywioł w ruchu robotniczym. Stosunkowe podniesienie stopy życiowej pewnej warstwy robotniczej jest pobudką dla innych i t. d. Nadto mogą stowarzyszenia spożywcze popierać bezpośrednią walkę robotniczą, stwarzając instytucje oświatowe, popierając materialnie partję socjalistyczną oraz walkę ekonomiczną proletariatu. W wydatnej mierze ma to miejsce tylko tam, gdzie kooperatywy przeniknięte są duchem socjalistycznym, gdzie ścisła łączność ze związkami zawodowymi i partją socjaldemokratyczną nie pozwala na panoszenie się w nich drobnomieszczańskiego sobkowstwa. Warunkiem zaś tego jest, oprócz panowania demokracji w państwie, świadome i niedwuznaczne odrzucenie ideologii w duchu naszego kooperatyizmu, uprawianego na usługach burżuazji i kontrrewolucji.

III. Losy rewolucji rosyjskiej.

Napisał N. Trocki.

Duma i budżet.

Trzecia Duma Państwowa odrabia obecnie w pocie czoła lekcję, zadaną jej przez biurokrację: pośpiesznie rozpatruje i zatwierdza budżet na rok 1908.

Rosyjski „rozkład dochodów i wydatków państwowych“ ucieleśnia

w swej budowie wewnętrznej całą historję i charakter caratu — tej potwornej organizacji wojskowo-policyjnej, która dosięgła bezprzykładnej potęgi, połączywszy anemię gospodarczą chłopu rosyjskiego z apoplektyczną krwistością giełdy europejskiej.

Na Zachodzie absolutyzm biurokratyczny rozwinął się z monarchji stanowej, jako samoistna potęga, dopiero wówczas, gdy stan trzeci wzmógł się na tyle, że był w możności równoważyć siłę polityczną feodałów i uprzywilejowanego kleru. Inaczej carat. W gruncie rzeczy nie był on nigdy monarchją stanową, gdyż ani szlachta rosyjska, ani duchowieństwo nie zdołały podnieść się do poziomu stanów politycznie rządzących. Uniemożliwiły im to z jednej strony ubóstwo ekonomiczne olbrzymiego a skąpo zaludnionego kraju, z drugiej — niezmordowana konkurencja władzy państwowej. Wplątując się przez swą politykę zaborczą w zaciętą walkę z sąsiadami z Zachodu, gdzie organizacja wojskowo-państwowa opierała się na bez porównania bogatszej podstawie gospodarczej, carat wyzyskiwał kraj w sposób rabunkowy, pochłaniając wszystkie cząsteczki produktu dodatkowego pracy ludowej, i w ten sposób systematycznie powstrzymywał rozwój stanów uprzywilejowanych, skazując je na podporządkowane mu istnienie. Tak się miała sprawa ze szlachtą, klerem, a potem z burżuazją. Carat łaskomie uczepił się sutek giełdy europejskiej dużo wcześniej, niż w Rosji powstał lub mógł powstać silny stan trzeci. Nauczywszy się sztuki zaciągania długów państwowych, t. zn. przejadania nietylko dzisiejszego, lecz i przyszłego produktu dodatkowego narodu, oparł on swą gospodarkę państwową na podwalinach międzynarodowych. Samowładztwo carskie, będąc, co do swego charakteru społecznego, tworem pośrednim pomiędzy despotją azjatycką a europejskim absolutyzmem, otrzymało do rąk przy pośrednictwie giełdy najnowsze środki techniki administracyjnej i wojskowej Zachodu. Proces ten prowadził do gorączkowego wzrostu budżetu i zadłużenia państwa. Niezależność rządu carskiego od stanu ekonomicznego kraju oznaczała postępowo wzmagającą się zależność jego od berlińskich i paryskich bankierów. Ku początkowi nowego wieku carat stał się niebywałą w dziejach, kolosalną organizacją wojskowo-giełdzianą. Kredyt jego doszedł do rozkwitu. Rotszyld wierzył, iż samowładztwo jest niewzruszonym i wiecznym prawie w tym samym stopniu, co giełda. Wojna i rewolucja zachwiały kredytem u samych podstaw. Ale zachwiały tylko — nie obaliły go przecież. W roku 1905 rząd znowóż pożyczca 800 milionów rubli, w 1906 r. — 900 milionów.

W chwili obecnej dług państwowy Rosji wynosi 9 miliardów rubli, to znaczy około 60 rubli na jednego mieszkańca, wliczając w to i dzieci u piersi. Budżet państwowy na r. 1908 wyraża się w kolosalnej sumie 2 515 milionów rubli. Jeżeli wyłączyć z tego dochody z eksploatacji i sumy obrotowe (monopol wódczany, koleje żelazne i t. d.), tedy czysty ciężar podatkowy da okragłą sumę $1\frac{1}{2}$ miljarda rubli. Znaczy to, że państwo wydiera 20% z rocznego dochodu narodowego! Nieprawdopodobna hipertrofja budżetu odbija w sobie tylko charakter organizacji państwowej, będącej celem samym w sobie i z dyktaturą polityczną łączącej, naturalnie, dyktaturę fiskalną.

Z 1 500 milionów, otrzymanych na drodze opodatkowania (przyczem podatki bezpośrednie stanowią zaledwie 12,5%, mniej, niż 180 milionów), budżet na rok 1908 przeznaczają: na ministerja Mukdenu i Cuszimy — 512 milj., na likwidację wojny — 67 milj., na zaspokojenie zobowiązań krótkoterminowych, niezaspokojonych w r. 1907 — 53 milj. i, wreszcie, na wypłatę odsetek od pożyczek państwowych — 386 milionów. Znaczy to, że armja, marynarka i bankierzy pożerają przeszło miljard rubli, czyli, ani mniej ani więcej, tylko dwie trzecie czystego dochodu państwowego. Prócz tego zaś należy tu jeszcze przynieść z budżetu ministerjum komunikacji deficyt kolei żelaznych, mających znaczenie głównie strategiczne, oraz z budżetu ministerjum spraw wewnętrznych dziesiątki milionów, rzucanych w paszczę „ochrony“ państwowej. Tak wyglądają koszta produkcji starego porządku!

Że budżet caratu jest ponad siły zrujnowanego kraju, że utrzymanie go oznacza dalsze wyczerpanie rynku wewnętrznego i paraliż gospodarczy — było to utartym pewnikiem jeszcze przed rewolucją. Ale od uznania tej myśli do faktycznego „uzdrowienia“ budżetu pozostawało i, jak tego dowiodły wydarzenia późniejsze, dotąd jeszcze pozostaje przejść olbrzymią drogę.

Socjaldemokracja widziała w budżecie jedynie dochodowo-wydatkową projekcję ustroju samowładnego. Dlatego też kwestja walki z systemem fiskalno-finansowym sprowadzała się dla niej do kwestji rewolucyjnego obalenia caratu. Wydarzenia z grudnia 1905 r. poprzedził słynny manifest „finansowy“ Rady Delegatów Robotniczych, który w ten właśnie sposób stawiał kwestję: „Jedyne wyjście — to obalić rząd.... Jest to konieczne nie tylko dla ekonomicznego i politycznego wyzwolenia kraju, ale i, w szczególności, dla uporządkowania finansowej gospodarki państwa“.

Kiedy później powstanie zostało zduszone i spadkobiercą rewolucji począł się być zdawać liberalizm, zaczął on coraz bardziej stawać na stanowisku zupełnego dziedziczenia nie tylko inwentarza, ale wszystkich długów oraz przestępstw starego porządku — z zamiarem regulowania ich ratami.

Skończywszy w pierwszej Dumie z taktyką hałaśliwej i chaotycznej opozycji, pozbawionej wszelkiej siły ze względu na „zasadnicze“ odrzucenie akcji rewolucyjnej, — z taktyką, która tym niemniej doprowadziła do odezwy wyborskiej, bladej kopji manifestu finansowego Rady Delegatów, liberalizm w postaci partji kadeckiej uchwała rządowi drugiej Dumy kontyngent wojskowy i zobowiązuje się do uchwalenia budżetu i pożyczki. Spodziewa się on zdobyć w ten sposób zaufanie monarchji, przy pośrednictwie tego zaufania — wpływ na budżet, a przez budżet — na władzę państwową. Ale oto druga Duma zostaje rozpędzona i w charakterze następcy rewolucji występuje już konserwatywny nacjonal-liberalizm w osobie Związku 17 października. Jak kadeci zdawali się sobie być spadkobiercami zadań rewolucji, tak październikowcy okazali się spadkobiercami kadeckiej polityki ugody. Mogą kadeci robić wedle chęci pogardliwe miny za plecami październikowców, ale ci ostatni wyprowadzają tylko wnioski z przesłanek kadeckich: skoro nie można oprzeć się na rewolucji, to należy oprzeć

się na konstytucjonalizmie Stołypina. Rozumieją to najlepiej sami kadeci. I jeżeli frakcja p. Milukowa pozwala sobie od czasu do czasu na zbytek giestu opozycyjnego, to czyni to dlatego jedynie, że męstwo jej karmi się nadzieją na zbawczą taktykę składającej się z październikowców większości.

Stojąc obiedwiema nogami na punkcie „zupełnego dziedziczenia“, dała trzecia Duma rządowi carskiemu 456 535 rekrutów, choć, jak dotychczas, wszystkie reformy w wydziale Kuropatkina i Stessla ograniczyły się do nowych form naramienników, „naszywek“ itd. Uchwaliła ona budżet ministerjum spraw wewnętrznych, które 70% terytorjum kraju poddało władzy satrapów, uzbrojonych w stryczki praw wyjątkowych, aby na powierzchni pozostałych 30% dusić i wieszać na zasadzie praw stanu normalnego. Wniosła, na skutek zakulisowej presji Stołypina, interpelację finlandzką, właściwie zaś mówiąc antifinlandzką, aby ułatwić ministerjum przewrotu państwowego restaurację systemu Bobrikowa w Finlandji. Jedynie budżet ministerjum komunikacji zmniejszyła Duma o rubla, aby na tej drodze zadokumentować swój protest przeciwko bezprawnemu sposobowi wykonywaniu budżetu tego par excellence ministerjum grabieży – przyczym nie można przypuścić, aby i na te opozycyjne sto kopiejek nie wzięto przedwstępnie rozgrzeszenia od Stołypina. Komisja Dumy dla sprawy rolnej uznała wszystkie zasady podstawowe słynnego ukazu z d. 9 listopada (st. st.) 1906 r., wydanego na zasadzie § 87 i mającego na celu wyzwolenie z środowiska chłopskiego warstwy większych posiadaczy oraz pozostawienie reszty na łasce działania doboru naturalnego w biologicznym tego słowa znaczeniu. Jeżeli Duma nie spieszy z postawieniem tej kwestji na porządku dziennym, to dlatego jedynie, że boi się przez przyjęcie wielkiej reformy Stołypinowskiej popchnąć na lewo posłów włościańskich z prawicy, którzy – jak skarży się jeden z przywódców październikowców – ciągle jeszcze znajdują się w pętach złudzeń na temat wyłączenia. I pomimo wszystko, wypada „ratować“ tę „zdolną do pracy“ i posłuszną prawu Dumę siedm razy w tygodniu. Sami październikowcy, panowie sytuacji parlamentarnej, nie tylko że nie zbliżają się do roli partji rządzącej, lub bodajby nawet rządowej, lecz, przeciwnie, znajdują się coraz bardziej w bezsilnym i poniżającym położeniu partji wysługującej się rządowi. – Uchwalają oni wszystko, czego rząd wymaga, spełniają wszystkie brudne polecenia Stołypina – i w rezultacie nie mogą osiągnąć nawet skasowania dorocznego asygnowania z pieniędzy ludowych 100 000 rubli na wydatki kieszonkowe Jej Królewskiej Mości Monarchini Helenów.

„Chwała Bogu, parlament u nas nie istnieje!“ zawołał wesoło minister skarbu, widząc tę tchórzliwą pokorę, z jaką Duma przepuszcza przez palce „jego“ stary kochany budżet.

„Mamy, chwała Bogu, konstytucję!“ odpowiedział mu z siłą baczną na wszystko Milukow, reasumując świetne wyniki taktyki ugodowej.

Ten pełen komizmu pojedynek na słowa, z Panem Bogiem w charakterze sekundanta, i całokształt okoliczności, w których się odbył:

delikatna uwaga październikowca-przewodniczącego z powodu „niefortunnego“ wyrazu ministra skarbu, negującego istnienie polityczne „parlamentu“, który rozpatruje właśnie jego budżet; groźba Stołypina, że wobec takiego zuchwalstwa poda się do dymisji; poważne niebezpieczeństwo, że razem ze Stołypinem pójdzie do djabła i cała „dzięki Bogu – konstytucja“; uroczyste usprawiedliwienie się przewodniczącego przed obliczem Dumy z tego, że poważił się wierzyć w prawdziwość jej istnienia; pełne radości oklaski Dumy, która przekonała się, że może istnieć i nadal, pozwalając rządowi na ignorowanie swego istnienia – wszystko to aż z nazbyt niepotrzebną wyrazistością wykazało najrealniejsze i najmniejszej nie ulegające wątpliwości istnienie politycznej i fiskalnej dyktatury samowładnej biurokracji. Wyjście z tego kąta i teraz, po doświadczeniu trzech Dum, wypada sformułować słowami manifestu finansowego rewolucji: „jedna jest tylko rada – obalić rząd!“

Patriotyzm amurski,

Najgodniejszym jednak uwagi czynem trzeciej Dumy jest przyjęcie przez nią w formie nagej rządowego projektu Amurskiej kolei żelaznej, którego urzeczywistnienie, nawiasem mówiąc, rozpoczęto jeszcze w okresie międzydumskim na zasadzie § 87-go.

Podług obliczeń rządowych kolej Amurska kosztować będzie 238 milionów; podług obliczeń hr. Witte – 350 milionów. Oznacza to nowy coroczny wydatek na spłatę procentów i na pokrycie nieuniknionego deficytu w ilości 22–30 milionów rubli, czyli połowę całego budżetu ministerjum oświaty.

Sama ta decyzja wystarcza już, aby móc odpowiedzieć na pytanie: uda się Dumie, czy nie uda zeskamotować rewolucję, rozwiązując jej zadania naczelne w sojuszu z władzą historyczną. Po najstraszniejszym w dziejach świata pogromie wojennym, po kilku latach nieustających wstrząszeń rewolucyjnych, samowładna biurokracja, poczuwszy się silniejszą, rozpoczyna „epokę reform“ kolosalnym wydatkiem na kolej żelazną na dalekich, podobnych do pustyni i prawie że nie zbadanych dotychczas kresach. Stołypin w mowie, tchnącej beczelną pewnością, że obecnie rządowi znowu wolno wszystko, zacytował czyjeś dyletanckie mniemanie, że kraj Amurski podobny jest do „Niemiec czasów Tacyta“. „A uprzytomnijcie sobie, panowie – zawołał patetycznie premier – czym są Niemcy obecnie!“ I „parlament“ zrujnowanego kraju, w którym chłop nie może wybrnąć z głodu, uchwała w formie nagej kredyt na przekształcenie nadamurskiej pustyni w Niemcy współczesne! Ale kolej Amurska jest tylko pierwszym krokiem. Jak to bowiem wskazywali sami przedstawiciele rządu, krok ten nieuniknienie pociąga za sobą następny: przeprowadzenie drugiej linii syberyjskiej. Przedsięwzięcie to, razem z polepszeniem bytu materialnego armji, co również stoi na pierwszym planie, będzie – podług obliczeń Kokowcowa – wymagać około 800 milionów rubli. Co prawda, komisja Dumy odrzuciła asygnowanie miljarda na marynarkę. Ale pokojowe zakończenie tego „odrzczenia“, pozbawione nawet ze-

wewnętrznej dramatyczności, każe upatrywać w nim rezultat przedwstępnego porozumienia ze Stołypinem – mającego na celu pewne zmiany biurokratyczne – i nie będzie bynajmniej niespodzianką, jeżeli Duma, otrzymawszy jakiegokolwiek „gwarancje“ co do składu osobistego ministerjum marynarki, przyjmie w tej czy innej formie omawiany projekt prawa.

Wydaje się to absurdem, lecz w rzeczywistości jest zupełnie w porządku rzeczy. Większość trzeciej Dumy składa się z elementów, nie dających się z sobą pogodzić i złączona jest gołą nienawiścią do społecznych tendencji rewolucji. Na skutek tego Duma nie jest zdolna do żadnego kroku w dziedzinie twórczej. I rozumie to dobrze sama. Kwestje polityki zewnętrznej, „siła i potęga“ państwa są tym jedynym polem, na którym Duma, przewyciężając swe wewnętrzne przeciwieństwa, spodziewa się znaleźć odpowiedź na pytania, które zrodziły rewolucję i od rozwiązania których nie można się wywinąć. I widzimy, z jaką stałością uwaga klas „wykształconych“ przesuwana się w ciągu ostatnich miesięcy z kwestji wewnętrznych na kwestje polityki zagranicznej.

Że prawica głosowała za koleją Amurską, tłumaczy się to dostatecznie okolicznością, iż rząd obiecuje wyznaczyć nad Amurem miliony dziesięcin ziemi dla przesiedleńców włościańskich. Cóż może być bardziej pojętym od projektu przetransportowania kwestji rolnej na wybrzeża oceanu Spokojnego? Zasiadający w centrum październikowcy – przedstawiciele wielkiego kapitału – widzą w patriotyzmie amurskim przedewszystkim trzysta milionów rubli, które drogą pożyczki państwowej przejdą do rąk przemysłu ojczystego. Wobec silnego kryzysu przemysłowego i drożyzny gotówki na giełdzie europejskiej pozostaje tylko znowóż skupić swe nadzieje na obstalunkach rządowych, skoro przeprowadzenie gruntownych reform wewnętrznych, które podniosłyby siły wytwórcze kraju, wypada odłożyć na czas nieograniczony. Że zaś październikowcy w zupełności pogodzili się z tym ostatnim, widać z całkowitej błahości debat nad budżetem ministerjum handlu i przemysłu.

Kadeci głosowali przeciw kolei. Nie będziemy zapuszczać się w dociekania na temat, jak postąpiliby gdyby od ich głosów zawisły losy projektu rządowego. Wystarcza, że w partii kadeckiej istnieje silny prąd na korzyść przedsięwzięć na Dalekim Wschodzie i jako przedstawiciel tej mniejszości wewnątrz frakcji energicznie wystąpił sam Milukow. Z drugiej strony Piotr Struwe, znakomity termometr polityczny liberalnego mieszczaństwa, rozpoczął energiczną kampanję przeciwko „antypaństwowym“ tradycjom inteligencji rosyjskiej, nawołując ją do zrozumienia, iż państwo, jako „osobnik mistyczny“ jest „celem samo w sobie“ i że w sprawach potęgi „Wielkiej Rosji“ nie ma miejsca na podziały partyjne. Wskazuje on na półwysep Bałkański, jako na terytorjum, gdzie mistyczny osobnik z obitemi w Mandżurji bokami powinien urzeczywistnić swe wszechsłowiańskie przeznaczenie. To nacjonalistyczno-liberalne nicowanie archaicznego słowianofilstwa, uwidaczniające się najlepiej pod piórem Piotra von Struwe, Niemca z pochodzenia, a marxysty ze swej przeszłości, doprowadziło

już do powstania profesorskich i studenckich towarzystw słowiańskich, kierowanych przez kadetów. Pod względem politycznym pogodzenie się wykształconego ogółu z mistycznym osobnikiem państwa Romanowów wyraża się w tym, że frakcja kadecka uchwała z zamkniętymi oczyma kredyty na reprezentację nazewnątrz i wita oklaskami każde wystąpienie ministra spraw zagranicznych. Bardziej zasadniczy od październikowców w teorii, lecz tchórzliwsi od nich w praktyce, szukają kadeci w imperjalizmie rozwiązania zadań, których nie rozwiązała dotychczas rewolucja. Partja, która powszechne prawo wyborcze zalicza obecnie narówni z „dyktaturą proletariatu“ do rzędu „wyblakłych złudzeń“, została przez wydarzenia rewolucji i kontrrewolucji doprowadzona do obiektywnej konieczności faktycznego wyrzeczenia się idei wyłączenia ziem szlacheckich i demokratyzacji całego ustroju społecznego, a więc i do wyrzeczenia się nadziei na stworzenie silnej podstawy dla rozwoju kapitalistycznego w postaci dobrze ugruntowanego wewnętrznego rynku włościańskiego. A w takim razie naturalną kolejną rzeczą państwo staje się dla niej „celem samym w sobie“, którego mistyczne przeznaczenie polega na zapewnieniu posiadania rynków zewnętrznych. Opozycyjnie zabarwiony imperjalizm Milukowa pokrywa jak gdyby pewną szminką ideologiczną kontrrewolucyjną kombinację, spoczywającą u podstawy trzeciej Dumy, a złożoną z samowładnego biurokraty, dzikiego szlachcica i pasożytniczego kapitalisty.

Coprawda, dla realizacji mistycznych przeznaczeń potrzebne są olbrzymie środki, a tymczasem skarb państwa znajduje się w nader smutnym stanie. Rezerwa złota, pochłaniana przez odsetki od pożyczek zagranicznych, systematycznie ulega zmniejszeniu. W komisji Rady Państwa Witte niejednokrotnie wypowiadał obawy o losy waluty złotej. Minister skarbu wie, naturalnie, lepiej, niż ktokolwiek inny, o ile obawy te są słuszne, ale wyraża pewność, że jeżeli tylko nie będzie się narzucać skarbowi kosztownych reform, w rodzaju agrarnej lub nauczania powszechnego, to na bieżące cele patriotyczne będzie można znaleźć środki. I trudno wątpić o tej pewności. Przy dzisiejszej depresji na rynku handlowo-przemysłowym papiery państwowe są najbardziej ponętną lokatą dla wycofanych kapitałów. Ryzyko? Ależ, przedewszystkiem rozkłada się ono na wszystkich posiadaczy papierów, a szalone zyski z operacji skupiają się w niewielu rękach, podrugie zaś w bajecznych procentach, jakie zjadają budżet Rosji, zawarte jest i wynagrodzenie za ryzyko. Prócz tego w chwili obecnej, kiedy w kraju panuje pozorny „spokój“, — bodajby przy akompanjamencie nieustających eksproprjacji i zabójstw wojennosądowych, — kiedy Duma kroczy ramię w ramię z rządem, a opozycja z szacunkiem oklaskuje ministra spraw zagranicznych, ryzyko zdaje się być mniejszym, niż kiedykolwiek. Wreszcie zbliżenie z Anglią, które odbyło się przy czynnym współdziałaniu dyplomacji francuskiej, otwiera rynek brytański dla patriotyzmu amurskiego i wszystko przemawia za tym, że spodziewana w najbliższym czasie wizyta, jaką król angielski ma złożyć carowi rosyjskiemu, będzie tylko dekora-

cyjnym wstępem do olbrzymiej pożyczki rosyjskiej na giełdzie Londynu.

Powstała w ten sposób sytuacja zda się na pierwszy rzut oka być brzemiennej w najbardziej nieoczekiwane skutki. Rząd, który po-grzebał reputację swej potęgi na wodach Cuszimy i polach Mukdenu, na którego głowę zwały się straszliwe skutki jego awanturycznej polityki, ten sam rząd ukazuje się teraz niespodziewanie w aureoli zaufania patriotycznego ze strony przedstawicieli „narodu“. Otrzy-muje on bez żadnych kwestji nietylko pół miliona żołnierza i pół miljaru na bieżące wydatki wojskowe, ale znajduje oraz po-parcie Dumy w swych nowych eksperymentach na Dalekim Wschodzie. I nie dosyć na tym. Z prawicy i z lewicy, od czarnosecińców i od kadetów słyszy on wyrzuty z racji zbyt małej aktywności w sferze polityki zagranicznej. W ten sposób cała logika wypadków pcha rząd carski na niebezpieczną drogę walki o odzyskanie swego stanowiska światowego. I kto wie? Może losy samowładztwa poddane zostaną powtórnej próbie na polach Amuru lub wybrzeżach morza Czarnego wcześniej, niż znajdą swe ostateczne i bezpowrotne rozwiązanie na ulicach Petersburga i Warszawy.

W kwestji zadań naszych wobec robotników wiejskich i włościan.

Napisał J. Karski.

II.

3. Podział własności ziemskiej.

Jednym z najważniejszych czynników w układzie stosunków rolnych jest podział ziemi pomiędzy właścicieli rozmaitych kategorii. Zestawiamy więc dane w tej kwestji, jakich dostarcza statystyka urzędowa. W zeszycie XXI „Prac“ Warszawskiego Komitetu Sta-tystycznego znajdujemy następujące zestawienie na zasadzie danych z roku 1904:

Było ziemi w posiadaniu			
włościan	5 508 092	diesiatin	= 48,8% ogólnego obszaru
drobnej szlachty .	651 740	„ „	5,8 „ „ „
mieszkańców osad	292 367	„ „	2,6 „ „ „
miast	153 438	„ „	1,3 „ „ „
dworów	3 961 584	„ „	35,1 „ „ „
skarbu	669 968	„ „	5,9 „ „ „
innych właścicieli	59 840	„ „	0,5 „ „ „
Razem	11 297 029	diesiatin	= 100% ogólnego obszaru.

Trzy pierwsze rubryki stanowią razem tak zwaną „drobną własność“, pozostałe wielką własność. Zatem w posiadaniu drobnych właścicieli było 57,2% obszaru, na wielką własność przypada 42,8%. Należałoby dodać podział ziemi według używalności, to jest ile grun-

tów ornych, lasów, pastwisk, było w posiadaniu każdej kategorii właścicieli; niestety — niema danych odpowiednich za tenże rok 1904, a rozporządzamy niemi tylko za rok 1894 (zeszyt XV „Prac“). Z nich wynika, że w tym roku z ogólnego obszaru przypadło % ogólnej przestrzeni na

	u drobnych posiadaczy	u dworów
grunta pod zabudowaniami i ogrodami .	4,9%	1,7%
grunta orne	64,4 „	49,5 „
łąki	10,4 „	7,6 „
pastwiska	10,3 „	5,3 „
lasy	5,0 „	31,1 „
nieużytki	5,0 „	4,8 „
Razem .	100%	100%.

Co do gruntów skarbowych, to z nich 88% jest pod lasami.

Dla obszarów dworskich mamy następnie zestawienie za r. 1901, (zeszyt XXV „Prac“), z którego wynika, że lasy w tym roku zajmowały już tylko 28,7% ogólnej przestrzeni.

Należy zauważyć, że dane te nie odznaczają się ścisłością. Zwłaszcza określenie, co jest pastwiskiem, a co nieużytkiem jest nader dowolne; podobnie co do łąk: wiele takich „łąk“ naszych rolnik zachodni zaliczyłoby do pastwisk, gdyż dają siana mało i w lichym gatunku. Przy podniesieniu kultury rolnej część nieużytków może zostać zamienioną na rolę, jak również część pastwisk.

Zwracamy uwagę na cyfry, dotyczące lasów. Według danych z roku 1894 powierzchnia pod lasami stanowi 20,7 ogólnego obszaru a dane za rok 1901 wykazują poważne zmniejszenie obszaru lasów dworskich, tak że obecnie mamy w każdym razie mniej, niż 20% powierzchni zalesionej. Jest to stanowczo za mało przy naszych warunkach klimatycznych. W Niemczech np., gdzie warunki klimatyczne są analogiczne, lasy zajmują przeszło 25% obszaru. Dalsze trzebieenie lasów grozi rolnictwu klęskami. O fakcie tym zapominają zawsze rzecznicy parcelacji, którzy w podziale ziemi pomiędzy włościan widzą zbawienie i na tym kończy się ich mądrość. Tymczasem parcelacja zawsze doprowadza do wyniszczenia lasów. Ponieważ utrzymanie lasów w całości jest koniecznością i stanowi jedno z najważniejszych zadań polityki agrarnej, powierzchnię pod lasami trzeba wyłączyć bezwarunkowo z obliczeń parcelacyjnych, a wówczas okaże się, że z ogólnej powierzchni, będącej w posiadaniu wielkiej własności, należy wykluczyć więcej, niż trzecią część obszaru, który parcelacji ulec w żadnym razie nie może, bo jest niezbędny dla krajowego gospodarstwa leśnego.

Postaramy się teraz wejrzeć bliżej w podział własności ziemskiej. Zaczynamy od wielkiej własności, rozróżniając własność miast, skarbu, obszary dworskie i majoraty.

1) Własność miast. Powyżej przytoczyliśmy cyfrę 153 438 diesiatin jako własność miast, jaką podaje XXI zeszyt „Prac“; w zeszycie XXIV tegoż wydawnictwa znajdujemy bardziej szczegółowe dane, lecz — rzecz dziwna — przestrzeń ta wynosi 24 686 diesiatin

zabudowanych, następnie w obrębie miasta niezabudowanej ziemi w posiadaniu miasta 5 089 i w posiadaniu prywatnym 11 802 diesiatin; poza tym 56 590 diesiatin poza obrębem miasta, a więc lasów, folwarków, nieużytków, będących własnością miast. To daje razem nie 153 438, a tylko 98 167 diesiatin; 54 271 diesiatin gdzieś się podziało! Wyjaśnień żadnych. Jest to jedna z owych niespodzianek, na które trzeba być przygotowanym, kiedy się operuje cyframi Warszawskiego Komitetu Statystycznego, który wprost niechlujnie rzecz swoją traktuje. Pomijając tedy ową przypadłą przestrzeń, okazuje się, że miasta są w posiadaniu 14 415 diesiatin lasu, 22 231,5 diesiatin ziemi ornej, 13 673,5 pastwisk i łąk, 3 832,5 nieużytków i 2 438,1 diesiatin pod zabudowaniami i ogrodami. Właścicielami ziemi są przeważnie nie większe miasta, a małe miasteczka. Warszawa za obrębem miasta ma zaledwie 144 diesiatin, Łódź 392; natomiast miasteczko Parczew ma 5 840 diesiatin, przeważnie gruntów ornych, Łuków 2 465, Rawa 2 585 i t. p. Nawiasem mówiąc, wynosił dochód z tych gruntów za rok 1905 — 175 739 rubli, to jest po 3,12 rubla z diesiatiny czyli około 1,5 rubli z morgi. Świadczy to o skandalicznej wprost gospodarce. Najwidoczniej ten majątek publiczny jest beczelnie rozkradany przez czynowników, zarządzających miastami.

2) Grunta skarbowe, obejmujące 669 983 diesiatin są przeważnie, jak zaznaczyliśmy, pod lasami. Skarb państwa ciągnie z tych lasów około 5 milionów rubli dochodu rocznie. Pod względem podziału na gubernje otrzymujemy takie cyfry ziemi skarbowej (w diesiatinach):

Warszawska	58 135	Piotrkowska	51 335
Kaliska	17 420	Płocka	23 664
Kielecka	76 702	Radomska	82 578
Łomżyńska	110 533	Suwalska	204 248
Lubelska	24 568	Siedlecka	20 785

3) Majoraty czyli donacje powstały wskutek ograbienia przez rząd carski właściciele ziemskich, którzy brali udział w powstaniach 1830 i 1863 roku; posiadłości tych ludzi zostały rozdane pomiędzy zgrają czynowników i wojskowych za „zasługi“ katowskie. Dobra te podlegają specjalnym przepisom: nie mogą być sprzedawane, ani obdłużone. Są one dziś w rękach spadkobierców owych „zasłużonych“, którzy przeważnie pełnią funkcje czynownicze, ziemię zaś oddają w dzierżawę. Ogólny obszar tych majoratów wynosi 346 896 diesiatin, z czego $\frac{1}{3}$ lasów, reszta ziemi ornej i t. p. Największy obszar przypada na gub. Suwalską — 61 691 diesiatin i Radomską — 47 737, najmniejszy na Płocką — 9 347; na pozostałe gubernje przypada po trzydzieści kilka tysięcy diesiatin.

4) Dobra prywatne czyli obszary dworskie. Liczbę ich podano na rok 1906 (Zeszyt XXX „Prac“) na 7 417, a obszar na 3 269 636 diesiatin. Poszczególne liczby według gubernji przedstawiają się tak:

Gubernja	Ilość folwarków	Obszar w diesiatinach	Przeciętna wielkość w diesiatinach
Warszawska	1 575	563 706	357,9
Kaliska	878	351 240	400,0
Kielecka	606	251 208	414,5
Łomżyńska	340	145 078	426,6
Lubelska	651	518 322	796,2
Piotrkowska	696	318 457	457,7
Płocka	1 120	357 599	319,3
Radomska	607	268 312	442,0
Suwalska	427	157 856	369,7
Siedlecka	517	337 858	653,5.

Bardziej detalicznych cyfr nie posiadamy, a tymczasem powyższe dane są zaledwie najbardziej surowym materiałem. Przedewszystkiem na zasadzie tych cyfr nie możemy ustalić stopnia koncentracji ziemi w rękach właścicieli. Folwarków jest 7 417, lecz niewiadomo, ilu jest posiadaczy. Faktem jest, że istnieją dosyć liczne „klucze“, to jest dobra, składające się z 2, 3–4 i więcej folwarków. Następnie folwark folwarkowi nie równy. Przeciętna wypada dla całego kraju 440,8 diesiatin = 860,2 morgów = 28,66 włók. Tymczasem istnieje niewątpliwie bardzo znaczna liczba folwarków mniejszych, niż 10 włók; skoro więc przeciętna wynosi 28,66 włóki, musi być znaczna ilość folwarków o znacznie większym obszarze. To też Wiercieński w swojej monografii „Opis statystyczny gubernji Lubelskiej“ podaje dla tej gubernji 73 latyfundiów, z których każde ma przeszło 100 włók, a ogółem mają one 381 329 morgów, prócz ordynacji Zamojskiej, która sama jedna — stanowiąc zresztą wyjątek w Królestwie — obejmuje 340 815 morgów. Takie latyfundja o 100 i więcej włókach spotykamy zresztą we wszystkich gubernjach; więcej ich na wschodzie i północy, mniej w zachodniej części kraju.

Jeżeli postawimy pytanie: czy odbywa się koncentracja, czy rozdrabnianie ziemi? — to należy tu odróżnić dwa zgoła odmienne zjawiska: parcelowanie folwarków pomiędzy drobnych posiadaczy — włościan oraz koncentrację lub rozdrabnianie folwarków. Parcelacja odbywa się niewątpliwie, a prócz tego obszary dworskie zostają zmniejszone wskutek znoszenia serwitutów. Lecz obok tego może iść koncentracja obszarów dworskich w ten sposób, że posiadacze większych dóbr skupują folwarki. O tym ostatnim zjawisku nie mamy atoli danych cyfrowych. Znaczący stosunków rolnych, z którymi mi wypadło rozmawiać, twierdzą, że takie skupywanie odbywało się w znacznych rozmiarach do lat osiemdziesiątych, odbywa się i teraz jeszcze, lecz w rozmiarach skromniejszych.

O zmniejszeniu obszaru własności dworskiej dają pojęcie następujące cyfry: obszary dworskie wraz z donacjami miały obszaru ¹⁾

1) Pierwsza cyfra według Anuczyna, cyfra za rok 1887 według Centralnego Komitetu Statystycznego, następne według Warszawskiego Komitetu Statystycznego.

po uwłaszczeniu . . .	4 951 500	diesiatin
w roku 1887 . . .	4 582 230	"
" " 1894 . . .	4 590 677	"
" " 1901 . . .	4 279 677	"
" " 1904 . . .	3 961 584	"
" " 1906 . . .	3 616 532	"

Ubyło zatem od czasów uwłaszczenia włościan obszaru dworskiego 1 334 978 diesiatin.

Cyfry te powinnyby się zgadzać z cyframi obszaru ziemi, jaki włościanie otrzymali w zamian za serwituty i jaki nabyli drogą kupna od dworów; nie zgadzają się jednakże. Według Komitetu Warszawskiego otrzymali mianowicie włościanie do roku 1904 — 465 569 diesiatin w zamian za serwituty, kupili 917 767 diesiatin, czyli razem 1 383 336 diesiatin, podczas gdy dworom do roku 1904 ubyło 689 916 diesiatin. Różnica poważna — 393 420 diesiatin. Objaśnić ją tym, że włościanie nabywali ziemię nie tylko z obszarów dworskich nie można, gdyż drobnej szlachcie i mieszkańcom miasteczek rolniczych przybyło również ziemi, a grunta skarbowe, majoraty i grunta miejskie sprzedaży nie ulegają. Stoimy więc znowu wobec jednej z owych grzecznych zagadek, które Warszawski Komitet Statystyczny zadaje swoim czytelnikom, nie troszcząc się o rozwiązanie.

W każdym razie zmniejszanie się obszaru dworskiego jest faktem. Po uwłaszczeniu włościan własność dworska zajmowała połowę obszaru całego kraju, obecnie już tylko 35%. Królestwo przestało tedy być krajem, w którym dominuje własność dworska. W państwie Pruskim są prowincje — Górny Śląsk, Poznań, Pomerania, — które mają większy procent obszaru w posiadaniu wielkiej własności prywatnej, bo przeszło 50%.

Przechodzimy do drobnej własności.

Rozróżnianie posiadłości włościańskich, drobnoszlacheckich i osadniczych ma znaczenie pod względem prawnym, gdyż drobna szlachta pod względem rozporządzenia swojemi gruntami nie ulega tym ograniczeniom, co włościanie; pod względem kulturalnym i obyczajowym zachodzą również pewne różnice, uzasadnione w historycznym rozwoju tych grup, lecz pod względem gospodarstwa społecznego różnice te nie wchodzą prawie w rachubę. Dlatego całą drobną własność będziemy traktowali jako jedną całość, bez rozróżniania podziału właścicieli na stany.

Najważniejszym jest pytanie: ile jest gospodarstw różnej wielkości? Jasnym jest bowiem, że pomiędzy właścicielem chałupy i maleńkiego spłachcia gruntu, a pomiędzy właścicielem paru włók gruntu, zachodzi ogromna różnica; pierwszy jest prawie proletarjuszem, drugi przedsiębiorcą rolnym, wyzyskiwaczem, który zatrudnia płatnych najmitów. Do niedawna rozróżnianie gospodarstw włościańskich na typy pod względem obszaru było bardzo utrudnione, gdyż statystyka rozróżniała tylko trzy grupy: gospodarstwa o obszarze mniej niż 3 morgi, 3 do 15 morgów i ponad 15 morgów. Był to podział czysto przypadkowy, zależny od tego, że według tych kategorii różniła się opłata podatku podymnego. Obecnie mamy do-

kładniejsze dane: w zeszycie XXI „Prac“ Komitetu Statystycznego znajdujemy mianowicie dane co do liczby i obszaru gospodarstw z rozróżnieniem od morgi do morgi, a więc ilość gospodarstw jednomorgowych, dwumorgowych, trzymorgowych i t. d.

Należy tedy ustanowić podział na typy gospodarcze. Podział taki będzie oczywiście zawsze konwencjonalny, a w dodatku bardzo nieścisły. Gospodarstwo np., na 3 morgach gruntu gdzieś w zapadłym kącie kraju, a także gospodarstwo w bezpośrednim sąsiedztwie Warszawy lub Łodzi, różnią się ogromnie: właściciel pierwszego musi żyć jako najmita dworski, właściciel drugiego może być ogrodnikiem, który zatrudnia najmitów; cena ziemi w pierwszym gospodarstwie wyniesie może 300—400 rubli, podczas gdy cena ziemi w drugim wyniesie 1500 rubli i więcej. Wszystkich takich różnic indywidualnych uwzględnić nie sposób; gdy chcemy ująć zjawiska typowe dla kraju, musimy z konieczności schematyzować. Spróbujmy więc uzasadnić ten schemat.

Historycznie i rzeczowo najważniejszym typem posiadłości włościańskiej jest taka posiadłość, na której rodzina posiadacza ma możliwość utrzymać się z uprawy roli bez zarobków postronnych, i którą ta rodzina może uprawić o własnych siłach, bez zatrudniania najmitów. Historycznie — gdyż od czasu ustalenia prywatnej własności ziemi typ „kmicia“ samodzielnego i niezależnego nie tylko w kraju naszym, lecz w całej Europie zachodniej był niewątpliwie główną siłą gospodarczą. Nawet w okresie następnym, okresie pańszczyźnianym, ten typ społeczny zachowuje swoje znaczenie: dopóki bowiem ustrój pańszczyźniany nie doprowadził do sproletaryzowania i wynędznienia włościan, gospodarstwo kmiecie, dostatecznie zasobne w ziemię, by dać utrzymanie rodzinie całej, stanowi podstawę gospodarki rolnej. Społecznie — gdyż dopóki trwa prywatna własność ziemi, ten typ posiadaczy rolnych jest najmniej antispołeczny. Taki samodzielny gospodarz-kmieć nie jest ani wyzyskiwanym, ani wyzyskiwaczem, uprawia o własnych siłach, własną ziemię. Nie znaczy to, abyśmy uważali podział ziemi zdatnej do uprawy pomiędzy takich samodzielnych gospodarzy-kmiecici za ideał społeczny. A to dla tej prostej przyczyny, że przy takiej drobnej uprawie nie może zostać wydobyte z ziemi to, co dać ona może, podniesienie zaś wydajności pracy ludzkiej do maximum jest bezwarunkowo kwestją zasadniczą dla społeczeństwa.

W ostatnich latach znaleźli się, jak wiadomo, fanatyczni obrońcy drobnej uprawy rolnej nawet wśród socjalistów, mianowicie w niemieckiej Socjaldemokracji — Edward David i jego poplecznicy. Nie możemy tu wdawać się w szczegółowy rozbiór ich poglądów i wykazanie ich błędów zasadniczych, co zresztą już zostało dokonane przez Kautskyego; wystarczy jeżeli wykażemy, że wywody Davida nie mogą być utrzymane, gdy chodzi o warunki rolnicze naszego kraju. Otóż — jedynym argumentem Davida, zasługującym na uwagę, bo opartym na obserwacji rzeczywistej, jest przewaga drobnej uprawy nad wielką pod względem pieczołowitości w pracy: drobny posiadacz z drobiazgową starannością zastosowuje się do warunków gleby

i bytu zwierząt. Czynniki ten odgrywa niewątpliwie znaczną rolę tam, gdzie uprawa przyjmuje formę ogrodnictwa. Lecz ta forma uprawy da się właśnie stosować tam, gdzie jej sprzyja gleba i klimat, a więc tam, gdzie dojrzewa wino, gdzie sady i ogrody warzywne zapewniają obfity plon, gdzie możliwą jest uprawa szlachetnych gatunków tytoniu, uprawa chmielu i t. p., a to wszystko wykluczone jest w naszym kraju, który wskutek warunków gleby i klimatu jest i pozostanie krajem uprawy zbóż. Ta zaś zawsze będzie wymagała koncentracji sił roboczych w krótkich okresach uprawy pól i żniwa, wymagać będzie robót meljoracyjnych, jak osuszanie i irygacja, które są możliwe tylko na wielkich obszarach. David i jego zwolennicy operują ciągle pojęciem „zrzeszenia“; zrzeszenie ma jakoby zapewnić drobnym posiadaczom wszystkie korzyści wielkiej uprawy, bez jej stron ujemnych. Przy uprawie zbożowej jest to nonsens. Jeżeli chcemy wyzyskać czarnoziem kujawski lub sandomierski, to nie można trwonić ziemi pod uprawę kartofli, ani możemy na tych obszarach zakładać łąk; na szczyrkach płockich forsować ogrodnictwo lub kusić się o produkcję pszenicy będzie nieracjonalnym; na wielkich obszarach, które przy odpowiednich meljoracjach irygacyjnych dają bujne łąki dwukośne, uprawianie żyta będzie znów racjonalnym. Tymczasem drobne gospodarstwo rolne, oparte na uprawie zbożowej, zawsze musi wystarczać przy prywatnej własności samo sobie, musi mieć i zboże na sprzedaż i paszę dla inwentarza i wszystkie plony, potrzebne dla rodziny gospodarczej. Dlatego przenoszenie tego, co wysnuł David z obserwacji gospodarstw napoły ogrodniczych w Hessji, Badenji i prowincji Nadreńskiej do naszych warunków, jest poprostu dziecinadą. Tu zrzeszenie, kooperacja ma zgoła inne zastosowanie, mianowicie — zrzeszenie tych, co uprawiają ziemię w wielkich jednostkach gospodarczych, dla intensywnej uprawy pól, które dany obszar dostarczyć może w największej ilości i najlepszej jakości i wymiana tych pól.

Jeżeli więc podkreślamy dodatnie strony niezależnego kmieckiego gospodarstwa, to chodzi o rzecz względną: przy istniejących warunkach takie samodzielne gospodarstwo, dlatego właśnie, że nie jest oparte na wyzysku cudzej pracy, jest typem najmniej ujemnym społecznie.

Zachodzi pytanie: ile trzeba przeciętnie ziemi, aby powstać mogło takie samodzielne gospodarstwo kmieckie? Oczywiście jest to rzecz bardzo względna. W pobliżu miast większych, gdzie jest odbytu na nabiał, drób, produkty ogrodnicze, gdzie zaty produkcja zboża dla sprzedaży schodzi na drugi plan, obszar może być mniejszy, gdzie takich dochodów niema, musi być większy. Następnie chodzi o urodzajność gleby i w końcu o intensywność gospodarstwa. Tam np., gdzie gleba pszenna, gdzie istnieje możliwość uprawy buraków cukrowych, morga ziemi wchłania więcej pracy i daje większy plon, niż tam, gdzie gleba licha i o intensywnej uprawie niema, na razie przynajmniej, mowy. Jeżeli więc weźmiemy jakiś obszar przeciętny dla kraju, będą tu zawsze istniały znaczne uchylenia w jedną i drugą stronę.

W każdym razie warunkiem istnienia racjonalnego gospodarstwa rolnego jest u nas zawsze, aby gospodarstwo było sprzężajne, to znaczy, aby posiadało parę koni, któreby mogło zatrudnić dostatecznie na własnym gruncie, a zarazem wyżywiać je paszą wyprodukowaną we własnym gospodarstwie, by miało wkońcu z tych koni mierzwę dla pól.

Chodzi więc o to, na jakim obszarze utrzymanie sprzężaju opłaca się? Znow będzie to zależne od szeregu okoliczności — od urodzajności gleby i intensywności gospodarstwa, a dalej od tego, czy włościanin może liczyć na zarobek furmanką w czasie wolnym od robót polnych. Zarobki takie polegają na dostawach zboża do miast, buraków do cukrowni, zwózce drzewa z lasów, kamieni do szos i budowli, przewożeniu ładunków z kolei do miasteczek pomniejszych, gdzieniegdzie jeszcze zwózce rudy i wapniaka. Otóż, zdaniem fachowców, na obszarze mniej, niż 12 morgów utrzymanie pary koni nie może się nigdy opłacać, na 12 do 15 morgach zaś tylko w warunkach pomyślnych.

Jeżeli więc przyjmijemy tę normę, to powiemy, że od 12 morgów poczyna się możność istnienia gospodarstwa samodzielnego. Przyczym norma to raczej zbyt niska i być może należy ją powiększyć do 15 morgów dla wielu okolic kraju. Gospodarstwa mające mniej niż 12 morgów ziemi jako samodzielne istnieć nie mogą.

Należy teraz wytknąć granicę ku górze. Otóż znow, zdaniem rzeczoznawców, przy warunkach przeciętnej intensywności uprawy u nas, rodzina włościańska może jeszcze uporać się z pracą na 20 morgach gruntu, więcej zazwyczaj bez pomocy najmitów nie będzie wstanie uprawić.

Zatym samodzielne gospodarstwo z własnym sprzężajem, przy którym obywa się bez regularnego najmu, będzie to gospodarstwo na obszarze 12 do 20 morgów.

W gospodarstwach, mających ponad 20 morgów, właściciel pracuje zazwyczaj sam na roli fizycznie, lecz nie może obejść się bez najmu sił roboczych. Nazwijmy więc te gospodarstwa — ale to tylko w braku lepszej nazwy — włościańsko-„kapitalistycznymi“. Zauważymy zaraz, że ten typ gospodarstw jest społecznie najmniej pożądanym. O podnoszeniu kultury rolniczej, o postępie technicznym, niema tu mowy, gdyż korzyści techniki maszynowej i wogóle korzyści wielkiej uprawy w takich gospodarstwach od 20 morgów do 2—3 włók (od 4 włók już zaczyna się uprawa folwarczna) nie może być mowy. Z drugiej strony znaną jest rzeczą, że taki włościanin włókowy jest najbezwzględniejszym, najbrutalniejszym wyzyskiwaczem cudzej pracy, co dokumentuje się dosadnie niechęcią najmitów wiejskich zaciągania się na służbę do takich włościan. Taki włościanin, prowadzący „kapitalistyczną“ gospodarkę jest prawie zawsze nawskroś wstecznikiem. Chamstwo duchowe jest cechą zasadniczą tych „półpanków“, jak ich często nazywają. Z nich rekrutuje się typ wójta, bezczelnie okradającego gminę, jak również typ drobnego spekulanta, kupczącego ziemią, typ lichwiarza wiejskiego, a zarazem też

typ drobnego procederzysty wiejskiego, o ile są młynarzami, przepkupniami bydła i t. p. Są to często ludzie, którzy już pozbyli się wiejskiej nieruchomości i weszli na tory robienia grosza bez przebierania w środkach. Są oczywiście i inni, lecz to nie zmienia typowego zjawiska.

Poniżej 12 morgów zaczyna się gospodarstwo małorolne. Włościanin, mający mniej ziemi, nie może naogół — wyjątek stanowią gospodarstwa w bezpośrednim sąsiedztwie miast, które przechodzą już do typu uprawy ogrodowej — wyżyć z uprawy jedynie swojej roli, musi sprzedawać swą siłę roboczą. Należy tu jednakże rozróżniać dwa typy: po pierwsze, takich posiadaczy drobnych, którzy żyją przeważnie z zarobków jako najmici, przyczem plon własnego gospodarstwa jest dla nich tylko dodatkowym dochodem; po drugie, takich, dla których przeciwnie plon z własnego gospodarstwa jest głównym źródłem dochodu, zarobek zaś z najmu dodatkowym. Rozróżnienie takie jest ważnym już z tego względu, że chodzi o dwa różne typy społeczne. Posiadacz spłachcia ziemi bowiem, który pracuje prawie wyłącznie jako najmity, pozostawiając gospodarstwo na barkach żony i dzieci, jest w gruncie rzeczy proletarjuszem. Ma on chałupę własną (częstokroć tylko część chałupy, skoro ta należy prawnie do dwóch, czasami nawet do czterech rodzin) i kawałek ziemi, który dostarcza ziemniaków i kapusty, lecz nie przestaje przez to być proletarjuszem, taksamo jak nie przestaje nim być robotnik fabryczny, gdy dorobił się sprzętów domowych wartości setki rubli lub złożył w kasie pewien zasób oszczędności. Znany powszechnie jest fakt, że częstokroć posiadanie spłachcia ziemi jest raczej kulą u nóg takiego proletarjusza wiejskiego: nie może on bowiem często porzucić tego swego gospodarstwa, a wskutek tego nie może poszukiwać zarobku tam, gdzie najkorzystniej sprzeda swą siłę roboczą, lecz musi pracować w okolicznych dworach, gdzie płacę mu dyktują. Natomiast posiadacz nieco większego obszaru ziemi, obszaru, który wchłania pokaźną część jego siły roboczej, nie jest już proletarjuszem, jakkolwiek czasowo pracuje jako najmity. Jest to więc typ przejściowy pomiędzy proletarjuszem a samodzielnym producentem.

Naogół możemy przyjąć, że do pierwszego typu należą posiadacze gospodarstw poniżej 3 morgów, gdyż na 3 morgach o właściwym gospodarstwie rolnym niema mowy. Nazwiemy więc te najdrobniejsze gospodarstwa karłowatemi. Pozostanie wówczas zastęp gospodarstw od 3 do 12 morgów, które nazwiemy małorolnemi; ich to posiadacze stanowią ów typ przejściowy.

Ponieważ za cechę charakterystyczną gospodarstw samodzielnych przyjęliśmy sprzężajność, to jest możność utrzymania pary koni, musimy tu wtrącić, że i z owych małorolnych spora liczba trzyma po jednym lub dwa nawet, zazwyczaj liche i mizerne, konie. Jest to rzeczywiście położenie bez wyjścia: 6, 8 lub 10 morgów bez sprzężaju nie obrobi, z drugiej strony na takim gospodarstwie paszy dla koni nie starczy; prócz tego zachodzi marnotrawienie siły, skoro konia trzeba żywić, żywić cały rok, a roboty dla niego jest

tylko na krótki czas. Muszą więc ci małorolni starać się o zarobek sprzężajem, przyczym głównym zarobkiem jest uprawa roli za opłatą na polach tych gospodarstw, które koni nie mają. Gospodarstwa bez sprzężaju są w położeniu nie mniej ciężkim: uprawiają rolę wynajętym sprzężajem, co pociąga za sobą oczywiście spóźnienie; zaorze się nie wtedy, kiedy trzeba, a kiedy sąsiad skończy robotę na swoim i odnajmie konie. Słowem — tak czy owak, małorolnemu zawsze wiatr w oczy.

Co do liczby gospodarstw, posiadających i nieposiadających koni, nie mamy danych świeższych, jak za rok 1893—1894. Wówczas było gospodarstw bez sprzężaju 212 700, mających konie 439 400.

Mamy więc taki schemat podziału gospodarstw drobnej własności na kategorie typowe:

I. Gospodarstwa karłowate, mające mniej, niż 3 morgi gruntu;

II. Gospodarstwa małorolne, mające od 3 do 12 morgów;

III. Gospodarstwa samodzielne, mające od 12 do 20 morgów;

IV. Gospodarstwa włościańsko-„kapitalistyczne“, mające ponad 20 morgów.

Ile więc jest w kraju naszym gospodarstw tych czterech typów? Jak powiedzieliśmy, statystyka urzędowa daje na to pytanie odpowiedź, lecz odpowiedź niedokładną. Główny powód tej niedokładności jest ten: podano ilość i obszar gospodarstw włościańskich na ziemi „nadanej“ (t. j. tej, którą otrzymali włościanie przy uwłaszczeniu; do niej należą również grunta, otrzymane przez włościan przy zamianie serwitutów), liczbę gospodarstw, właścicieli osad i drobnej szlachty. Nadto włościanie posiadają grunta dokupione. Otóż co do tych gruntów dowiadujemy się, jakiej wielkości były parcele nabyte, lecz nie dowiadujemy się, do jakich parcel zostały przyłączone, a to czyni cyfry niemal bezużytecznymi. Naprzykład dowiadujemy się, że włościanie nabyli 17 389 parcel wielkości od 7 do 8 morgów; jeżeli taką parcelę nabył włościanin posiadający 7 morgów, to gospodarstwo jego z kategorii małorolnych przeszło do kategorii samodzielnych; jeżeli kupił ją bezrolny, powstało nowe gospodarstwo małorolne; jeżeli kupił właściciel 25 morgów, powiększyło się gospodarstwo, zasobne już w ziemię. Lecz o tym, kto kupował te parcele nie mamy danych.

Z konieczności więc musimy zgoła pominąć na razie tę kategorię gruntów, a dopiero potem postaramy się przez analizę cyfr podanych uzupełnić wnioski. Następnie zachodzi jeszcze okoliczność, która sprawia, że cyfry urzędowe muszą być niedokładne. Jak wspomnieliśmy, nie wolno dzielić gruntów „nadanych“ na działki poniżej 6 morgów; faktycznie atoli takie dzielenie odbywa się stale; spadkobiercy dzielą schedę bez względu na zakaz. Komitet Statystyczny żądał od urzędów gminnych, aby podawano faktyczną ilość ziemi pojedynczych gospodarstw, chociażby zaszyły działki wbrew prawu; lecz w tym sęk, że te urzędy nie wiedzą o tym, nie mają danych, a włościanie, jeżeli byli zapytani, zawsze będą taić tę sprawę. Skutek jest taki: posiadłość o 15 morgach dawno została podzie-

lona na 4 działki, po $3\frac{3}{4}$ morgi, a w statystyce figuruje pomimo to jako niepodzielona. Poza tym — ogólne zastrzeżenie: dane Warszawskiego Komitetu Statystycznego zawsze są zbierane i opracowywane nad wszelką miarę źle i niedbale.

Na zasadzie więc danych urzędowych opracowaliśmy następującą tablicę, przedstawiającą podział gospodarstw drobnej własności, t. j. włościańskich, osadników i drobnej szlachty (z pominięciem gruntów, dokupionych przez włościan) w r. 1904.

Gospodarstw o obszarze morgów	ilość gospodarstw	ogólny % liczby	obszar ich w diesiatinach	na każde gospodarstwo tej kateg. wypada przeciętnie diesiatin	morgów
mniej niż 3	176 017	19,2	135 779	0,77	1,47
3 — 12	491 707	53,7	1 834 046	3,73	7,10
12 — 20	145 516	15,8	1 158 377	7,96	15,53
ponad 20	102 228	11,2	1 839 066	17,98	35,08
Ogółem	915 468	100	4 967 268	5,42	10,57

Z tych cyfr wypada przedewszystkim wniosek, że 72,9% ogólnej liczby należy zaliczyć do małorolnych i karłowatych.

Znaczy to iż 72,9% wszystkich gospodarzy małorolnych zbliża się do typu proletarjackiego. Blizko piąta część wszystkich tych posiadaczy żyje prawie wyłącznie ze sprzedaży siły roboczej, a więcej, niż połowa musi znaczną część swych potrzeb pokrywać z takiej sprzedaży.

Widzimy następnie, że gospodarstwa „karłowate“ w zupełności zasługują na tę nazwę, gdyż przeciętnie wypada na nie mniej niż 1,5 morgi, to jest zaledwie spłacheć ziemi pod ogród i kartofle.

Przeciętny obszar gospodarstw małorolnych wynosi 7,10 morgi, a taki obszar w żadnym razie ani na wyżywienie rodziny, ani na jako tako racjonalne prowadzenie gospodarstwa rolnego nie wystarcza. Te gospodarstwa stanowią więcej, niż połowę ogólnej liczby drobnych posiadłości, z obszaru zaś ogólnego przypada na nie 37,3%.

Natomiast liczba gospodarstw naszej kategorii III, gospodarstw samodzielnych jest niską, gdyż obejmuje zaledwie 15,8% ogólnej liczby. Przeciętnie wypada na gospodarstwo po 15,53 morgi. Z obszaru ogólnego przypada na tę kategorię gospodarstw 25,3%.

Jeszcze mniejszą jest liczba gospodarstw kategorii IV, gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“. Stanowią one 11,2% ogólnej liczby, lecz posiadają 37,4% ogólnego obszaru. Przeciętnie wypada na każde gospodarstwo po 35,08 morgi. Zatem przeważają tu gospodarstwa duże, włótkowe.

Jak zaznaczyliśmy, te cyfry wymagają korekty: musimy uwzględnić zmiany, jakie mogły zajść w podziale gospodarstw na typy, wskutek dokupienia ziemi przez włościan.

W tej kwestji mamy dane takie: Dokupili włościanie 917 767 diesiatin. Jest to cyfra pokaźna, gdyż stanowi 15,6% całego obszaru, jaki posiada drobna własność. Nie jest atoli tak wielką, jak należałoby się spodziewać wobec głosów prasy, które przedstawiają rzecz tak, jak gdyby dominującym zjawiskiem w naszych stosunkach rol-

nych była parcelacja. Pamiętać bowiem należy, że obszar ten obejmuje całą ziemię, jaką zakupili włościanie od chwili uwłaszczenia do roku 1904, a więc w okresie 40 lat. Przeciętnie więc kupowali włościanie z obszaru dworskiego po 22 944 diesiatin (mniej, niż 1 500 włók). Tymczasem przypada na ten okres dewalwacja ziemi wskutek konkurencji amerykańskiej, co wywołało właśnie ruinę wielu gospodarstw folwarcznych.

Z tego obszaru 917 767 diesiatin we wspólnym władaniu gromad włościańskich znajduje się 16 114 diesiatin (są to przeważnie państwiska); pozostaje 901 653 diesiatin. Obszar ten przy kupnie został rozbity na 179 076 parcel. Co do nabywców tych parcel, dowiadujemy się, że 83 304 z nich było w chwili kupowania w posiadaniu gruntów „nadanych“, natomiast 95 772 Komitet Statystyczny nazywa „bezrolnymi“. „Młodszy redaktor“ tego Komitetu, pan Bazoń bierze dosłownie to określenie i konstatuje z wielkim zadowoleniem, że „głównymi nabywcami ziemi są bezrolni“, a następnie tłumaczy to oszczędnościami, jakie zwożą do kraju obieżysasi, kupując potem ziemię. Są to poprostu nonsensy. Zapewne, bezrolni niekiedy kupują ziemię, lecz znawcy parcelacji konstatują jednogłośnie, że stanowią oni najmniej liczny żywioł parcelantów. Powoływanie się na oszczędności obieżysasów o tyle nie ma sensu, że główny kontyngent obieżysasów stanowią wcale nie bezrolni, lecz małorolni. Bezrolni — to parobcy dworscy przedewszystkim. Ich dzieci nie wychodzą na roboty rolne zagranicę, gdyż służą jako „posyłka“. Dalej — jeżeli już bezrolny kupuje parcelę, to chyba bardzo małą, dla niego bowiem założenie własnego gospodarstwa pociąga oczywiście za sobą przedewszystkim wydatek paruset rubli na wybudowanie chałupy, kupno krowy i narzędzi rolniczych, więc nie może być mowy o kupnie większej parceli, może chodzić tylko o parcele 1—2, najwyżej 3 morgowe. Tymczasem takich drobnych parcel powstało 29 819, a bezrolnych nabywców miało być 95 772. Nonsens więc oczywisty. — W końcu są takie dziwolaży: według danych Komitetu Statystycznego w gub. Radomskiej było w roku 1889 rodzin bezrolnych 10 348, w Kieleckiej 10 671, kupiło zaś ziemię w Radomskiej bezrolnych 16 683, w Kieleckiej 11 106. Nareszcie okazuje się, że w całym kraju bezrolni kupili daleko więcej ziemi, niż posiadacze, mianowicie pierwsi 553 048 diesiatin, ci 346 040 diesiatin.

Sprawa rozwiązuje się prosto: ci, których Komitet nazywa „bezrolnymi“, nie są bezrolnymi. Rzecz się ma tak: syn włościanina kupuje grunt; skoro go zapytają, czy posiada ziemię, odpowie słusznie, że nie, gdyż w chwili kupna nie ma własnego gruntu. Dzieje się to zaś często, gdyż zamożniejsi włościanie częstokroć już za życia kupują dla synów grunta przy parcelacji, nadto przy dziedziczeniu jeden ze spadkobierców obejmuje grunt ojcowski, spłaca innych, ci więc kupują. Oczywiście jest to możliwe tylko u zasobniejszych włościan, małorolni bowiem nie mając gotówki, spłacać nie mogą, a dzielą grunta w naturze. Więc owi rzekomo „bezrolni“ są to raczej zamożni włościanie. Dalej — wytworzył się już typ chłopskich specjalistów od parcelacji, spekulantów. Tacy ichmoście zjawiają się

u właścicieli folwarków, którzy chcą parcelować, kupują parcele, a potem je odsprzedają. Oni znów są „bezrolni“, bo w chwili kupna zazwyczaj gruntu własnego nie mają. Wniosek zaś z tego taki, że pan Bazon plecie urzędownie duby smalone.

Na zasadzie cyfr podanych można ułożyć taką tablicę. Powstało parcel:

o obszarze morgów	ilość parcel	obszar ich w diesiatinach
poniżej 3	29 819	28 497
od 3 — 12	107 892	396 080
od 12 — 20	26 061	206 150
powyżej 20	15 304	270 926
	179 076	901 653

Powstało tedy 29 819 drobnych parcel, które miały przeciętnie mniej niż po diesiatynie, mniej niż po 2 morgi gruntu. Część ich może została zakupiona rzeczywiście przez bezrolnych, a wtedy powstały na nich nowe karłowate gospodarstwa, lecz częściej zapewne takie drobne parcele dokupują włościanie małorolni do swoich gruntów.

Następnie mamy 107 892 parcel od 3 do 12 morgów. Na nich znów mogły powstać zarówno nowe gospodarstwa małorolne, albo też zostały one przyłączone do istniejących już gospodarstw, i to zarówno do małorolnych, jak do większych. Kombinacje są tu możliwe i prawdopodobne takie: 1) powstają nowe małorolne gospodarstwa; 2) małorolny włościanin dokupuje 3—4—5 morgów, lecz pomimo to pozostaje małorolnym, jeżeli posiadany dotąd i dokupiony obszar razem nie przewyższa 12 morgów; 3) małorolny, dokupując parcelę taką, przechodzi do kategorii samodzielnych, jeżeli obszar posiadany dotąd i dokupiony przewyższa 12 morgów; 4) włościanin z naszej kategorii samodzielnych dokupuje parcelę o paru morgach, lecz pozostaje w tej kategorii, o ile posiadany i dokupiony obszar nie przewyższa 20 morgów; 5) włościanin tej kategorii przechodzi przez dokupienie do następującej kategorii typu włościańsko-„kapitalistycznego“; 6) parcele zostają zakupione przez włościan, posiadających już więcej, niż 20 morgów, a wtedy powiększa się gospodarstwo włościana-„kapitalisty“. Które z tych kombinacji przeważają — nie sposób rozstrzygnąć na podstawie niedostatecznych danych, jakie posiada statystyka urzędowa. Na parcelach od 12 do 20 morgów powstają zapewne najczęściej nowe gospodarstwa samodzielne; część atoli takich parcel zakupili prawdopodobnie najzamożniejsi włościanie dla zaokrąglenia swojej posiadłości. W końcu parcele po nad 20 morgów zapewne posłużyły również do powstawania nowych gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“, rzadko zaś zostały nabywane dla zaokrąglenia.

Jak widzimy z naszych cyfr powstało takich parcel ponad 20 morgów każda, które w każdym razie dostały się włościanom zasobnym już w ziemię, owym włościanom-„kapitalistom“ — 15 304, a obszar ich wynosi 270 926 diesiatin, czyli 30% całej przestrzeni zakupionej. Nadto niewątpliwie pewna i to znaczna część parcel od

3 do 12 morgów, a nawet parcel od 12 do 20 morgów, została nabyta przez tę kategorię włościan-„kapitalistów“, tak że obszar, nabyty przez nich, wzrasta do 40, a nawet 50% całego rozparcelowanego obszaru. Stąd wniosek, że parcelacja odbywa się głównie na korzyść nie małorolnych, a dużych gospodarstw włościańskich, owych włościańsko-„kapitalistycznych“.

Taki wniosek zgadza się z orzeczeniami praktycznych znawców sprawy parcelacji, których miałem możność wypytywać. Zazwyczaj bowiem przy parcelowaniu folwarku dzieje się tak, że włościanie danej wsi zakupują kawałki gruntu przyległe do ich posiadłości, główny zaś obszar zostaje rozbity na parcele sporych rozmiarów. Ten, kto parceluje, oczywiście woli mieć zawsze do czynienia z kilkunastu nabywcami, aniżeli z zastępem biedaków, którzy nabędą po parę morgów, a tacy nabywcy więksi zgłaszają się rzeczywiście.

Jak wiemy, dane statystyczne podają jako nabywców 95 772 „bezrolnych“; określenie to jest bezsensowne. Sensu nabiera ono dopiero wtedy, jeżeli powiemy, że na rozparcelowanym obszarze powstało tyle właśnie nowych gospodarstw, podczas gdy reszta parcel, t. j. 83 304 została nabyta celem zaokrąglenia już istniejących gospodarstw włościańskich. Powiemy więc, że na gruntach rozparcelowanych powstało nowych gospodarstw 95 772 z obszarem 553 048 dies.; nabyto dla zaokrągł. gosp. parcel 83 304 „ „ 348 605 „

W myśl roztrząsań powyżej podanych czynimy takie przypuszczenie: 1) bezrolni w rzeczywistym słowa tego znaczeniu zakupili owe 29 819 parcel poniżej 3 morgów z obszarem 28 497 diesiatin i założyli na nich nowe gospodarstwa; 2) parcele od 12 do 20 morgów i powyżej 20 morgów rzadko idą na zaokrąglenie już istniejących gospodarstw, a powstają na nich nowe gospodarstwa. Przypuśćmy więc, że 10% tych parcel i ich obszaru poszło na zaokrąglenie; w takim razie nowych gospodarstw o 12 do 20 morgów powstało 23 455 z obszarem 185 535 diesiatin, oraz 13 774 gospodarstw powyżej 20 morgów z obszarem 243 834 diesiatin. — Otrzymujemy więc z tych trzech kategorii razem nowopowstałych gospodarstw 67 074 z obszarem 457 866 diesiatin; skoro zaś ogólna suma tych nowopowstałych wynosić ma 95 772 z obszarem 553 048 diesiatin, wypadnie, że prócz wymienionych powstało 28 698 (95 772—67 074) nowych gospodarstw z obszarem 65 182 (553 048—457 866) diesiatin, które to gospodarstwa powstały na nowo na parcelach od 3 do 12 morgów. Byłyby to nowe gospodarstwa małorolne, przyczym na każde z nich wypada przeciętnie po 3,35 diesiatin, czyli 6,54 morgi.

Dodawszy te liczby, dotyczące przypuszczalnie nowopowstałych gospodarstw różnych kategorii, do liczb, podanych w wykazie urzędowym (patrz tablicę na str. 237), otrzymamy:

gospodarstw poniżej 3 morgów	205 836
„ od 3 do 12 „	520 404
„ od 12 do 20 „	168 971
„ powyżej 20 „	116 029
razem	1 011 240

Na zaokrąglenie już istniejących gospodarstw użyto 79 194 parcel od 3 do 12 morgów każda, 2 606 parcel od 12 do 20 morgów oraz 1 530 parcel powyżej 20 morgów każda. Ostatnie dwie kategorie, przypuszczać należy, przeszły przeważnie do rąk najbardziej zasobnych włościan, a w każdym razie powiększyły obszar, będący w posiadaniu naszej kategorii IV, włościan-„kapitalistów“. Trudno bowiem przypuszczać, aby włościanie małorolni dokupowali parcele, mające więcej, niż 12 morgów; jeżeli zaś taką parcelę kupił włościanin samodzielny, mający już więcej, niż 12 morgów, to tym samym przeszedł on do kategorii włościan-„kapitalistów“, bo będzie miał więcej, niż 24 morgi. Zatem liczba włościan ostatniej kategorii musi być jeszcze większą od obrachowanej przez nas cyfry 116 029. Co do owych parcel średnich od 3 do 12 morgów, to, jak wspomnieliśmy, przez zakupienie ich część małorolnych mogła przejść do jednej z następnych kategorii, ale mogło też być tak, że włościanin, dokupiwszy parcelę, pomimo to pozostaje małorolnym, a przytym niewszystkie te parcele zostały zakupione przez małorolnych, lecz również przez samodzielnych lub włościan-„kapitalistów“. Można więc powiedzieć zaledwie tyle, że zakup tych parcel sprawił przejście części małorolnych do jednej z następnych kategorii.

Jeżeli przypuścimy, że z owych 79 194 parcel połowa została nabyta przez małorolnych, którzy pozostali pomimo kupna małorolnymi, ówciór została zakupiona przez małorolnych, którzy przez to przeszli do rzędu samodzielnych, a ówciór przeszła w ręce samodzielnych, którzy wskutek tego przeszli do rzędu włościan-„kapitalistów“, wówczas należałoby liczbę gospodarstw małorolnych zmniejszyć o 39 097, t. j. na 481 307, liczbę zaś samodzielnych i włościańsko-„kapitalistycznych“ powiększyć o 19 548 każdą (t. j. na 188 519 i 135 577).

W końcu przypominamy, że niejedno gospodarstwo powyżej 12 morgów, figurujące w spisach urzędowych, jako niepodzielne, faktycznie uległo już rozdrobnieniu na działki poniżej 6 morgów wbrew przepisom prawa. To sprawia, że liczba gospodarstw samodzielnych (większe zazwyczaj unikają tego dzielenia) zmniejsza się, liczba małorolnych wzrasta. Przypuśćmy, że tylko 2 500 takich działków nie uwzględniono przy spisie w roku 1904, i że powstało zamiast tych 2 500 rozdrobnionych gospodarstw tylko 5 000 małorolnych.

W rezultacie otrzymamy na rok 1904 taki układ drobnej własności:

gospodarstw	poniżej 3 morgów	około	205 800
„	od 3 do 12 „	„	486 300
„	„ 12 „ 20 „	„	186 000
„	powyżej 20 „	„	135 600

Razem gospodarstw około 1 013 700

Zaznaczamy, że przy naszych obrachunkach raczej zbyt nisko, niż zbyt wysoko szacowaliśmy liczbę gospodarstw małorolnych.

Pomimo to wypada rezultat: 68,26% wszystkich gospo-

darstw drobnej własności należy do małorolnych i karłowatych, t. j. takich, które zupełnego utrzymania rodzinie włościańskiej dać nie mogą.

Z tablicy na str. 237, wykazującej liczbę gospodarstw według danych urzędowych, bez uwzględnienia parcel dokupionych, wypada 72,9% takich gospodarstw. Uwzględnienie więc parcelacji nie zmienia, jak widzimy, zasadniczo tego stosunku.

Nic w tym dziwnego, skoro, jak zaznaczyliśmy, parcelacja odbywa się głównie na korzyść większych gospodarstw. Odbywa się żywiołowy proces rozdrabniania gospodarstw włościańskich przez działy przy dziedziczeniu, a parcelacja obszarów dworskich w nieznanym tylko stopniu może przeciwdziałać tej tendencji, odwrócić jej nie jest w stanie.

Małorolność jest więc zmorą, trapiącą włościan w naszym kraju, jest przyczyną ich niskiej stopy życiowej.

Małorolność jest jednocześnie główną przyczyną niskiego poziomu płacy roboczej najmitów wiejskich. Nietylko mamy liczny stosunkowo zastęp bezrolnych proletariuszy wiejskich, lecz liczymy oprócz tego około 205 000 rodzin, posiadających każda mniej, niż 3 morgi, które muszą żyć prawie wyłącznie ze sprzedaży swej siły roboczej, oraz około 486 000 rodzin, sprzedających swą siłę roboczą dla pokrywania znacznej części swego utrzymania. Razem więc około 691 000 rodzin ofiaruje swą siłę roboczą na rynku pracy rolnej — podaż, jak na nasze stosunki, ogromna.

Z szacunku naszego wypada, że istnieje około 135 600 gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“, a według obliczeń naszych wzrastają one i poczynają odgrywać coraz wybitniejszą rolę w kraju. Do nich należy około 2 150 000 diesiatin obszaru (1 839 066 wypada podług tablicy na str. 237 + 270 926 d. parceli dokupionych powyżej 20 morgów każda + kilkadziesiąt tysięcy diesiatin w parcelach mniejszych, dokupionych dla zaokrąglenia); to stanowi około 39% całego obszaru drobnej własności, około 19% całego obszaru kraju. Grunta dworskie miały obszaru w roku 1904 według danych urzędowych 3 961 584 diesiatin, z czego atoli około 28% pod lasami; po potrąceniu lasów pozostaje około 2 852 000 diesiatin. Zatem włościanie ci, najzasobniejsi pod względem posiadanego obszaru, rywalizują już o lepsze z wielką uprawą, przyczym wskutek parcelacji ubywa folwarków, przybywa gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“. Z tego faktu ubywania ziemi w gospodarstwach folwarcznych i wzrostu gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“ zwolennicy poglądów Davida gotowi snuć wnioski o wyższości drobnej uprawy nad wielką. Byłyby to wnioski nieopatrzone. Przedewszystkiem bowiem jest rzeczą znaną powszechnie, że kultura rolnicza tych dużych gospodarstw włościańskich stoi na ogół o wiele niżej, niż kultura rolnicza folwarków. Nie w większej wydajności tych gospodarstw włościańsko-„kapitalistycznych“ należy tedy szukać powodu, że ziemie folwarczne przechodzą w ich ręce, a miarodajne są tu inne czynniki. Najważniejszym jest zapewne ten, że w rolnictwie u nas panują stosunki kapitalistyczne, lecz przedsiębiorcom rolnym brak

kapitału. Powody upadku gospodarki folwarcznej są różne: z jednej strony mamy nierozwinięte stosunki kredytowe, gdyż warunki ułożyły się tak, że w przemyśle i handlu stopa zysków jest u nas ogromna, wobec czego trudno o napływ kapitału do rolnictwa. Z drugiej strony oddziaływa przewrót, wywołany przez konkurencję amerykańską, który podkopał byt wielu gospodarstw folwarcznych. Dość należy tu jako czynnik, oddziaływający nader ujemnie, tradycyjne utracuszostwo polskiej szlachty, które nie pozwalało jej nagromadzać kapitałów. Parcelacja jest poniekąd środkiem zdobywania kapitału; np., właściciel 30 włókowego folwarku, nie mając kapitału obrotowego, parceluje 10 włók, a zdobyty w ten sposób kapitał obraca na zaprowadzenie intensywnej gospodarki na pozostałych 20 włókach. — Tymczasem owi włościanie gromadzą skromne kapitały, ponieważ przy nader niskiej stopie życiowej nie zużywają dochodów, jakie daje im rola, a, jak powiedzieliśmy, wśród tych włościan spotykamy bardzo często typy procederzystów, których zyski płyną bynajmniej nie z rolnictwa, a z wyzyskiwania ludności wiejskiej w tej czy innej formie. Są to rycerze „pierwotnej akumulacji“, należący do warstwy drobnej „burżuazji rolniczej“, jeżeli można się tak wyrazić.

Dla masy ludu roboczego powstawanie i rozwielmożnienie się tego nowego typu wyzyskiwacza w każdym razie nic dobrego nie wróży.

Ruch socjalistyczny w Anglii.

Napisał J. B. Askew.

(Napisane dla „Przeglądu Socjaldemokratycznego“).

I.

Cudzoziemiec, przybywający do Anglii z Niemiec lub z państwa carów, odczuwa zapewne nasamprzód ulgę, że pozbył się nareszcie policji. Wielką różnicę między Niemcami a Anglią zauważy zwłaszcza prześladowany emigrant z Królestwa Polskiego lub Rosji, który przódę przebywał przez jakiś czas w Niemczech. Gdy w Niemczech, chcąc mieć spokój, musi starannie ukrywać wobec władz swój udział w rewolucji rosyjskiej, w Anglii fakt, że jest politycznym wychodźcą, wystarczy, by go uchronić od wszelkich przykrości z tej strony. Rząd angielski posiada prawo wzbronienia wstępu do Anglii tylko ludziom, pozbawionym środków do życia. Skoro jednak spróbowano przed kilku laty użyć tego prawa jako pretekstu, by utrudnić emigrację do Anglii rosyjskich wychodźców, powstało w opinii publicznej takie oburzenie na zamiar ograniczenia politycznego prawa schronienia, że przełęczony rząd wydał natychmiast rozporządzenie, pozwalające bez wszelkich trudności osiedlać się w Anglii każdemu, kto może się wylegitymować jako zbieg polityczny. Od tego czasu nie czynią u nas nikomu pod tym względem żadnych wstrętów, a ponieważ w Anglii niema obowiązku zgłaszania swego pobytu do policji, przeto można się osiedlać wszędzie bez obawy przeszkód ze strony władzy.

Jasnym jest, że stanowi to wielką ulgę dla ludzi, którzy do-

tychczas ciągle musieli myśleć o policji, i że ludzie ci wskutek tego posiadają skłonność widzenia wszystkiego, co angielskie, w najlepszym świetle. W tych warunkach nie jest dziwnym, że towarzysze, którzy nie zdołali jeszcze głębiej wniknąć w teorię Socjaldemokracji i byli tylko uczuciowemi socjalistami, u których nienawiść do państwa policyjnego odgrywała wielką rolę, bardzo łatwo tracą w Anglii swój socjalizm, zwłaszcza pod wpływem smutnego stanu świadomości klasowej, jaki cechuje wielką masę robotników angielskich. Zrozumienie stosunków angielskich stanowi zresztą wielką trudność nie tylko dla tych niedojrzałych elementów, lecz i dla starszych, wyszkolonych towarzyszy, przybywających do Anglii. Z czasem tracą oni swój zapał, większość z nich odpada często zupełnie od socjalizmu lub obojętnieje dlań, albo — co jest równie złym — tworzy sektę, trzymającą się zdala od ogólnego ruchu robotniczego, i zatracą w ten sposób wszelkie zrozumienie rzeczywistości, uważając — jak to się często zdarzało z wychodźcami socjalistycznymi w Ameryce — poglądy swoje za wieczyste prawdy.

Wypowiadając te uwagi, wcale nie mam zamiaru wyrazić potępienia naszym zagranicznym towarzyszom. Przeciwnie. Chciałbym jednak wskazać, jak łatwo towarzysze, pochodzący z krajów, pozbawionych swobód politycznych, przeceniają dobre strony krajów, jak Anglija, Ameryka i Szwajcarja. Słyszac ich entuzjastyczne zdania o naszym kraju, my angielscy socjaldemokraci, zapytujemy niejednokrotnie samych siebie: „czyż my, angielscy socjaldemokraci posiadamy rzeczywiście rację bytu, jako partja?“ I w rzeczy samej: właśnie na takich enuncjacjach zagranicznych towarzyszy opiera się burżuazja angielska, gdy twierdzi, że może całkiem dobrze zrozumieć, dlaczego robotnicy zagraniczni są socjaldemokratami — wszak nie posiadają wolności politycznej i doznają tak srogiego ucisku, — ale robotnik angielski to przecież coś innego! Wszak ma się on wyśmienicie, coż mu po socjalizmie?! — Jakiem już powiedział, nie czynię z tego nikomu zarzutu, ale musimy się wzajemnie porozumieć: jeżeli międzynarodowość nasza nie ma być pustym dźwiękiem, to niezbędnym jest otwarte, bezwzględne wypowiedzenie się, byśmy rozumieli wzajemnie nasze stanowiska i nie rzucali sobie pod nogi kamieni z powodu prostej nieznamości rzeczy.

Zrozumiałym jest naturalnie, że zagraniczni towarzysze, prowadzący ciężką walkę pod panowaniem samowoli policyjnej, wzdychają: „gdybyśmy tylko mieli swobody Anglików!“ Dla powiększenia widoków naszej walki redukujemy wszyscy częstokroć nasze żądania do minimum, by w ten sposób przekonać naszych przeciwników o ich słuszności, oraz staramy się udowodnić, iż żądania nasze nie przewyższają tego, co gdzieindziej już jest urzeczywistnionym. W taki oportunizm popadamy wszyscy z łatwością, ale żaden nie zemści się tak szybko i tak ciężko, jak właśnie ten. Towarzysze zapominają przytym zbyt łatwo, że ucisk polityczny jest tylko jedną z form kapitalistycznego panowania, oraz że wyzysk kapitalistyczny, a nawet ucisk nie przestaje jeszcze istnieć przez to, że się przejawia pod osłoną. W Londynie posiada proletariusz wolność mówienia, co mu się żywnie podoba — o tyle jest wolny — ale ekonomicznie posiada tylko wolność śmierci głodowej, jeżeli nie znajdzie nikogo, ktoby zechciał z pracy jego wyciskać dla siebie wartość dodatkową. Może w żadnym mieście świata niema takiej przepaści między bezmyślnym

zbytkiem bogatych „bezrobotnych“ a nędzą przeciążonej pracą i wysiłkiem masy proletariatu, jak to jest w wolnym Londynie.

I tu powstaje pytanie: skąd bierze się fakt, że właśnie w Anglii, w tym kraju kapitalizmu brak prawie zupełnie świadomości klasowej wśród proletariatu? Nie sposób, rzecz prosta, tak złożone pytanie wyjaśnić gruntownie w jednym artykule; poniższe uwagi chcą jeno przyczynić się do rzucenia trochę światła na tę kwestję.

Najważniejszą przyczynę stanowi może przede wszystkim ten fakt, że wszystko, co angielska klasa robotnicza osiągnęła od czasu ruchu czartystów, zdobyła nie w walce, lecz otrzymała niejako w podarunku. Burżuazja Anglii – kraju, w którym przeważającą większość narodu stanowi klasa robotnicza, a w którym brak licznej armii, zrozumiała dość wcześnie, że zdoła utrzymać swe panowanie tylko wtedy, jeżeli potrafi zdusić zawczasu przez drobne koncesje wszelkie zaczątki świadomości klasowej wśród mas robotniczych. Wskutek tego nie potrzebowała angielska klasa robotnicza nigdy staczać wielkich walk o szersze cele polityczne; pomijamy, rzecz zrozumiała, większe strejki, które zachowały charakter czysto gospodarczy i były przytym ograniczone do określonych warstw proletariatu; robotnicy nigdy nie zjawiali się w nich na scenie jako klasa, lecz zawsze poszczególnymi oddziałami: jako górnicy, metalowcy i t. d., lub nawet drobnymi częściami tych oddziałów: jako grupa górników w określonym hrabstwie lub jako grupa robotników maszynowych i t. d. Nawet w siódmym dziesiątku lat zeszłego wieku, gdy robotnicy doszli do tego, że poczęli posyłać własnych przedstawicieli do parlamentu, nie wysyłali ich tam znów jako reprezentantów klasy robotniczej, lecz jako górników i t. d. Burżuazja angielska rozumiała jednak wtedy odrazu znaczenie tego faktu politycznego. Pospieszono uczynić zadość żądaniu, które wywołało ten ruch wśród proletariatu: prawo koalicji mianowicie zostało ukształtowane w znacznej mierze według żądań robotników. Stan ten przetrwał aż do lat ostatnich, kiedy zaszła cobywła zmieniana. Tego jednak dotknę szczegółowiej w dalszym ciągu artykułu. Dla okresu zaś, o którym mówimy, było charakterystycznym, iż wystarczało, by robotnicy zmarszczyli brwi, a burżuazja żądania ich spełniała, aby tylko powstrzymać powstanie wśród nich świadomości klasowej.

Przytym była angielska klasa robotnicza zupełnie przekonana, że choć powodzi się jej nie zupełnie dobrze, to jednak ma się o wiele lepiej, aniżeli proletariąt zagranicą, i dumna z uprzywilejowanego stanowiska, jakie w swym wyobrażeniu posiadała, spoglądała ona z niejaką pogardą na walki i marzenia swych braci w innych krajach. Gdyby tylko byli tak „praktyczni“, jak ona, gdyby mniej zajmowali się idealami, a więcej sprawami praktycznymi – jak ona to czynić nie miała – to doszliby równie daleko, jak ona o własnej sile doszła. Innymi słowy, przyczyną, która podkopała u nas rozwój świadomości klasowej, było, obok ustępczywości burżuazji angielskiej, mylne wyobrażenie proletariatu. Zamiast zrozumieć, że należy uzyskane koncesje, użyte przez burżuazję jako środek zapobiegawczy, wykorzystać dla zdobycia nowych ustępstw i tak zamienić środek ogłupiania masy robotniczej w narzędzie rozwoju jej świadomości klasowej – zamiast tego, pozwalali angielscy robotnicy usypiać siebie frazesami o swym zdrowym rozsądku i specyficznym praktycznym duchu, chociaż wychwalana „praktyczność“, którą przejawiali, była właściwie tylko ich bezzmierną ograniczonością.

Coprawda, należy przyznać, że czasy ówczesne nie dojrzały jeszcze do dalszego postępu; sąd mój skierowany jest więc przeciw tym, którzy wskazują na Anglików i ich taktykę, jako na wzór, godny naśladowania dla ogólnego ruchu. W rzeczywistości zaś może angielski ruch robotniczy posłużyć dla ogólnego ruchu chyba wzorem tego głównie, czego nie należy czynić. Tak np., w Anglii przeprowadzono już dawno w praktyce to, co w ostatnich latach w Niemczech głoszono prawie jako nową ewangeliję, mianowicie – neutralność związków zawodowych, kooperatyw i t. d. Związki zawodowe winny być niezależne od ruchu socjaldemokratycznego nie tylko pod względem taktyki lecz również i zasad; winny stanowić ruch zupełnie odrębny. I rzeczywiście, każda gałąź ruchu robotniczego w Anglii nie uważa siebie za część całości, lecz za niezależną od innych całość. Każda usiłuje cele swoje ograniczyć do teraźniejszości, zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co się dzieje w innych gałęziach ruchu robotniczego, jak również unikać wszelkiego stosunku do jakiegokolwiek ogólnego światopoglądu. Związki zawodowe poczytują za swe zadanie tylko obronę interesów ekonomicznych swych członków i zdobycie dla nich możliwie pomyślnych warunków pracy, kooperatywy – dostarczanie swym członkom dobrych i tanich towarów z możliwie wysoką dywidendą w dodatku. Dla osiągnięcia obu tych celów jest, naturalnie, rzeczą najlepszą unikać wszystkiego, co może kogokolwiek urazić. Ale zarazem oznacza to zrzeczenie się wszelkich szerszych i dalej idących planów, zrzeczenie się wyzwolenia proletariatu wogóle gwoli zdobycia dla ograniczonej – lub niech to będzie nawet licznej grupy osób znośnych warunków bytu w ramach kapitalizmu. Do celów tych nie zawsze dąży się świadomie, uświadamia się je sobie nawet rzadko. Ludzie, uprawiający taką politykę, piętnują zazwyczaj, zwłaszcza w Anglii, wszelką teorię jako „dogmat“. Ale właśnie w Anglii widzimy najlepiej do jakich zgubnych skutków dla ruchu robotniczego musi ostatecznie doprowadzić ewangelija neutralności.

Na szczęście walka klasowa posiada swą własną, żelazną logikę, i charakterystycznym jest, że właśnie ci, którzy chcieli poprzez strumień walki klasowej przerzucić most, któryby łączył obóz proletariatu z obozem burżuazji, uczynili najwięcej dla zaognienia walki klasowej. Właśnie kooperatywy ściągają na się gniew drobnych rzemieślników, kramikarzy i t. d. Związki zawodowe, skoro tylko, broniąc swych członków, dotkną w poważny sposób interesów przedsiębiorców, wywołują natychmiast napaści z ich strony. Dopóki fabrykant angielski był przekonany, że utrzyma swe stanowisko na rynku światowym, tolerował chętnie związki zawodowe, szczególnie, gdy obejmowały one tylko warstwy wykwalifikowanych robotników; z chwilą, gdy do związków zawodowych zostali wciągnięci również robotnicy niewykwalifikowani i gdy konkurencja na rynku światowym dała się odczuć, zmieniło się to wszystko. Wówczas powstają próby odnowienia starych przepisów przeciw związkom zawodowym za pomocą orzeczeń sądowych, próby odebrania związkom za pomocą sztuczek prawniczych tego, co bezwątpienia przed dwudziestu laty parlament chciał im dać i co od tego czasu było poczytywane przez wszystkich za rzecz prawnie dozwoloną¹⁾. Widzimy więc, że

¹⁾ Autor ma na myśli wyroki sądowe, wkładające na trade-uniony obowiązek pieniężnego odszkodowania przedsiębiorców za straty z po-

i pokojowe kooperatywy i neutralne związki zawodowe wywołały walkę klasową, aczkolwiek wyrzekały się jej ciągle.

Oto drugi przykład. Wśród socjalistów angielskich Fabian Society (Stowarzyszenie Fabjanów) jest najbardziej dalekie od tego, by uznać znaczenie walki klasowej, jako czynnika politycznego. Fabjanie są wprost zmuszeni do nieuznawania walki klasowej lub conajmniej do zaprzeczenia jej znaczenia, gdyż znajduje się ona w rażącej sprzeczności z całą ich teorią, — jeżeli wogóle jaką posiadają, — a zwłaszcza z całą ich taktyką. Stowarzyszenie składa się bowiem z burżuazyjnych literatów i inteligentów, uznających socjalizm, ale socjalizm bardzo swoisty. W oczach ich socjalizm nie oznacza wyzwolenia proletariatu, lecz zniesienie własności prywatnej i organizację przemysłu przez państwo. Wszystko to ma się dokonać na drodze pokojowej przez głosowania parlamentarne, a mianowicie w ten sposób, że państwo rozciągnie prawie niespostrzeżenie, krok za krokiem kontrolę nad życiem społeczeństwa za pomocą ustawodawstwa fabrycznego i t. d., przez przejęcie kolei, poczt, wogóle środków komunikacji i t. d. na swoją własność. Jest to socjalizm biurokratów, w których interesie leży rozszerzenie funkcji państwa, oraz ludzi, którzy biorą pod uwagę tylko angielskie stosunki i znają wogóle tylko rozwój Anglii w ostatnim wieku. Otóż Fabjanie nadawali między innymi wielkie znaczenie t. zw. socjalizmowi gminnemu i chcieli wykazać, że na tej drodze może zostać uskutecznione zastąpienie własności prywatnej przez kolektywną. Swój stosunek do gminnego socjalizmu uzasadniali tym, iż na tym polu najłatwiej będzie rozszerzyć własność kolektywną, gdyż wszystkie klasy są zainteresowane w posiadaniu taniego światła, wody, środków komunikacyjnych; z tego powodu w każdym mieście liczba obywateli, pragnących, by te ważne monopole pozostawały w prywatnych rękach, będzie znikomo małą w stosunku do tych, którzy, jako konsumenci, mają wręcz przeciwne interesy. I rzeczywiście, wiele miast przyjęło we własny zarząd zaopatrywanie obywateli w wodę i gaz, komunikację miejską i t. d. Ale przez to kapitalizm uczuł się poważnie zagrożonym, tracił bowiem bardzo cenne pole dla lokowania kapitałów. Interes klasowy kapitalistów został obudzony; burżuazja poczęła organizować się do obrony i odtąd każde wybory gminne zamieniły się w walkę kapitalizmu z „socjalizmem“. Socjaliści nie wyszli naogół źle na tej walce, ale Stowarzyszenie Fabjanów mogło przy tej sposobności dobitnie poznać, co to jest walka klasowa i do jakich skutków zdolna jest doprowadzić. W okręgach, w których klasy posiadające mają większość, wybierani są teraz najbardziej reakcyjni kandydaci i dzieje się to pomimo, że każdy wyborca, jako konsument, jest zainteresowany w zwycięstwie socjalizmu gminnego. Burżuazyjna świadomość klasowa okazuje się u wyborców silniejszą od prywatnego interesu, a tymbardziej od lokalno-patriotycznych uczuć względem rodzimego miasta, o których nawet nie warto wspominać.

Trzy przytoczone przykłady: kooperatywy, związki zawodowe i Stowarzyszenie Fabjanów udowadniają wyraźnie, jak niemożliwą jest negacja walki klasowej dla każdego, kto bierze udział w polityce, lub w jeszcze większym stopniu dla tych, którzy zajmują się położeniem klas pracujących. Nawet najbardziej umiarkowany przy-

wodu strejków i lokautów, ogłaszanych przez odnośne organizacje robotnicze. (Przyp. red.)

wódca robotniczy, jeżeli tylko nie dostaje jałmużny od burżuazji, lecz jest uczciwym i obstaje przy niezależności swej klasy, musi napotkać na świadomość klasową warstw panujących, gdyż wszędzie wykazuje się, że klasy burżuazyjne posiadają ją w znacznie większym stopniu, niż klasa wyzyskiwana; aby doprowadzić proletarjat do zrozumienia własnych interesów, potrzeba dużo mozolnej pracy, podczas gdy burżuazja stoi zawsze na pogotowiu do obrony swych interesów w ten lub inny sposób wobec najbliższych oznak niezadowolenia wśród robotników.

Fakt ten znalazł jaskrawe potwierdzenie, gdy prawo wyborcze do parlamentu zostało w Anglii nadane robotnikom rolnym. Wówczas stara nędra tej warstwy zwróciła na siebie natychmiast – rzecz naturalna – przyjazną uwagę kół mieszczańskich i członek radykalnej lewicy burżuazyjnej Mr. Chamberlain, późniejszy konserwatysta, pośpieszył wnieść w parlamencie projekt stworzenia warstwy drobnych dzierżawców lub właścicieli ziemi. Każdy robotnik wiejski miał według tego projektu otrzymać skrawek ziemi wielkości około 3 akrów (1–2 hektarów) oraz krowę. Ale natychmiast rozległy się okrzyki wściekłości wśród wielkich panów z arystokracji rolnej, która czyni Anglii zaszczyt, czuwając nad losami państwa, a równocześnie trzyma w swym posiadaniu prawie wszystkie angielskie grunta. Zdawało im się, że to już przyszła rewolucja – okrutna i straszna, fantazja ich widziała już zamki landlordów w płomieniach i Bóg wie, co jeszcze. A tymczasem projekt nowego prawa był całkiem niewinny: mógłby najwyżej tylko stworzyć klasę, mającą – jak zresztą przeważająca część chłopów – za mało, by wyżyć, a za dużo, by umrzeć; w stosunkach posiadania nie zmieniłaby ta reforma nic. Junkrowie angielscy byli też oburzeni głównie dlatego, że robotnicy rolni mieli coś otrzymać od kogo innego, a nie z rąk swych „chlebodawców“. Później partja konserwatywna, narobiwszy tyle hałasu, sama wniosła prawie te same propozycje prawne; ale tym razem miały one zostać przeprowadzone jako łaskawy podarunek właścicieli ziemskich i to przy pomocy tego samego Mr. Chamberlaina, który w przeciągu roku zdążył przejść od lewicy do prawicy. Gdyby istniała wówczas wielka partja robotnicza, mogłaby wyzyskać tę jałmużnę, rzuconą robotnikom rolnym, jako środek dla zdobycia dalszych koncesji; niestety brakło jej, a liberali byli naturalnie zbyt tchórzliwi, by w ten sposób przyprzec konserwatystów do muru. Podstępna taktyka konserwatystów została więc nagrodzona pomyślnym skutkiem i wszelkie zaczątki świadomości klasowej zostały wśród robotników rolnych stłumione. Stało się to w tej mierze, gdy Mr. Chamberlain, w dziesięć lat później, wniósł w parlamencie prawo o ubezpieczeniu robotników, mógł wykluczyć zeń proletarjat wiejski. Nie było już potrzeby z nim się liczyć. Taksamo, gdy proponowano oddanie administracji miejscowej na wsi, którą załatwiają teraz sami wielcy właściciele ziemscy, w ręce instytucji obieralnych, odpowiedział na to tenże stary cynik, będąc prezydentem ministrów: „Rady gminne?! Na co? Dajcie tym ludziom raczej bezpłatne cyrki!“ Chciał, naturalnie, w ten sposób wyrazić, że ludność robotnicza na wsi przywiązuje o wiele więcej wagi do zabaw, niż do swych praw obywatelskich. Słowa te w ustach jednego z najbogatszych członków nielicznej klasy, dzierżącej w swych rękach całą ziemię Anglii, – w ustach człowieka, który, jako syn swego ojca, przez sam fakt urodzin, otrzymał możność stanowienia

praw dla narodu angielskiego według swego kaprysu lub interesu, były zbyt silne, ale nie były one wówczas niesłuszne.

Obecnie, gdy we wszystkich centrach przemysłowych Anglii powstał żywy ruch socjalistyczny, prowadzona jest też na wsi energiczna robota propagandystyczna. Towarzysze urządzają dla swej przyjemności wycieczki na rowerach i rozdają przytym broszury i pisma ulotne, zwołują zgromadzenia itd. Inni wędrują przez całe lato po kraju, jak cygani, w wozach urządzonych tak, by w nich można było mieszkać, zatrzymują się tam, gdzie warto zwołać zgromadzenie — w większych miejscowościach na kilka dni, w mniejszych tylko przez noc; mają, naturalnie, ze sobą i literaturę. Ale i przeciwnicy nasi czynią teraz to samo: mają oni swoje antisocjalistyczne wozy i przyczyniają się znacznie do zapoznawania ludności wiejskiej z socjalizmem, albowiem mówcy ich są zazwyczaj takimi nieukami, że każdemu, kto ma jakie takie pojęcie o socjalizmie, łatwo wprawić ich w kłopot. Jednej z największych przeszkód dla rozpowszechnienia socjalizmu na wsi należy niewątpliwie szukać w tym, że ludność robotnicza jest tu bardzo zależna od sportu ludzi bogatych. Kapitałiści angielscy żyją w znacznej mierze z wyzysku obcych krajów, kapitały angielskie znalazły, jak wiadomo, masowe umieszczenie we wszystkich krajach, gdzie kapitalizm jest jeszcze młody, oraz w kolonjach. W ten sposób istnieje u nas niepomiernie liczna klasa bogatych rentjerów, bankierów itd. Ludzie ci częstokroć zmieszali się przez małżeństwa, dzięki swemu bogactwu, ze starą arystokracją i zalewają cały kraj swemi pieniędzmi. Rzecz zrozumiała, że tacy ludzie nie skąpią każdego grosza, rozdają wielkie napiwki i odgrywają rolę „dobroczyńców“ względem wieśniaków; we wsiach, leżących blisko ich siedziby, upiększają własnym kosztem mieszkania robotnicze, zdołają je ogródkami itd. Tą drogą zostają robotnicy zamienieni w prawdziwych, choć dobrze odżywianych, niewolników, którzy, mogąc w każdej chwili być wyrzuceni na bruk, nie śmiają nawet pisać. Nie stanowią tacy wprawdzie ogółu. Wiele wsi, czy to dlatego, że znajdują się daleko od siedziby wielkich właścicieli, czy z innych powodów, jest całkiem zaniedbanych; tu mówcy nasi znajdują dobry grunt dla agitacji, gdyż robotnicy rolni żyją i pracują po największej części w bardzo nędznych warunkach. Mieszkania ich są bardzo marne i dość drogie, gdyż na wsi daje się odczuć ogólny brak mieszkań; płace, aczkolwiek teraz poszły nieco w górę z powodu panującego w rolnictwie niedostatku sił roboczych, zostały znowu obniżone przez wysokie ceny środków żywności. Krótko mówiąc, wieś przedstawia naogół wdzięczne pole dla naszej agitacji, która też coraz bardziej postępuje naprzód. Tyle o robotnikach rolnych.

Co się tyczy robotników przemysłowych, to znajdowali się oni w ostatnich latach całkowicie pod wpływem zamachu na swobodę koalicji, dokonanego przez kapitalistów. Temu przedewszystkiem faktowi należy zawdzięczać, że przy ostatnich wyborach przeszło do parlamentu 30 niezawisłych posłów robotniczych i to nie w charakterze członków pewnej grupy zawodowej, którzyby się przyłączyli potem do liberałów, jak to dotychczas bywało, lecz z wyraźnym zadaniem stworzenia po raz pierwszy w parlamencie całkiem niezawisłej grupy. Niestety dotychczas nie posiadają oni określonego programu. W każdym razie wystarczyło samo zjawienie się na politycznej scenie tych przedstawicieli robotników, by parlament, składający się z 660 posłów, przyjął natychmiast ustawę, przyznającą związkom zawodowym

wszystkie ich prawa, a izba lordów, która przedtem z kpinami odrzucała demokratyczne projekty prawne liberalnego rządu, nie odważyła się wymierzyć policzka partji robotniczej. Kilku członków izby lordów oświadczyło wyraźnie, że nie śmiały głosować przeciw temu prawu, aczkolwiek wydaje się im ono nie do przyjęcia.

Wprawdzie przedstawiciele robotników w parlamencie nie tworzą frakcji z określonym jasnym poglądem na wszystkie sprawy, przeciwnie, przedstawiają grupę osób z sprzecznymi poglądami w najważniejszych kwestjach politycznych. Organizacja polityczna, którą reprezentują, Labour Party (L. P. = Partja Pracy) nie jest jeszcze partją socjalistyczną, pomimo, że przyjęła przed kilku miesiącami na swym ostatnim kongresie rezolucję socjalistyczną. Uchwała ta bowiem nie stała się obowiązującą dla partji i jej posłów i miała za zadanie wskazać cel partji w ogólnych tylko zarysach. Starzy urzędnicy i kierownicy związków zawodowych występowali, jak wiadomo, przeciw tej rezolucji, ale właśnie w tym leży jej znaczenie. Pokazało się, że ludzie ci całkiem prawie stracili swój wpływ i że związki zawodowe stają się jednak stopniowo socjalistycznymi. Przyjęcie tej rezolucji zaniepokoiło bardzo burżuazję angielską i niepokój jej zwiększył się jeszcze bardziej, kiedy niedawno został wybrany do parlamentu tow. Grayson, który kandydował jako socjalista, chociaż musiał przezwyciężyć wskutek tego bardzo silną opozycję zjednoczonych partji burżuazyjnych. Sam nowowybrany poseł jest niestety dość niejasną głową, ale jest jeszcze młody. Przytym rzeczą główną pozostaje to, że wyborcy stopniowo się uświadamiają i uczą się poddawać kontroli postępowanie swych posłów. — Na skutek tych wszystkich faktów socjalizm stał się obecnie jedynym żywym tematem w całym życiu politycznym Anglii. Żaden poseł nie może teraz mówić o polityce lub sprawach społecznych wogóle, by nie był zmuszony dotknąć socjalizmu. Jak w Niemczech, tak i w Anglii posiadamy teraz Ligę do zwalczania socjalizmu, którą popierają ludzie wpływowi, a która, naturalnie, nie mało wpływa na ożywienie propagandy socjalistycznej.

W ten sposób socjalizm w Anglii, jak gdzieindziej, mimo wszystkie trudności, postępuje naprzód, co znajduje wyraz w rozwoju angielskich partji socjalistycznych.

II.

Angielskie organizacje socjalistyczne rozpadają się na dwie części: pierwsza, obejmująca Independent Labour Party (I. L. P. = Niezależna Partja Pracy) oraz Stowarzyszenie Fabjanów, przyłączyła się do Labour Party (Partja Pracy), druga zaś — Social Democratic Party (S. D. P. = Partja Socjaldemokratyczna) jest od niej niezależną.

By to lepiej wyjaśnić, dodaję, że Partja Pracy jest nazwą niedawno powstałej organizacji, mającej umożliwić wspólną akcję polityczną angielskich związków zawodowych i partji socjalistycznych, niezależną od partji kapitalistycznych. Partja Pracy składa się głównie ze związków zawodowych, Niezależnej Partji Pracy i Stowarzyszenia Fabjanów. Zwracam przedewszystkim uwagę na to, że Partja Pracy i Niezależna Partja Pracy są rozmaitemi organizacjami, aczkolwiek ta druga stanowi część Partji Pracy. Ponieważ nazwy obu są tak podobne, przeto bywają te organizacje częstokroć, zwłaszcza przez zagranicznych korespondentów, utożsamiane.

Z tych rozmaitych organizacji najstarszą jest Partja Socjaldemokratyczna, która przedtem była znana jako Socjaldemokratyczna Fe-

deracja, a jeszcze dawniej jako Demokratyczna Federacja. Organizacja ta została stworzoną w r. 1880 przez Hyndmana, Burrowsa, Wiliama Morrisa i innych towarzyszy. Początkowo posiadała tylko burżuazyjno-demokratyczny program — aczkolwiek skrajnej lewicy, ale już w 1883 r. przyjęła program socjalistyczny i odpowiednio zmieniła swą nazwę Federacji Demokratycznej na miano Federacji Socjaldemokratycznej (Social Democratic Federation = S. D. F.), aby w ten sposób niedwuznacznie wyrazić socjalistyczny charakter organizacji.

Gdy S. D. F. — pod temi inicjałami jest ta organizacja od 20 lat najbardziej znaną — została założoną, nie istniał w Anglii ani socjalizm ani partja socjalistyczna i proletarjat angielski wogóle nie przejawiał żadnej świadomości klasowej.

Ruch czartystowski znikł bez śladów, pozostawiając tylko tradycje u kilku starszych ludzi, którzy w młodości swej do niego należeli; socjalizm wszakże tych jednostek — jeżeli o nim wogóle mówić można — był natury nawskroś sentymentalnej, bez jakiegokolwiek wpływu na praktyczne życie polityczne.

Angielskie związki zawodowe zamieniły się o cechy, rozciągające swą działalność tylko na warstwę lepiej płatnych wykwalifikowanych robotników, starały się tylko o to, by zapewnić swym członkom w ramach kapitalizmu jako tako znośne warunki bytu, bez względu na inne związki zawodowe, tymbardziej bez względu na wielką masę niewykwalifikowanych robotników, a czasem nawet ich kosztem.

Ze tym związkowcom całkiem obcą była myśl o walce klasowej, jak też o konieczności polityki robotniczej, prowadzonej przez zorganizowaną partję proletarjacką samodzielnie i niezależnie od partji burżuazyjnych, jest rzeczą zrozumiałą samą przez się. Wprawdzie powstał, jak widzieliśmy, z początkiem siódmego dziesięciolecia z. w. dość silny ruch za niezależnym przedstawicielstwem robotników i kilku przedstawicieli poszczególnych związków zawodowych przeszło do parlamentu, lecz po zadowoleniu swych żądań co do prawa koalicji stali oni bezradnie wobec całokształtu kwestji społecznych i zamienili się wkrótce w umiarkowany dodatek do partji liberalnej, nie mający nawet tyle znaczenia dla polityki demokratycznej lub interesów proletarjatu, co uczciwsi niezależni demokraci mieszczańscy.

Taki był stan sprawy robotniczej, gdy z początku ósmego dziesiątka lat z. w. mała grupka skrajnych demokratów założyła Federację Demokratyczną. Ostatnim bodźcem do tego kroku była polityka gwałtu, uprawiana przez ówczesny rząd liberalny w Irlandji i gdzieindziej. Prezydentem ministrów był wówczas stary przywódca liberalów Gladstone; jak wszystkie rządy liberalne, tak też i szlachetne przedstawicielstwo londyńskiego City nie miało nic pilniejszego do roboty, jak wyrzec się wszystkich swych t. zw. liberalnych zasad. Nad Irlandją zaciążyło prawo wyjątkowe, a usiłowania wyzwolenia się egipskiego ludu zostały zgniecione w interesie złotej międzynarodówki bankierów z Londynu, Paryża i Berlina. I właśnie rozczarowanie w stosunku do liberalizmu, spowodowane tą zdradą, skłoniło ową małą grupę szczerych demokratów do założenia Federacji. Jasnym jest, że nowa ta organizacja musiała się składać początkowo z bardzo mieszanych żywiołów; ale z rozwojem jej w kierunku socjalistycznym wystąpiło z niej wiele osób, którzy przódę chętnie chcieli do niej należeć.

Właściwy twórca tej organizacji, Hyndman, był wówczas może jedynym Anglikiem, który czytał „Kapitał“ Marxa. I oto zabrał się on do krzewienia marxizmu w ludzie angielskim. Lecz marxizm jego nie był marxizmem Marxa i Engelsa, co ujawniło się specjalnie w kwestjach praktycznych, a zwłaszcza w jego stosunku do związków zawodowych. Dla Marxa i Engelsa z ich stanowiska walki klasowej był miarodajnym poglądem, że organizacje te, jako czysto proletarjackie, muszą z konieczności dojść z czasem do socjalizmu. Hyndman i jego zwolennicy widzieli natomiast tylko fakt, że trade-uniony nie były socjalistycznymi i nie myślały socjalistycznie, a ponieważ nie umieli faktu tego wytłumaczyć, uważali, że Marx i Engels omylili się w swych sądach o związkach angielskich.

Należy przyznać, że wobec tej sytuacji, jaka istniała w Anglii, gdzie proletarjat, choć stworzył dość silne organizacje zawodowe, nie dawał się mimo to wcale zyskać dla socjalizmu, gdzie się wydawało, że socjalizm jest sprawą burżuazyjnej inteligencji, zamieszanie pojęć było nieuniknione nawet u ludzi, którzy czytali Marxa, a jeszcze bardziej — rzecz naturalna — u tych, którzy socjalizm naukowy poznali z drugiej ręki, jeżeli go wogóle poznali. Angielski socjalizm miał od początku dość silnie uwydatniony drobnomieszczański charakter i zachowywał się wobec ruchu zawodowego bezradnie, jeżeli nie wprost wrogo. Właśnie starsi angielscy socjaliści, jak Robert Owen, nie rozumieli prawie wcale proletarjackiej walki klas. Poglądy zaś Federacji Demokratycznej i późniejszej S. D. F. miały daleko więcej wspólnych cech ze sposobem myślenia tych starszych ideologów, niż z marxizmem; tym daje się wytłumaczyć fakt, że S. D. F. wypowiadała to samo prawie zdanie o związkach zawodowych i ich stosunku do socjalizmu, co starzy utopiści. — Ciekawym było w sytuacji to, że właśnie organizacja, której sposób myślenia Marxa pozostał dość obcym, uchodziła w angielskiej opinii publicznej za przedstawicielkę marxizmu, o ile wogóle cokolwiek o Marxie wiedziano. Nie wiedziano nic o Marxie, jako o uczonym teoretyku, gorliwym bojowniku i doświadczonym doradcy całego ruchu robotniczego na polu ekonomicznym, jakim był; natomiast on, który zawsze walczył wszelkie sekciarstwo, uchodził za Boga małej sekty. Łatwo można pojąć, że Engels, który przez całe życie był przyjacielem Marxa i istotnie się przyczynił do stworzenia marxowskiej teorii, był prawie wściekły, gdy to spostrzegł. Marx umarł w kilka lat po założeniu Federacji Demokratycznej i z tow. Hyndmanem najwyżej kilkakrotnie się spotykał. O nim można powiedzieć, że nie żywił do Hyndmana wielkiej sympatii, Engels zaś Hyndmana wprost nie znosił, a ten, wiedząc o tym stosunku, nie wyrażał się i nie wyraża do dziś dnia zbyt dobrze o Engelsie.

Engels wypowiadał życzenia, by S. D. F. rozwiązała się i by została zastąpioną przez rzeczywisty ruch robotniczy; gdy w dwaście lat później założoną została I. L. P., przyłączył się do niej nawet demonstracyjnie. Bez wątplenia faktem jest, że co do istoty rzeczy słuszność była po stronie Engelsa, ale mimo to jest dla mnie jasnym, że niesłusznie osądzał Hyndmana szczególnie, a S. D. F. w ogólności. Skoro zorganizowani w trade-unionach robotnicy angielscy sądzą, że zajmują w społeczeństwie kapitalistycznym mniej lub więcej uprzywilejowane stanowisko, albo wyobrażają sobie, jak to też ma miejsce u niemieckich zecerów, że są lepszymi ludźmi od zwykłych proletariuszów, to nie zdołają ich przekonać i pozyskać dla socjalizmu kon-

cesje lub rozumowane dowody, lecz tylko fakty; również i I. L. P., na którą Engels pokładał tyle nadziei, nie doszła do swego stanowiska wcześniej, aż klasy panujące pokazały robotnikom za pomocą ograniczenia ich prawa koalicji, że trzeba się politycznie usamodzielnąć od burżuazji. Nie na S. D. F. spada wina za stosunki angielskie, lecz przeciwnie stosunki angielskie, a zwłaszcza obojętność angielskiej klasy robotniczej były winne powstania tego specyficznego ducha w S. D. F. Można osądzać, jak się komu podoba, taktykę S. D. F., ale zdaje mi się, że jest faktem, iż najlepsza nawet w świecie taktyka nie mogłaby nie zmienić w rzeczywistym rozwoju. Mimo swój wielki wpływ na przywódców angielskiego ruchu zawodowego i swą głęboką znajomość angielskich stosunków, nie znalazł ani Marx ani Engels środków obudzenia angielskiej klasy robotniczej z jej ośpałości.

Jak wielką była ta obojętność, wiedzą to najlepiej ci, którzy z największym jeno wysiłkiem mogli utrzymać tygodnik „Justice“ (Sprawiedliwość), jako organ socjaldemokratyczny; tygodnik ten nie opłacał kosztów swego wydania nigdy przez cały czas swego 25-letniego istnienia i teraz jeszcze może być utrzymywany tylko dzięki największym ofiarom. Czy S. D. F. była winną temu, że robotnicy pisma tego nie czytali? Lub czy należało pismo zaopatrzyć w bogatszą treść, lepiej prowadzić? Tak jest, dałoby się tu dość zrobić, gdyby nie ciągły brak pieniędzy. Łatwiej rzucać kamieniami na kogo, ale trudniej, o wiele trudniej wydawać dobre pismo bez środków pieniężnych; a czy ostatecznie lepsze pismo więcej mogłoby osiągnąć, to pozostaje jeszcze bardzo wątpliwym. Gdyby proletarjat angielski posiadał jaką taką elementarną świadomość klasową, to przyszedłby do nas sam, popychany własnym instynktem. W innych krajach pisma robotnicze, nawet najgorzej redagowane, znajdują czytelników, gdyż tylko one protestują przeciw uciskaniu i wyzyskowi proletariatu. Proletarjat czuje, że gazety socjalistyczne są jego własnymi organami, i dlatego czyta prasę robotniczą. I poparcie właśnie ze strony robotników umożliwia wyposażenie pism w zajmującą treść, — nigdy zaś nie dzieje się naodwrot.

Jak bardzo obojętni są robotnicy angielscy, doświadczyłem sam, gdy rozpoczął jako socjalista — należałem wtedy do Stowarzyszenia Fabjanów — brać udział w polityce. Zgodnie ze zwyczajem wszystkich partji angielskich przy wszelkiego rodzaju wyborach, chodziłem podczas wyborów do rady gminnej po Londynie, by wzywać poszczególnych wyborców w określonym okręgu wyborczym do oddawania głosów na kandydata partji postępowej. Sklepikarze dawali mi, naturalnie, rozmaite najdziwaczniejsze odpowiedzi; dla nich było miarodajnym, czy kandydat jest sam t. zw. człowiekiem interesu, a nie to, jaki jest cel polityki jego partji. Charakterystyczną dla klasy robotniczej odpowiedź otrzymałem od jednego robotnika; gdy wszedł do jego mieszkania i wyjaśniłem jego żonie w bardzo uprzejmy sposób cel moich odwiedzin, odpowiedział mi spokojnie, nie odwracając ku mnie głowy (zdaje się, że był bez zajęcia): „nie mam nic przeciw temu“. Cała ta sprawa była dlań zupełnie obojętną. Według jego zdania, przy oddaniu głosu nie chodzi bynajmniej o jego własny interes, lecz tylko o wykazanie uprzejmości względem tego lub innego kandydata. Wielu robotników spogląda na wybory, jak na pewnego rodzaju wyścigi, i sądzi, że o ile głosują na kandydata, który nie zwycięża, to głosy ich giną taksamo, jak gdyby stracili przy grze w totalizatora na wyścigach konnych. Bardzo czę-

sto oświadczały setki robotników kandydatowi socjalistycznemu, że głosowaliby nań z ochotą, gdyby tylko miał widoki na wygraną. Co-prawda dziś ma się sprawa już lepiej, dzięki niestrudzonej pracy propagandystycznej rozmaitych organizacji socjalistycznych, ale lata całe miały, zanim osiągnięto pod tym względem poprawę stosunków.

Obojętność ta była spowodowana faktem, że angielska klasa robotnicza nie stoczyła od czasów ruchu czartystowskiego żadnej poważniejszej walki o prawo wyborcze, lecz że otrzymała je również bez wysiłków; wskutek tego nie nauczyła się nigdy odpowiednio je cenić. Wielu wszakże towarzyszy przypisywało winę za te stosunki S. D. F. i jej fałszywej taktyce. Niektórzy z nich wypowiedali zdanie, że nie należy robotnikom angielskim, a zwłaszcza związkom zawodowym, zwracać zbyt dużo głowę teorią, ale natomiast wyjaśniać im tylko lub w głównej mierze konieczność niezależnej polityki robotniczej. Domagali się, by wyjaśniano angielskiej klasie robotniczej, że powinna to, czego dokonała na polu ekonomicznym, uskutecznić także na politycznym: uczynić się niezależną od burżuazji.

To były przewodnie myśli I. L. P., gdy powstała w r. 1893 z programem zdecydowanie socjalistycznym. Nowa ta organizacja rozwijała się początkowo bardzo szybko, później nieco powolniej. Z obu organizacji liczyła S. D. F. na schyłku z. w. 5 000—6 000 członków, I. L. P. 10 000—12 000; w ostatnich latach i pierwsza i druga znacznie wzrosła i obecnie posiada S. D. F. około 13 000, a I. L. P. 20 000 członków.

Pod koniec zeszłego wieku uczyniono próbę zjednoczenia obu partji; odnośny wniosek został nawet przez członków obu organizacji przyjęty w publicznym głosowaniu, ale przywódcom I. L. P. udało się później ukreślić łeb sprawie, obecnie zaś położenie uległo znacznej zmianie wskutek powstania Partji Pracy.

Lata całe bezskutecznie starała się I. L. P. skłonić związki zawodowe do rozpoczęcia niezawisłej akcji politycznej, ale, jak już wspomniałem, angielska klasa robotnicza uznała konieczność jej dopiero w chwili, gdy sądy angielskie naruszyły prawo koalicji. Wówczas powstał Labour Representation Committee (Komitet przedstawicielstwa pracy), z którego się później rozwinęła Partja Pracy. Początkowo przystąpiła do nowej partji, obok I. L. P. i Fabjanów, również S. D. F., ale odłączyła się od niej znowu po dwóch latach należenia, kiedy Partja Pracy odrzuciła przyjęcie programu socjalistycznego oraz wyraźne uznanie zasady walki klasowej. Moim zdaniem, wystąpienie S. D. F. było poważnym błędem. Gdyby była ona pozostała w L. P., osiągnęłaby, że polityka partji w kwestjach dnia byłaby prowadzona w duchu socjalistycznym; usunięcie się jej natomiast wzmocniło tylko wpływ na partję oportunistów i rewizjonistów. I obecnie stosunek do Partji Pracy stanowi moment, dzielący obie socjalistyczne organizacje: S. D. F. bowiem, kładąca zawsze silny nacisk na walkę klasową, nie chce wstąpić do Partji Pracy, nie posiadającej programu socjalistycznego, nawet teraz, po przyjęciu przez ostatni kongres L. P. ogólnikowej uchwały na korzyść socjalizmu; podczas gdy I. L. P., która rzekomo neguje walkę klasową, przyjęła ją w praktyce tak dalece, że kładzie główny nacisk na to, by wyzwolić zorganizowanych robotników z pod wpływu partji burżuazyjnych. S. D. F. pozostaje więc w swej praktyce, właśnie mimo swój t. zw. marxizm, ideologiczną i utopijną.

O Stowarzyszeniu Fabjanów mowiłem tylko powierzchownie,

ponieważ straciło ono wszelkie znaczenie w ruchu. Stowarzyszenie posiada 1 200 członków; kilku z przywódców jego siedzi w radach gminnych, jako członkowie stronnictw burżuazyjnych, aczkolwiek Fabjanie, jako całość, należą do Partji Pracy. Rzeczywistą siłą Partji Pracy będzie można ocenić dopiero z czasem. Wiele bowiem z 30 mandatów, które partja zdobyła przy ostatnich ogólnych wyborach, uzyskano dzięki ugodzie z liberałami. Na wynik wyborów wpłynęła ta okoliczność, że wielu z kandydatów robotniczych liberali nie przeciwstawili swych własnych kandydatów, a nadomiar w okresie kampanji wyborczej panował silny prąd przeciw protekcjonizmowi konserwatystów, który również mógł spowodować, iż przy zwycięstwie posłów Partji Pracy liberalna pomoc grała pewną rolę. Czy partja własnymi siłami zdoła utrzymać zdobytą w parlamencie pozycję, — wykażą następne wybory.

Z kraju.

Kontrrewolucja rządowa i polska. — Związki polskie i Związki chrześcijańskie.

Wielkość usług, jakie kontrrewolucja rządowa oddała burżuazji polskiej, mierzyć można nietylko ponownym skrępowaniem rąk walczącej klasy robotniczej, nietylko masowym tępieniem jej najlepszych i najenergiczniejszych szeregów za pomocą sądów wojennych, szubienic, katorgi i wygnania, i nietylko rozmachem lokautowej walki fabrykantów, w której robotnicy, skuci od stóp do głowy kajdanami stanu wojennego, padają bezsilni pomimo niesłychanie uporczywej obrony, pełnej podziwu godnego bohaterstwa i nie dającej się opisać nędzy. Daleko ważniejszym, trwalszym miernikiem jest to, że duszenie i tępienie rewolucyjnych, przednich szeregów klasy robotniczej, pozwoliło Demokracji Narodowej, a w ślad za nią i Demokracji Chrześcijańskiej dostać w swoje cugle szerokie warstwy robotnicze i wyzyskać ich ciemnotę w celu wyżłobienia ruchowi robotniczemu łożyska nacjonalistycznego i klerykałnego.

Nie myślę bynajmniej powiedzieć przez to, że bez tryumfu kontrrewolucji, bez krwawych orgji Skałonów i Kaznaków nacjonalizm i klerykałizm nie zdobyłyby swojej części wpływu wśród klasy robotniczej, socjalistycznie nieuświadomionej. Tylko płaski i nacjonalistyczny socjalizm t. zw. Rewolucyjnej Frakecji P. P. S. mógł sobie wyobrażać społeczeństwo polskie, i rzeczywiście od narodzin P. P. S. aż do ostatniej chwili malował położenie kraju mniej więcej w ten sposób, że wewnątrz społeczeństwa jest z jednej strony tylko garstka fabrykantów i ugodowców, z drugiej strony masy ludowe, słuchające rozkazów P. P. S., a reszta należy już do „najazdu“, czyli, że cała organizacja państwowa z jej siłą administracyjną i militarną jest czymś wyłącznie zewnętrznym, bez związku z walką klas w Polsce. Z tak namalowanego obrazu wynikało, że gdyby nie było w Polsce militarnej siły „najazdu“, to masy ludowe pod wodzą P. P. S. rozprawiłyby się w ciągu sekundy z garstką fabrykantów i ugodowców, pozabawionych armat i bagnetów „najazdu“ i, co za tym idzie, niepodległa Polska byłaby socjalistyczna lub przynajmniej „ludowa“ albo „robotnicza“. Cały problemat, oderwany od procesu rozwoju walki klas, polegał tylko na tym, jak się pozbyć „najazdu“, aby przez to samo

otrzymać Polskę, jeżeli „jeszcze nie socjalistyczną“, to conajmniej „robotniczą“. Jak wiadomo, ten nacjonalistyczny socjalizm wywodzi nawet swą genealogję od majowego strejku powszechnego w Łodzi, 1892 roku. Ta sławna walka czerwonej Łodzi, w której sto tysięcy robotników powstało pod hasłem ośmiogodzinnego dnia roboczego i innych żądań socjalistycznych, została zduszona we krwi robotniczej przez bagnety carskie w ten sam sposób, jak wszystkie powstania robotnicze Łodzi w ciągu rewolucji 1905 roku i lat następnych. Ale z ówczesnego bohaterstwa Łodzi robotniczej P. P. S. zrobiła następujące błazeństwo ideologiczne, jako fundament swego bytu:

W Łodzi stały naprzeciw siebie dwa wrogie obozy. Jeden – to sto tysięcy robotników, drugi – to drobna garść fabrykantów. Wynik walki tak nierównych sił jest jasny: sto tysięcy robotników mogło jednym skinieniem rąk obalić garść fabrykantów. Ale w walkę wmieściła się siła zewnętrzna i bagnety „najazdu“ rozstrzygnęły ją na korzyść fabrykantów. Stąd wniosek jasny: jeżeli w Łodzi 1892 roku nie zapanował ośmiogodzinny dzień roboczy i dyktatura proletariatu, lub jeżeli w Polsce nie panuje jeszcze socjalizm, to winien temu jest „najazd“, który naturalny układ sił społecznych wykrzywia nienaturalnie na korzyść garści kapitalistów. A więc dla tryumfu socjalizmu należy naprzód wyrzucić „najazd“ czyli odbudować Polskę. Tak powstała wrzekomo P. P. S.

W rzeczywistości jednak historia odbyła się nieco inaczej. Przedewszystkiem bowiem P. P. S. powstała nie jako bohaterski produkt bohaterskiej walki robotników łódzkich w dniach majowych 1892 r., lecz jako bezmyślny produkt płaskiej ideologii, usiłującej powiązać bohaterskie wystąpienia polskiej klasy robotniczej z reakcyjną ideologją nacjonalizmu. Powtóre, siła militarna jest nieubłaganym towarzyszem i obroną każdego społeczeństwa burżuazyjnego, i jeżeli Polska kapitalistyczna nie posiada swojej własnej, polskiej armji, to stąd nie wynika, że pozbawiona jest funkcji militarnych, nieodłącznych od panowania kapitalistycznego. Z tego faktu, że kapitalizm polski nie posiada na usługi swoje polskiej armji, wynika tylko tyle, że militarne funkcje kapitalizmu polskiego musiały przyjąć na siebie armja rosyjska. To znaczy, że w naszych stosunkach wewnętrznych, w walkach klasowych Polski armja rosyjska nie jest armją „najazdu“, lecz zastępuje armję polską, spełnia jedną z ważnych funkcji burżuazyjnego społeczeństwa polskiego, jest jego własną, a nie obcą armją, strzela w jego interesie do robotników polskich z takim samym skutkiem, z jakim armja francuska strzela do robotników francuskich. Cała prestidigatorska sztuka nacjonalistycznego socjalizmu polegała na tym, że jak szarlatan w cyrku pokazuje żywego człowieka bez głowy lub żywą głowę bez tułowia, tak on pokazywał swoim niewybrednym widzom burżuazyjną Polskę bez armji, jakgdyby żywa głowa mogła istnieć bez tułowia, a społeczeństwo burżuazyjne bez bagnetów.

Jeżeli zatem zacząłem mówić o usługach, jakie kontrrewolucja rządowa oddała burżuazji polskiej, pozwalając Demokracji Narodowej i Chrześcijańskiej skierować częściowo prąd ruchu robotniczego na żagle nacjonalizmu i klerykalizmu, to przez to nie chciałem bynajmniej powiedzieć, że są to usługi zewnętrzne, niezależne od usług, które sobie wyświadczyła sama burżuazja polska. Kontrrewolucja w naszym kraju tryumfuje jako kontrrewolucja polsko-burżuazyjna, ciemny żołnierz i stan wojenny występują tylko jako narzędzia polskiej kontrrewolucji burżuazyjnej, jak w 1892 roku bagnety Hurki były tylko

narzędziem fabrykantów łódzkich. Niedarmo przecież Demokracja Narodowa podczas bojkotu wyborów do pierwszej Dumy błogosławiła w Gazecie Polskiej stan wojenny jako niezbędny środek przeciw agitacji socjaldemokratycznej, niedarmo przecież bagnety rządowe osłaniały jej lokale wyborcze przed wtargnięciem robotników socjaldemokratycznych, niedarmo wybory burżuazyjne odbywały się pod osłoną nahajek i bagnetów. Gdyby brutalne panowanie gołej szabli było tylko wyrazem kontrrewolucji rządowej, a nie kontrrewolucji polskiej, to głosowanie Koła Polskiego za powiększeniem kontyngentu rekruta byłoby niewytłumaczonym nonsensem. W kraju tryumfuje kontrrewolucja krajowa zapomocą tych samych bagnetów, co kontrrewolucja rządowa, lecz nie wszystkie czynniki społeczne kontrrewolucji krajowej i rządowej są jednakie. Dlatego tryumf jednej kontrrewolucji w konsekwencji swojej zwraca się przeciw drugiej. Kontrrewolucja rządowa opiera się, między innymi, na nacjonalizmie rosyjskim i klerykalizmie prawosławnym, więc z natury rzeczy zwraca się przeciw kontrrewolucji polskiej, posługującej się nacjonalizmem polskim i klerykalizmem katolickim. Dlatego też kontrrewolucja polska w postaci Koła Polskiego musi być wbrew chęci na stronie opozycji. Jeżeli przytym i pomimo to podtrzymuje politykę rządu swoimi wystąpieniami w Dumie, jeżeli polska kontrrewolucja nacjonalistyczna i klerykalna głosuje na armję i podatki dla kontrrewolucji rządowej, pomimo, że ta ostatnia zamyka kluby Demokracji Narodowej, rozwiązuje towarzystwa Związku Katolickiego w Chełmszczyźnie, prześladuje księży katolickich w Królestwie za pisanie metryk po polsku, zrzuca z urzędu biskupa Roopa i wypędza z parafii księży na Litwie i t. d. — to jest rzeczą jasną, że kontrrewolucja rządowa jest potrzebna kontrrewolucji polskiej, że pomimo swych antagonizmów stanowią jedną całość, że oddają sobie wzajemnie znakomite usługi.

Jedną z najznakomitszych usług, jakie burżuazja polska zawdzięcza kontrrewolucji rządowej, jest — jak już powiedziałem — wzrost wpływów Demokracji Narodowej i Chrześcijańskiej wśród mas robotniczych. Rzecz oczywista, że jeżeli powstały teraz i rozwijają się szeroko związki robotnicze demokratyczno-narodowe pod nazwą „polskich“ i klerykalne pod nazwą „stowarzyszeń robotników chrześcijańskich“, to związki te powstałyby pierwiej czy później bez obecnego tryumfu kontrrewolucji. Ale swój rozmach i swój szybki rozwój związki te zawdzięczają kontrrewolucji o tyle, że ta ostatnia nietylko powstrzymała kolosalny i szybki rozwój wpływów socjalizmu wśród masy robotniczej, jak to było w okresie wzmoczonej fali rewolucyjnej, lecz do takiego stopnia skrępowała obóz socjalistyczny, że reakcja, mając w nim przeciwnika, czasowo przybitego do ziemi, może tym śmieiej i tym szybciej torować sobie drogi do klasy robotniczej, nie znajdując należytego oporu i przeciwdziałania ze strony socjalistycznej.

Kontrrewolucja w Rosji pomimo swoich tryumfów nie znalazła oparcia ani w chłopstwie, ani tymbardziej wśród klasy robotniczej. Przeciwnie, obie te klasy społeczne są dotąd postrachem dla kontrrewolucji rosyjskiej i rządowej, opierającej się wyłącznie na szlachcie rolnej i wielkim kapitale. Świadczą o tym niepowodzenia „Związku narodu rosyjskiego“ i innych partji reakcyjnych na wyborach w kurji chłopskiej i robotniczej. U nas kontrrewolucja ma tym mocniejsze korzenie społeczne, że, jak świadczą wybory do Dumy, partje reakcyjne, Demokracja Narodowa i realisci, otrzymywały głosy chłopskie, a pierwsza otrzymała stosunkowo ogromną ilość głosów robotniczych.

Związki robotnicze demokratyczno - narodowe i klerykalne są więc daleko większym wyrazem tryumfu kontrrewolucji w Polsce, aniżeli szubienice i przepelnione więzienia. Socjaldemokracja musi to położenie objąć otwartym i śmiałym wzrokiem, aby tym głębiej uświadomić sobie najbliższe zadania rewolucji w Polsce.

„Polskie“ związki zawodowe nie tylko w porównaniu z t. zw. bezpartyjnymi i na gruncie walki klasowej stojącymi związkami, które zawsze były najsłabszemi, ale nawet w porównaniu ze związkami socjaldemokratycznymi, stały się potęgą. Obecnie, w chwili zduszenia socjaldemokratycznego ruchu zawodowego i zmniejszenia się jego organizacji, związki polskie bezsprzecznie prześcignęły związki socjaldemokratyczne i t. zw. bezpartyjne razem wzięte. Blisko 50 tysięcy płacących członków związków polskich nie jest zapewne przesadą, jak świadczą ich sprawozdania kasowe. To w naszych warunkach i jak na początek jest bardzo dużo. Co ważniejsza, związki te korzystają z legalności i ze swobody ruchu i już to samo daje im przewagę warunków, która trwać będzie, dopóki związki socjaldemokratyczne nie będą mogły korzystać z takiej samej wolności dla swojej taktyki bojowej, opartej na walce klas. Kierownicy związków polskich i ich prasa — Jedność i Życie Robotnicze liczą się przytym ze stanem klasy robotniczej, która w czasie rewolucji i dzięki rewolucji uległa gruntownej zmianie.

W okresie rewolucji klasa robotnicza w całej swojej masie, a nie tylko oddzielne jej warstwy, podniosła się duchowo, dążenia jej rozszerzyły się, wymagania bytu materialnego zwiększyły się. Widać to nawet z tonu *P r a c o w n i k a P o l s k i e g o*, organu stowarzyszeń robotników chrześcijańskich, składających się z najciemniejszych i klerykalnych robotników. Przytym socjaldemokratyczne hasła walki pozostawiły głęboki ślad w umysłach robotniczych, zdobycze okresu rewolucyjnego są jeszcze żywe w ich pamięci, tymczasem depresja ekonomiczna i lokauty zwiększają tylko przepaść między rzeczywistością nędzą położenia a wymaganiami robotniczymi. Wreszcie, agitacja socjaldemokratyczna, chociaż na razie osłabiona i nie tak intensywina, jak przedtym, nie przestaje działać. Lokautowa taktyka fabrykantów też robi swoje, zwiększa przepaść pomiędzy klasą robotniczą a burżuazją. Z tym liczą się związki polskie. Prasa ich zwalcza ideję walki klas i przeciwstawia jej ideję jedności narodowej, ale wcale nie tak, jak to czyni polityczna prasa Demokracji Narodowej! Zupełnie przeciwnie! Mówi ona o walce z kapitalistami, o potrzebie związków zawodowych dla tej walki, o potrzebie pełnych kas dla strejku, o potrzebie strejkowania, mówi o pracy i kapitale i propaguje ideję „czysto robotniczej“ walki w przeciwstawieniu do idei walki klasowej, za wzór podając trade-uniony angielskie.

Świadczy to, że rewolucja podniosła klasę robotniczą na wyższy poziom, jeżeli demokraci narodowi zmuszeni są przybierać togę protektorów trade-unionizmu na wzór burżuazji angielskiej. Ale historia dwa razy się nie powtarza, burżuazja polska nie jest burżuazją angielską i rząd carski nie jest rządem whigów ani rządem torysów. Jest to więc nonsensem sądzić, jak to czyni Demokracja Narodowa, że u nas cały ruch robotniczy opanowany zostanie na dłuższy przynajmniej czas przez trade-unionizm polskich związków, jak w Anglii. W pierwszej chwili otrzymania wolności ruchu socjaldemokratyczne związki zawodowe niewątpliwie zetrą ślady strat, które teraz ponoszą, o przyszłości ich świadczy ich przewaga i szybki wzrost w poprzed-

nim okresie. A w pierwszym dniu ponownej fali rewolucyjnej robotnicy narodowi znowu znajdują się wbrew woli swych przewodców w szeregach rewolucji, jak to było w 1905 r. i później jeszcze.

Jeżeli jednak stanowisko prasy narodowej związków polskich świadczy o tym, że wymagania ekonomiczne robotnika narodowego pchają go do walki z kapitałem, to wybory do Dumy świadczą, że robotnik narodowy nie przebudził się jeszcze do walki klasowej, do politycznego zrozumienia swych interesów klasowych. By utrzymać ruch robotników narodowych w swych cuglach, Demokracja Narodowa musi ich organizować do walki ekonomicznej, aby zapewnić sobie ich głosy w swojej własnej burżuazyjno-nacjonalistycznej walce politycznej. Pomoc w strejku za głosy przy wyborach! Walka ekonomiczna za wyrzucenie się walki klasowej, politycznej! Przytym walka ekonomiczna z przygotowanym zgóry planem układów pokojowych, kompromisów, łagodzeń i chytrze obmyślanych zrad. Taki jest niewątpliwie plan demokratów narodowych. W Jedności bowiem i w Życiu Robotniczym mówi się nie tylko o „czysto robotniczej“ walce i strejkach, ale i o wspólności interesów kapitalistycznych i robotniczych, o targach i układach pokojowych, o zaniechaniu strejków, jeżeli fabrykant wykaże, że nie może ustąpić robotnikom ze względu na wyższe interesy przemysłu „narodowego“. Chytrze ułożona taktyka nie może jednak decydować o walkach nawet robotników narodowych i ci ostatni sprawiają wiele kłopotów swoim przewodcom. Robotnik narodowy będzie więc dawał swój głos wyborczy i swoje poparcie polityczne Demokracji Narodowej, ale swoją walką ekonomiczną będzie ją szarpał i rozrywał, aż się wreszcie zbudzi do walki klasowej. W Demokracji Narodowej panują nie interesy robotnika narodowego, lecz jego przeciwnika – fabrykanta, który swoją polityką lokautową musi w nim wzbudzać coraz większą nienawiść. Ta sprzeczność musi się zaostrzać i doprowadzić do wybuchu, nie tylko dlatego, że fabrykant polski nie jest fabrykantem angielskim, ale przede wszystkim dlatego, że i w samej Anglii coraz trudniej daje się utrzymać stary trade-unionizm i że w Polsce walka klasowa ma nadzwyczaj ostry charakter. Teraz ucisk narodowy zasłania robotnikowi narodowemu tę sprzeczność, ale im prędzej ucisk ten zginie, tym prędzej zniknie połączenie robotnika i fabrykanta w jednej partii Demokracji Narodowej.

Niemniejszym tryumfem kontrrewolucji polskiej są chrześcijańskie stowarzyszenia robotników. Są to właściwie rozgałęzienia Związku Katolickiego, powstałego dla walki z Demokracją Narodową, idącego solidarnie z realistami. Kołka parafjalne Związku Katolickiego mają na celu odebranie Demokracji Narodowej chłopów, stowarzyszenia robotników chrześcijańskich, mają im odbierać robotników. Grasują one przeważnie wśród starszego pokolenia robotniczego, wśród rzemieślników i drobnych majstrów, wśród kobiet pracujących, grając na najgrubszych przesadach, niekulturalności i ciemnocie. I te stowarzyszenia liczą blisko 50 tysięcy członków, mają blisko 30 koł w samej Warszawie, patronem każdego koła jest ksiądz, mają w swoich rękach największą ilość sklepów spożywczych współdzielczych, budują domy ludowe i rozporządzają największą u nas wolnością zebrania i agitacji. Dotąd przy wyborach robotnik chrześcijański szedł razem z robotnikiem narodowym głosować na demokratów narodowych, przy następnych wyborach będziemy zapewne widzieli więcej chłopów ze Związku Katolickiego i więcej głosów rzemieślniczych,

oddanych na kandydatów realistów. Przewodcy związków polskich wzorują swoją demagogię na trade-unionizmie angielskim, patroni kół robotników chrześcijańskich uczą się polityki u centrowców niemieckich.

Związek Katolicki i stowarzyszenia robotników chrześcijańskich powstały przeciw Demokracji Narodowej. Walka zawrzała jeszcze w lecie roku zeszłego, od chwili opublikowania tajnego okólnika Zarządu Demokracji Narodowej przeciw Związkowi Katolickiemu, walka trwa dalej w ukryciu, za kulisami, tylko od czasu do czasu wybuchając płomieniem na szpaltach *Gazety Codziennej* z jednej strony i *Słowa* oraz *antisemickiego Dziennika Powszechnego* z drugiej strony. Ta walka może się na pozór zdawać dziwną, bo wszak Demokracja Narodowa jest dość klerykalna i antisemicka, należy do niej wielu księży. Ale wyższy kler i najbardziej fanatyczna część duchowieństwa jest przeciwną Demokracji Narodowej, nie o ile ta ostatnia jest antisemicka, klerykalna, antykulturalna, lecz jest to przeciwieństwo do polityki demokratyczno-narodowej, o ile ta polityka liczy się jeszcze z masą demokratyczną i robotniczą, używając pozorów demokracji i pozorów walki z rządem. Antagonizm ten objawia się w formie nacjonalizmu z jednej strony i klerykalizmu z drugiej. Wziąwszy od centrowców niemieckich dewizę „za prawdę, wolność i sprawiedliwość“, *Pracownik Polski* dodaje do niej „Bóg i Ojczyzna“, a Demokracja Narodowa odpowiada naodwrot: „Naród i Kościół“.

Związki polskie i stowarzyszenia robotników chrześcijańskich są zjawiskiem nowym w ruchu robotniczym. Wszystkie skutki ich działalności nie dają się jeszcze ująć i zapewne nieraz jeszcze w numerach najbliższych *Przeglądu* wypadnie do nich powrócić.

Jan z Czerniakowskiej.

Krytyka i bibliografia.

Dr. Helena Landau: Polityka związków zawodowych. Warszawa, 1907. „*Życie*“, wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Str. 88.

Między publikacjami „*Życia*“, pośród których utwory oryginalne są zazwyczaj wylewem mądrości „teoretyków“ socjalpatryotycznego kierunku, znalazła się wyjątkowo książeczka, zasługująca na poważne traktowanie.

Praca p. Landau daje w 8-miu rozdziałach pewne pojęcie o kwestjach ruchu zawodowego: o taktyce związków zawodowych względem przedsiębiorców, o niektórych funkcjach związków (prowadzenie walki z przedsiębiorcami, ubezpieczenie bezrobotnych, pomoc w wyszukiwaniu pracy), o ich organizacji, o wpływie na położenie robotnika. Jasnym jest, że nawet kwestje wymienione nie mogą być na 88 str. jakkolwiek wyczerpująco przedstawione. Autorka z natury rzeczy musi je tylko szkicować, a nadto pomija cały szereg kwestji pierwszorzędnej wagi: tak np., kwestję łączności walki ekonomicznej z polityczną, znaczenie tej ostatniej dla walki związków o najbardziej nawet wazkie interesy robotników i inne. Broszura p. Landau powstała w znacznej części z artykułów, drukowanych w r. 1905

i 1906 w „Głosie“ i „Prawdzie“. Fakt ten odbił się szkodliwie na systematyczności przedstawienia rzeczy i spotęgował niezdolność autorki do uwypuklenia pewnych zasadniczych wniosków — tak koniecznego w książce popularnej — przez odpowiednie zgrupowanie faktów. Przedstawiając np., na str. 26-ej taktykę strejkową związków zawodowych, wywołuje autorka w czytelniku wrażenie, że atakowanie przedsiębiorców zapomocą całego szeregu drobnych strejków — ów t. zw. „Gerilakrieg“ jest jedyną i ogólną taktyką związków, podczas gdy na str. 78—88-ej, omawiając tendencje, wywołane przez ten sposób walki wśród przedsiębiorców, dzieli się ona z czytelnikami uwagami z powodu kłęski robotników berlińskich zakładów elektrycznych w r. 1905, która wykazała, iż w pewnych momentach niezbędną jest zupełnie inna taktyka. W popularnej broszurze ustęp ten powinien następować po poprzednim, gdyż tylko wspólnie z nim może dać pojęcie o całokształcie taktyki strejkowej. Wspomniane pominięcie związku walki zawodowej z polityczną, o której autorka tu i owdzie mimochodem wspomina, nie jest jednak wynikiem tendencji do przedstawiania na walce zawodowej lub wyodrębniania jej z całości walki klasowej proletariatu, gdyż naogół autorka pozostaje na stanowisku walki klasowej i z tego stanowiska ocenia kwestje sporne w ruchu zawodowym.

Niestety oczywisty brak krytycyzmu, a być może i dostatecznej znajomości odnośnych faktów, doprowadza ją do twierdzeń, od dawien dawna pogrzebanych przez literaturę socjalistyczną. Tak niektóre fakty z historii stosunku państwa do klas posiadających, które można dokumentalnie wyjaśnić jako objawy obrony interesów wyzysku świadomie przez państwa podjętej, tłumaczy p. Landau innymi momentami: np., pierwsze zakazy zmów robotniczych — zadością państwa, „by w obrębie jego nie istniały korporacje autonomiczne, uszczuplające jego wszechpotęgę“. Wystarcza zajrzeć do współczesnych pamfletów obrońców przedsiębiorców lub ekonomistów (np., A. Smitha), by dowiedzieć się, że polityka ta była wszędzie świadomym wystąpieniem państwa w interesie burżuazji przeciw robotnikom, których walka zdawała się być groźną nie tylko dla kieszeni przedsiębiorców, lecz i „spokoju publicznego“. Jako drugi przykład takiego fałszywego pojmowania stosunku burżuazji do proletariatu można przytoczyć ustęp o ustawodawstwie ochronnym (str. 76): „Do podniesienia położenia klas pracujących w ciągu ostatniego stulecia przyczynił się bez wątpienia i rozwój ustawodawstwa ochronnego, które aż do ostatnich czasów nie było ani zdobyczą organizacji robotniczej, ani też świadectwem wpływów politycznych proletariatu. Był to wynik zacnych filantropów i dalekowidzących mężów stanu, objaw chęci zażegnania rozterek społecznych drobnymi ofiarami, ale nie dzieło samychże robotników“. Że ustawodawstwo ochronne nie jest „dziełem samychże robotników“ — to fakt choćby dlatego, że robotnicy nigdzie nie mają w rękach swoich rządów państwa, które tworzy ustawodawstwo ochronne. Nie zmienia to jednak drugiego faktu, który można udowodnić z historią ustawodawstwa ochronnego w rękę, iż od Anglii począwszy a na Rosji skończywszy, do ustawodawstwa ochronnego zabrały się wszędzie rządy pod wpływem zorganizowanej lub żywiołowej walki robotniczej. Znacni filantropowie w rodzaju lorda Ashleya lub — i to w większym stopniu — walka burżuazji rolnej z przemysłową miała pewne znaczenie, zwłaszcza w Anglii, ale bez walki robotniczej ustawodawstwo ochronne

nie doszłoby do skutku, lub też zostałyby na papierze. Że tak się ma rzecz istotnie, niechaj oświecili przykład, jeden z wielu, jakie możemy znaleźć w historii ustawodawstwa społecznego. Burżuazyjnemu radykałowi Franciszkowi Place'owi udało się w r. 1824 przeprzeć w parlamencie angielskim prawo o swobodzie związków. Uchwała ta nie została wywalczoną przez klasę robotniczą, została tak podstępnie przez Place'a przeprowadzoną, iż „członkowie parlamentu i gazety prawie wcale tego nie spostrzegły“ — jak opowiada sam Place. Burżuazyjni profesorowie lubią powoływać się na fakt ten, jako na przykład przeciw teorii, widzącej w walce klas źródło socjalpolitycznej działalności państwa (ostatnio przypomniał tę sprawę po raz niewiadomo który Tugan Baranowski w swych „Grundlagen des Marxismus“). Ale pomijając już to, że uznanie prędzej czy później prawa koalicji robotniczych stało się wogóle dla rządu nieuniknioną koniecznością wobec nieprzewyciężonej tendencji robotników angielskich do tworzenia trade-unions, wbrew wszelkim zakazom i najsurowszym karom, pogromcy teorii walki klas zapominają jeszcze o drugiej strofie zwrotki. Gdy z otrzymanej swobody związków robotnicy angielscy poczęli korzystać, gdy jak grzyby po deszczu powstawały nowe związki, przedsiębiorcy wystąpili energicznie przeciw prawu, „które zostało do izby przemycone“ — jak wyrażał się jeden z ich posłów — i prawo to znikłoby na razie z powierzchni ziemi, gdyby nie energiczna akcja robotników, którzy zasypywali parlament petycjami, tworzyli w całej Anglii komitety, kierujące agitacją przeciw zamachowi na swobodę związków, przysyłali delegacje do parlamentu i t. d. „Aczkolwiek robotnicy nic nie uczynili“ — mówi dziejopis zawodowego ruchu robotniczego w Anglii — „by zdobyć swobodę związków, byli jednak silnie zdecydowani ją utrzymać“. I tylko dzięki temu stanowisku, prawo to, aczkolwiek obcięte, zachowali.

Podobnych przykładów można przytoczyć bardzo wiele. Znane są słowa Bismarka, że gdyby nie było w Niemczech Socjaldemokracji, nie byłoby również i reform społecznych (ubezpieczenia robotników i opieki prawnej). Znany jest fakt, że ochronne prawodawstwo robotnicze w Rosji powstało w najściślejszym związku z ruchami wśród robotników przemysłu włóknistego w centralnej Rosji w pierwszej połowie lat 80-tych z. st. Jeżeli więc autorka powtarza za socjalreformatorskimi zamazywaczami prawdy historycznej opowiadania o „zacnych filantropach i dalekowidzących mężach stanu“, wymyślone dla zdyskredytowania teorii walki klas, to świadczy to tylko o niejedynolitości jej światopoglądu i bezkrytycznym przepisywaniu tych poglądów z „Handbuchów“ (podręczników) burżuazyjnych profesorów niemieckich.

Mimo tych braków może jednak broszura p. Landauowej przynieść pożytek ludziom, pracującym w związkach oraz szerszej publiczności — póki nie pojawią się w polskim języku gruntowniejsze oryginalne lub tłumaczone prace.

K-ek.

Przegląd czasopism.

The Social-Demokrat.

Elia Levin rozpatruje w kwietniowym numerze wychodzącego w Londynie miesięcznika angielskiej Socjaldemokratycznej partji (S. D. P.) kwestję stosunku tej partji do nowozałożonej Partji Pracy (Labour Party).

Autor zwraca się ostro przeciw mianowaniu Partji Pracy socjalistyczną partją robotniczą dlatego tylko, że jej ostatni kongres w Hull przyjął rezolucję na korzyść socjalizmu. Głosowanie na kongresie nie dało bynajmniej jasnego wyniku, gdyż jednego dnia podniósł się las rąk, by radośnie powitać socjalizm, a nazajutrz podniosło się tyleż rąk, by przeciw niemu świadczyć. Wprawdzie twierdzi tow. Hyndman od tego czasu, że Partja Pracy nie będzie teraz mogła zetrzeć czerwonej szminki, którą nałożyła na tym kongresie na swą twarz, ale my nie odczuwamy przecież potrzeby czerwonej szminki, lecz chcemy naturalnego czerwonego koloru socjalizmu. Związki zawodowe marnowały całe kubły czerwonej szminki, a czy możemy je jednak dlatego nazwać chociażby przez pół socjalistycznymi? Czy posłowie, reprezentujący w parlamencie związki zawodowe, nie są w każdej chwili gotowi oddawać wszelkie usługi liberałom?! Cóż za korzyść mamy z martwych rezolucji socjalistycznych? Potrzeba nam żywego socjalizmu, coby przepełniał serca, przenikał rozum i uczucia, tego zaś nie osiągniemy, jeżeli będziemy poprostu przedstawiali światu za fakt już dokonany nasze życzenie, by Partję Pracy można było słusznie nazywać socjalistyczną.

Przypatrzmy się tylko bliżej werdyktowi kongresu, odbytego w Hull. Jego wotum za socjalizmem było tylko pobożnym życzeniem kilku delegatów, politycznie pozbawionym wszelkiej wartości, jego wotum przeciw socjalizmowi – miarodajną odpowiedzią partji, jasną, niedwuznaczną, drugoczą. Partja Pracy 1) sprzeciwiła się przyjęciu socjalizmu do programu, 2) odmówiła socjalistom do niej należącym pozwolenia, by kandydowali jako socjaliści. Nad pierwszą odmową nie zatrzymujemy się dłużej, gdyż każdemu powinno być dozwolone przystąpić do niezależnej partji robotniczej, nawet jeżeli nie jest ona jeszcze socjalistyczną. Ale co się tyczy drugiego punktu, to przecież ani na chwilę nie możemy żywić chęci wystawiania naszych kandydatów pod hasłem pracy bez socjalizmu. Dopóki istnieje to zastrzeżenie, będzie lepiej, jeżeli pozostaniemy po za Partją Pracy, która zasłania nasze socjalistyczne okno firanką pracy i spycha nasz socjalizm ze sfery akcji politycznej na pole czystej propagandy. Rzecz zrozumiała, że nikt nie mógłby kandydatowi robotniczemu zatkać ust, że byłoby mu wolno wygłaszać socjalistyczne mowy, ale mimo to oznaczałoby podobne postępowanie, że chowamy światło nasze w obliczu całego narodu pod korzec; dla robotników byłoby to czysto oportunistyczną polityką z dnia na dzień. Jeśli przy walce wyborczej bojowym okrzykiem jest socjalizm, wówczas wpływa to całkiem inaczej na cały lud, aniżeli gdy wszystkie nasze siły agitatorskie przepełnione są zapalem tylko dla polityki robotniczej bez socjalizmu. Fakt, że nie możemy wstąpić do Partji Pracy nie oznacza wszakże, bynajmniej, że nic nas ona nie obchodzi. Nie należymy do niej jako zorganizowani socjaliści, w charakterze jednak związków jesteśmy w niej; będąc zaś socjaldemokratami, mamy obowiązek starać się, by jaknajszybciej stała się ona socjalistyczną. Musimy tylko zabrać się do rzeczy mądrzej, niż dotychczas, i nie usiłować więcej przekonywać Shackleton'ów, Macdonald'ów, Gills'ów i Glasier'ów. Nie mamy przecież żadnego pożytku z tego, że ludzie ci mają w ustach socjalizm i że przyjmują socjalistyczne rezolucje. Wielka masa członków Partji Pracy nie jest socjalistyczną – mówili oni – jakżeż więc ma kongres uznać socjalizm za cel partji? W pewnej mierze mieli słusność. Wszak sprawa wyglądała tak, że socjaliści, zamiast przekonać Partję Pracy, chcą ją znieacka zaskoczyć i podstępnie zdobyć za pomocą narzuconego głosowania. Wyglądałoby to, że demokracja zostaje pogwałconą przez socjalizm, co byłoby przecież ze stanowiska socjaldemokratów absurdem. Musimy zdobyć dla socjalizmu Partję Pracy, nie zaś kongres. Skoro partja będzie zdobyta, to kongres będzie musiał *volens volens* przyjąć to do wiadomości, i wówczas socjalizm nie będzie celem partji tylko formalnie.

Jak jednak zyskać Partję? Nie możemy zgodzić się tu z taktyką I. L. P. (Niezależnej Partji Pracy), która stara się tylko związki zawodowe

przepoić socjalizmem, doroczny natomiast kongres partyjny chce całkiem zostawić na uboczu. Taka polityka byłaby do twarzy Fabjanom; kongres bowiem może w jednym roku zdziałać więcej, aniżeli propaganda w związkach zawodowych w ciągu lat dziesięciu. Ale nie możemy również narzucać delegatom socjalizmu; winniśmy ich tylko zmusić, by stan rzeczy przedstawili całej partji. Było to niezręcznym zwrotem ze strony zakulisowych reżyserów Partji Pracy, gdy wysuwali przeciw nam zasadę demokracji, ponieważ w Partji tej w rzeczywistości nie wiele można znaleźć demokracji. Półtora miliona członków partji płaci wprawdzie chętnie swego pensa jako składkę partyjną, albowiem wielka myśl o niezawisłości pracy zapuściła głębokie korzenie w sercach robotników naszego kraju; w praktyce jednak nie posiadają oni wpływu na obrady i akcję partji. Utrzymują ich niejako w stanie półsnu embrjonów. W Partji Pracy brak życia, panuje w niej biurokracizm i duch biurokratyczny. Doroczny kongres jest zgromadzeniem o składzie w połowie sztucznym: delegatów mianują organy wykonawcze rozmaitych związków zawodowych; nie są oni odpowiedzialni przed członkami partji, a posłowie robotniczy traktują ustawicznie nogami uchwały przyjęte na kongresie. Jest to rzeczą prostego przypadku, kiedy poglądy delegatów, którzy starają się jeno odgadnąć zdanie członków, nie zaś dać mu wyraz, zgadzają się z poglądami Partji. A przytym wyobrażają sobie jeszcze ci panowie, że jedynie oni powołani są do reprezentowania interesów robotników angielskich. Uważają się za dobroczyńców klasy robotniczej. Nam jednakowoż nie potrzeba politycznej dobroczynności nawet ze strony przywódców robotniczych. Potrzeba nam demokracji: wtedy zadanie nasze będzie ułatwione.

Musimy przeto żądać na kongresie: 1) demokratyzacji partji, 2) plebiscytu co do socjalizmu.

Walka będzie zapewne ciężką, głosowanie powszechne nie wypadnie jeszcze na korzyść socjalizmu. Poniesiemy nie jedną jeszcze porażkę, ale skupimy w jednym ognisku poglądy półtora miliona zorganizowanych robotników na socjalizm, uczynimy socjalizm najbardziej palącą kwestją doby dzisiejszej i nie spoczniemy, póki nie będzie o nim dyskutowała każda grupa zawodowa. Olbrzymie, niebываłe jeszcze będą to rozprawy. Przy pierwszym naszym szturmie zwyciężą nasi wrogowie, ale zwycięstwo ich będzie Pyrrhusowem i potrzeba jeszcze tylko jednego lub dwu takich zwycięstw, a klęska ich będzie rzeczą dokonaną.

W tym samym numerze znajduje się subtelnie cieniowany, a jednak silnie wypuklający kwestję artykuł Maurycyego Hillquita, przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w Międzynarodowym Biurze Socjalistycznym, o obecnej sytuacji ekonomicznej w Ameryce Północnej.

Robotnicy europejscy słyszeli wiele o kryzysie w Ameryce, ale zazwyczaj nie doceniają wcale jego rozmiarów i siły. Amerykańska prasa kapitalistyczna, mając interes w osłabieniu wrażenia wśród szerokiej publiczności, starała się od samego początku zataić niepokojące symptomy, zmniejszyć ich znaczenie oraz przedstawić straszny popłoch na rynku amerykańskim jako krótkotrwałą, bezpodstawną nerwowość, poważne zaś zaburzenie w przemyśle jako chwilową tylko depresję. Ale jeżeli klasy panujące, w obawie przed ogólnym niezadowoleniem ludu, starają się ukryć dowody swej złej gospodarki, — my socjaliści nie mamy przecież ani powodu ani prawa ukrywać cały rozmiar nędzy, w jaką został wtrącony kraj przez bezplanowy, egoistyczny i rujnujący sposób wytwarzania naszych magnatów przemysłu. Uważamy przeto za swój obowiązek przedstawić zagranicznym towarzyszom zgodnie z prawdą położenie naszego kraju; nie kierujemy się przytym krótkowzroczną chęcią osłabienia obcej konkurencji na naszym rynku pracy, lecz poczuciem obowiązku i rzeczywistej solidarności.

Stany Zjednoczone przeżywają obecnie prawidłowy, a może i długotrwały kryzys. Kryzysy nie stanowią w tym kraju zbytku czegoś nowego lub rzadkiego; powracają one z zabójczą pewnością w odstępach czasu od 16—20 lat. Od początku zeszłego wieku jest to nasz szósty kryzys. 1818, 1837, 1857, 1873 i 1893 r. oto daty poprzednich kryzysów,

a wszystkie one zostały spowodowane przez bezplanowość wytwarzania i niesprawiedliwość podziału produktów; i pierwsza i druga prowadzi do nadprodukcji ze strony kapitalistów, a do niedostatecznego spożycia wśród robotników. Każdy z tych kryzysów był poprzedzony przez okres rozkwitu, gorączkowej działalności przemysłowej, kolosalnego rozszerzenia rynków, powstawania nowych gałęzi przemysłu, niezmiernego napięcia kredytu, co wszystkim razem osiągało swój szczyt w olbrzymio wygórowanych cenach towarów, w wysokich czynszach mieszkaniowych i niesumiennej spekulacji. Rozpoczynały się wszystkie kryzysy od popłochów finansowych, po których następowały niezliczone bankructwa, zamykanie fabryk, brak pracy i nędza robotników. Pod tym względem dorównywa kryzys obecny poprzednim. Rozkwit trwał przez szereg lat; wszystkie przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych prowadzono w ostatnim dziesięcioleciu w niebywałych dotychczas rozmiarach. Powstały olbrzymie towarzystwa akcyjne, trusty i kartele i spowodowały nieuniknione obniżenie rzeczywistej wartości akcji. Od r. 1898 do 1907 wyprodukował kraj 3 200 000 000 dolarów złota, o połowę więcej, aniżeli w 150 latach od 1700 do 1850 r.; w r. 1907 istniało nie mniej, niż 14 tysięcy banków z kapitałem depozytowym w wysokości 18 000 000 000 dolarów, które szukały po największej części lokaty w przemyśle. Kopalnie, huty, fabryki i inne przedsiębiorstwa kwitły, poszukiwano robotników wszelkich zawodów, płaca robocza szła w górę. Obok tego nasi kapitaliści ciągle starali się o zdobycie i wyzyskanie nowych rynków zbytu, zapuszczali się w najbardziej karkołomne spekulacje, i wciągali w nie całe stada łatwowernych posiadaczy drobnych kapitałów. Dla gołej spekulacji wybudowano we wszystkich większych miastach tysiące gmachów, cena niezajętej pod uprawę ziemi wzrosła wskutek tego dwa i trzykrotnie, czynsz mieszkaniowy został niesłychanie podniesiony, ceny towarów dosięgły nieznanej przedtym wysokości. Od r. 1896 do 1906, ceny środków żywności wzrosły o 20 %, ceny innych towarów codziennego użytku o 30%. Pieniądzy było poddostatkim, ludzie stawali się bogaczami w przeciągu jednej nocy, miejsce przemysłu i handlu zajęła najdziksza spekulacja i gra na giełdzie. Gdy orgje te dosięgły największego rozpasania, nagle nadszedł, wszystko druzgocąc, nieunikniony krach. Dom z kart, zwany naszym systemem finansowym, runął od pierwszego poddmuchu wiatru. W październiku i listopadzie nastąpiło szturmowanie przez przerażonych wkładników banków stolicy oraz słynnego stowarzyszenia Knickerbocker-Trust'u. Wiele banków w stolicy musiało odmówić wypłaty depozytów, co pociągnęło za sobą zamknięcie wielu banków na prowincji. Na rynku akcyjnym nastąpiła gwałtowna obniżka wszystkich papierów, ale nasze klasy panujące nie chciały tego przyznać i przedstawiały to jako chwilowe zaburzenie na rynku pieniężnym. Nasi Morgan'owie, Rockefeller'owie i inni wielcy finansisci pospieszyli na pomoc swym braciom, znajdującym się w kłopotcie, wypożyczając im swe miliony na wysoki procent, a rząd nasz zawsze dbały o interesy kapitalistów, deponował 60 milionów dolarów w rozmaitych bankach, by je utrzymać nad wodą. „Zaburzenie“ zostało osłabione, oficjalnie ogłoszono koniec paniki.

Mimo tych oficjalnych proklamacji ujawniała się jednak w sposób okrutny ogólna depresja, rozpoczęta przez ową panikę. W r. 1907 zanotowano 10 625 bankructw z 383 000 000 dolarów długu, podczas gdy w r. 1906 było ich tylko 9 385 z 127 milionami długu. Przerwano dalsze powiększanie i udoskonalenie kolei; znaczenie tego faktu można zrozumieć, jeżeli się słyszy, że kosztą tych robót oceniano dla samego New-Yorku i okolicy na 500 milionów dolarów. Równocześnie znacznie się zmniejszyły na wszystkich liniach ruch pasażerski i frachtowy, i tysiące robotników kolejowych straciło w całym kraju pracę. Amerykański trust stalowy ograniczył swą produkcję i wydalil połowę robotników; trust tytoniowy zamknął swe fabryki w zupełności; rzeźnie w Chicago, huty żelazne i szklane pracują tylko połowę czasu lub ze zmniejszonym kontyngentem robotniczym; w przemyśle budowlanym i fabrykach, wyrabiających materiały budowlane, pracują tylko wyjątkowo. Aczkolwiek niestety nie posiadamy chwi-

lowo oficjalnych cyfr o braku pracy, to jednak z oficjalnych sprawozdań wiemy, że w grudniu 1907 r. chodziło bez pracy w stanie New-Yorskim 34²/₀ ogółu robotników, gdy w r. 1906 liczba ich stanowiła tylko 12.8⁰/₀, a w r. 1905 — 6 7⁰/₀.

Z niezupełnych zresztą sprawozdań wiemy, że stała armja bezrobotnych wzrosła przeszło o milion; niektórzy twierdzą, że o półtora miliona. Również i inne oznaki mówią o nędzy robotników: wszak w ostatnich miesiącach opuściło Amerykę więcej jak ćwierć miliona robotników cudzoziemskich, przeważnie Włochów. W styczniu 1908 r. emigracja przewyższała imigrację czterokrotnie, a mimo to położenie pozostałych wcale się nie polepszyło. Instytucje dobroczynne są we wszystkich większych miastach oblegane przez ludzi, proszących o pomoc, pożywienie, ubranie i mieszkanie, a żywiołowe demonstracje bezrobotnych powstają wszędzie. A przytym do końca kryzysu jeszcze daleko. Poprzednie kryzysy trwały w Ameryce 2—5 lat i niema żadnych powodów do przypuszczenia, że obecny szybciej przemienie. Nasze trusty i kartele udowodniły swą niezdolność do regulowania produkcji i zapobiegania przesileniom. Charakterystycznym jest, że najwięcej bezrobotnych znajdujemy w przemyśle stalowym i tytoniowym, gdzie trusty święciły największe tryumfy. Liczba bezrobotnych wynosiła w tych gałęziach w grudniu 1907 r. 82.9⁰/₀ wobec 2.7⁰/₀ w poprzednim roku.

Obecny kryzys w Ameryce, klasycznym kraju trustów i karteli, dowodzi stanowczo, że kryzysy przemysłowe są nierozzerwalnie związane z panowaniem kapitalizmu i że socjalizm jest jedynym środkiem przeciw tym klęskom społecznego społeczeństwa.

Tymczasem będziemy jednak znów musieli przeżyć wszystkie okropności poprzednich kryzysów, lata przymusowego braku pracy i niedostatku, rozpacz, głodu. I znów będzie musiała klasa robotnicza ponieść straszną karę za niesumiennosć i żądze zysku jej panów. Oby robotnicy amerykańscy choć ten mieli pożytek z swych cierpień, by wystąpili nakoniec do walki z zbrodniczą gospodarką kapitalistyczną, by stanęli w bojowych szeregach międzynarodowego ruchu robotniczego!

The International Socialist Review.

W majowym numerze miesięcznego organu amerykańskich socjalistów, wydawanego w Chicago, помещаа Cameron H. King artykuł p. t. „Asiatic Exclusion“, traktujący o niebezpieczeństwie emigracji japońskich robotników do Ameryki. Autor stwierdza fakt, że socjalistyczna partja widzi napływ azjatyckich robotników w innym oświetleniu, niż inne partje robotnicze. Opierając się na materialistycznym pojmowaniu dziejów, stara się udowodnić, że, według wyrażenia Marxa, fizjonomję polityczną i akcję społeczną ludzi jako jednostek i jako klas określają ich interesy materialne i potrzeby ekonomiczne. Zdaniem Marxa każda organizacja jest tym silniejsza — mówi King — im lepiej odpowiada interesom materialnym i potrzebom ekonomicznym ludzi. Dlatego to stało się materialistyczne pojmowanie dziejów główną częścią składową propagandy socjalistycznej; jest ono pochodnią, oświetlającą naszą drogę, przewodnikiem w ciemnościach, byśmy w pogoni za pięknymi lecz zawodnymi ideałami altruistycznego utopizmu nie popadli w bagno niepraktycznych projektów. „Rewolucja socjalna może być dokonana tylko przez zorganizowaną klasę robotniczą, dla której interesy materialne i potrzeby ekonomiczne służą bodźcem do walki. Zadaniem naszym jest skierowanie naszych starań w tym kierunku, by rewolucja ta dokonała się na określonym politycznym i geograficznym obszarze — Stanów Zjednoczonych. Biorąc rzecz z politycznego punktu widzenia, należy stwierdzić, że przychylnosć i poparcie robotników można zyskać tylko przez polepszenie ich położenia ekonomicznego; natomiast ściągają na się ich nieprzyjaźń i nienawiść, jeżeli się przyczynia do obniżenia ich poziomu życiowego (np., przez zgodę na nieograniczoną imigrację Japończyków), lub też, jeżeli się beczynnje przygląda, jak kapitał wysysa robotników. Jeżeli chcemy stworzyć klasowo

uświadomioną polityczną partję robotniczą, to musimy apelować do materialnych interesów robotników, musimy starać się w miarę sił poprawić ich położenie“. I oto stawiamy, jako naukowi socjaliści pytanie: jak odbije się na nas, jako na robotnikach, zabronienie imigracji azjatyckiej?

Autor przeciwstawia następnie próżnemu gadaniu idealistów w szeregach partji socjalistycznej o naszych obowiązkach wobec robotników japońskich, o braterstwie i międzynarodowości swe osobiste doświadczenia, według których temi szlachetnemi uczuciami ożywieni są tylko inteligenci i drobni kupcy. Mogą sobie oni tymbardziej pozwolić na ten zbytek, gdyż bytowo ich nie zagraża imigracja japońska. Inaczej jednak ma się rzecz z zorganizowanymi i niezorganizowanymi niewykwalifikowanymi robotnikami. Dla nich zgoda na tę intensywne konkurencję, która opiera się na niskim poziomie potrzeb robotników japońskich, oznaczałaby złożenie ofiary na ołtarzu ideałów międzynarodowych i jeszcze większą niż dotychczas nędzę ich żon i dzieci.

King wykazuje na podstawie cyfr, jak niskim jest poziom potrzeb życiowych Japończyków i jak groźną dlatego ich konkurencja na rynku pracy. Z Biuletynu Biura Pracy Nr. 66 podaje on następującą statystykę z Hawaj, gdzie dotychczas imigracja Japończyków była nieograniczoną. Tamtejsi kapitalistyczni plantatorzy oświadczyli, że praca białych jest za drogą i że nie można się na nią spuścić. Dla zyskowego prowadzenia przedsiębiorstwa potrzeba im — mówili — sił nie tylko tanich, ale potulnych i pozwalających sobą kierować. Wówczas, w r. 1884 rozpoczęła się imigracja Japończyków, których z początku przybyło 116 osób; przedtem pracowali tu tylko tubylcy, biali i Chińczycy. W r. 1900 pracowało tam już 56 000 Japończyków, obecnie może 60 000. Położenie ich dorównywa prawie niewolnictwu; za jakie zaś płace pracują, okazuje to następująca tabela, z której dla braku miejsca wyjmujemy tylko kilka cyfr. Dzienna płaca wynosiła w dolarach dla

	kowali	cieśli	wyrobników		
Amerykanów . . .	4,13	Amerykanów . . .	4,00	Amerykanów . . .	1,12
Szkotów	4,25	Portugalczyków .	2,41	Chińczyków . . .	0,81
Portugalczyków .	2,97	Hawajczyków . .	1,60	Japończyków . . .	0,78
Hawajczyków . . .	1,83	Chińczyków . . .	1,49		
Japończyków . . .	1,54	Japończyków . . .	1,37		

Amerykaninowi potrzeba na Hawaj na utrzymanie miesięcznie 40 dolarów, Portugalczyk może z biedą wyżyć za 15—20 dol., Japończyk, dostając jako zapłatę 10 dol., robi jeszcze oszczędności! Międzynarodowemu kongresowi było łatwo oświadczyć, „że aczkolwiek jest obowiązkiem zorganizowanych robotników bronić się przeciw obniżaniu ich poziomu życiowego przez masowy dowóz robotników niezorganizowanych, ale że kongres nie poczytuje wykluczenia niżej stojących ras za odpowiedni środek do rozwiązania tej trudnej kwestji“. Ale my z nad brzegów oceanu Spokojnego — powiada King — wiemy, że wykluczenie jest skutecznym rozwiązaniem kwestji. Gdy w siódmym dziesięcioleciu zeszłego wieku powstała kwestja imigracji Chińczyków, wówczas to podniosła się właśnie partja robotnicza i z okrzykiem: „Precz z Chińczykami!“ wypędziła ich z kraju. Obiedwie stare partje: republikańska i demokratyczna, które początkowo nie poznały niebezpieczeństwa sytuacji, zrozumiały wkrótce, że jeżeli chcą zdobyć głosy robotników, to również muszą oświadczyć się za wykluczeniem Azjatów. W ten sposób zaoszczędzono północy inwazję kulisów i ów społeczno-rasowy problemat robotniczy, który obecnie porusza południe.

King zwalcza następnie argument „mądrych ekonomistów“, którzy twierdzą, że z tym samym prawem co przeciw przywozowi japońskich robotników można występować również przeciw przywozowi japońskich towarów. Czymś zupełnie odmiennym — powiada — jest, gdy konkurują ze sobą japońscy i amerykańscy kapitaliści, aniżeli gdy przybywa horda japońskich łamistrejków, by wyrwać z ust robotnika amerykańskiego kąsek chleba. Nie zauważa przytym wcale, że masowy import tanich towa-

rów przynosi również z konieczności szkodę robotnikom, obniżając ich płace i t. d. Ale nie przeszkadzajmy naszemu autorowi. Faktów tych — pisze dalej — nie można pominąć milczeniem lub im zaprzeczyć, choćby się nie wiem jak głosiło potrzebę świadomości klasowej i międzynarodowości. Warunki materialne znajdują się w zbyt jaskrawym przeciwieństwie do tych idealnych frazesów. Odpowiedź robotników na te wszystkie niepraktyczne rady jest przeto jasna i niedwuznaczna: robotnicy wszystkich organizacji amerykańskich jednogłośnie oświadczyli się za wykluczeniem pracy azjatyckiej.

Dalej autor napada w zajadły sposób na socjalistów własnego kraju, którzy wystąpili przeciw tym oświadczeniom i zwraca się ostro przeciw rezolucji Kongresu sztudgardzkiego. Zarzuca jej sprzeczności i powiada, że jest ona odzwierciedleniem całego idealistycznego chaosu tego zgromadzenia, które nie rozumiało wcale interesów materialnych, lecz sądziło w sposób czysto akademicki. „Gdyby chodziło o dobrobyt materialny francuskiego lub niemieckiego proletariatu, wówczas Jaurès i Bebel bez wątplenia mówiliby inaczej“. Amerykańscy zaś uczestnicy kongresu znają lepiej stosunki europejskie, niż część Stanów Zjednoczonych, leżącą na zachód od New-Yorku. Robotnicy amerykańscy mieli złe przedstawicielstwo, nie mieli ani jednego przedstawiciela, któryby był z zachodu i rzeczywiście znał imigrację azjatycką. Charakterystycznym jest, że właśnie Południowa Afryka, Australia i Ameryka, owe trzy kraje, do których emigrują Japończycy, zwracają się przeciw temu. Socjaliści amerykańscy, którzy przekonania swoje sprowadzają całkiem gotowe z Europy, nie są w stanie — rzecz naturalna — zastosować fundamentalnych zasad socjalizmu do naszych warunków lokalnych i dlatego zależni są od orzeczeń naszych towarzyszy europejskich, którzy dobrze nam życzą, ale nie wiedzieli, o co chodzi. Szczególnie ostro załatwia się King z tow. Boudinem, któremu zarzuca, że występuje za dopuszczeniem Japończyków dlatego tylko, iż nie mogą oni zdobyć obywatelstwa i zostać adwokatami, a więc nie zagrażają wcale adwokackim dochodom. Ponieważ interesy materialne tow. Boudina nie są dotknięte, przeto może on puścić wodze swej naturalnej skłonności do idealizmu, którą upaja się w najbujniejszych spekulacjach akademickich. Coprawda, King jest przytym na tyle szlachetny, że przyznaje tow. Boudinowi okoliczności łagodzące; uznaje, mianowicie, że ponieważ Boudin należy sam do rasy prześladowanej i znienawidzonej (jest Żydem rosyjskim, naturalizowanym w Ameryce), to dusza jego oburza się na myśl o wykluczeniu jakiegokolwiek rasy. To jednak nie daje Boudinowi prawa do wpływania w tym duchu na politykę partii amerykańskiej, gdyż ani on ani Międzynarodówka nie są logiczni, gdy oświadcza, że wykluczenie sprzeciwia się zasadom solidarności proletariatu“. Międzynarodowa solidarność nie oznacza przecież międzynarodowej konkurencji i absurdem jest zamieniać hasło: „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!“ w okrzyk bojowy: „proletariusze wszystkich krajów, konkurujcie z sobą!“

Nakoniec staje się King sentymentalnym i zastanawia się nad tym, jak niesumiennym byłoby pozbawienie Japonii najlepszej i najodważniejszej części jej proletariatu (czytaj powyżej o hordzie łamistrejkw). Gdyby ludzie ci zostali w swej ojczyźnie, to poświęciliby swe siły organizowaniu związków zawodowych i stworzeniu partii socjalistycznej, gdyż zmusiłaby ich do tego konieczność. Nie możemy przeto oddać Japończykom lepszej usługi, jak odbierając im prawo emigracji do Ameryki, gdyż znikłby u nich impuls rewolucyjny, gdyby znajdowali gdzieindziej lepsze warunki życia i pracy, niż w domu. Niechaj prowadzą własną walkę o socjalizm i pozwolą Amerykanom w spokoju dokonać u siebie rewolucji socjalnej. Wypowiedziawszy jeszcze kilka podobnie budujących poglądów, kończy King oświadczeniem, że musimy tak długo powstrzymać się z uczuciem braterstwa dla Japończyków, aż nie będziemy więcej zmuszeni uważać ich za bandę obcych, brudnych przybłędów, którzy wzbudzają w nas tylko uczucie wrogości.

Z powyższych prób wyrobili sobie czytelnicy prawdopodobnie do-

stateczne pojęcie o światopoglądzie tego „realnego polityka“, który występuje tak, jakby obecna sytuacja w Ameryce była czymś nowym, czego historia dotychczas nie widziała. Ale „nic nowego pod słońcem“: jak dziś Japończycy „zagrożają“ Ameryce, podobnie w czwartym dziesięcioleciu zeszłego wieku Anglii „zagrożali“ Irlandczycy i inne narody o niskim poziomie potrzeb, podobnie „zagrożają“ obecnie Niemcom Polacy, Włosi, Kroaci i t. d. W jaki jednak sposób usiłowano załatwić się w Anglii z temi „hordami“? Nie przez zamknięcie granic — nie; powstająca w latach 60-tych Międzynarodówka pouczała robotników angielskich, by starali się o udoskonalenie ustawodawstwa, o wciągnięcie do organizacji żywiołów niżej stojących, o uświadomienie ich, aby dążyli do polepszenia swych warunków pracy. Z temi samemi argumentami, z którymi zwraca się dziś przeciw Japończykom, wystąpi King jutro przeciw nieograniczonemu napływowi Włochów, Słowaków, Węgrów, Żydów rosyjskich. Wszyscy oni są w stosunku do krajowych mas robotniczych łamistojkami, wszyscy obniżają płacę i poziom życiowy. Gdzież pozostają wobec tak ważkiego szowinizmu elementarne żądania socjalizmu, żądanie międzynarodowej solidarności? A czy nie sądzi taki King, że z czasem dadzą się poprawić stosunki ekonomiczne i dla Japończyków, jak się to już stało dla wielu równie „nizko stojących“ ras i narodowości? Chwilowemi sukcesami nie można wprawdzie na tej drodze obdarzać masy robotniczych wyborców; rozwiązanie tego bez wątpienia trudnego problemu w duchu socjalistycznym zawiera moc długotrwałej, wyteżonej i ofiarnej pracy. A przytym liczenie na współpracownictwo ludzi w rodzaju Kinga i podobnych jemu byłoby napewno daremną nadzieją: wszak mimowoli musimy sobie zadać pytanie, jak może przywłaszczać sobie nazwisko socjaldemokraty człowiek, który w tym artykule przedstawia nam kartę dań, zawierającą wszystko, co w ustach naszych wrogów z burżuazji wydaje się nam godnym pogardy: nienawiść rasową, antysemityzm, obłudę, demagogję najgorszego rodzaju, a to wszystko w parze z krótkowzroczną ograniczonością, zarówno w praktycznym jak i teoretycznym względzie.

Uważaliśmy za ważne zapoznać polskich towarzyszy z tym dokumentem „praktycznego“ Amerykanina, gdyż wskazuje on wyraźnie, jak myśli znaczna część robotników amerykańskich i jak wielką jest trudność utworzenia w tym kraju ideom międzynarodowego socjalizmu drogi do zwycięstwa.

Le Mouvement Socialiste.

„Le Mouvement Socialiste“, organ syndykalistów francuskich, ogłasza bardzo ciekawą ankietę o „kryzysie w fachowym kształceniu uczniów“. Tymczasem wygłosiło zdanie w tej sprawie siedmiu bardzo powołanych do tego ludzi: Paweł Delesalle, mechanik, 2-gi sekretarz Giełdy Pracy; H. Dret, szewc, sekretarz nacionalnego (national) związku robotników przemysłu skórzanego; Leon Martin, garncarz, sekretarz stowarzyszenia garncarzy w Paryżu; Raoul Lenoir, former, sekretarz związku giserów; A. Lauche, mechanik, członek kooperatywy mechaników; A. Merrheim, metalowiec, sekretarz Federacji metalowców; A. Luquet, sekretarz związku kooperatyw fryzjerskich.

Mechanik Delesalle wykpiwa ogólne skargi na brak dobrych robotników i na panowanie w całym kraju kryzysu w sprawie uczniów. Millerand i Dubief, byli ministrowie, wtórują tym skargom i udowadniają przez to, jak małe mają pojęcie o rzeczy. Millerand zali się, „że żaden robotnik nie umie już wykonać całej rzeczy“. Prawda, p. Millerand, dzieje się tak z tego prostego powodu, że powyższa umiejętność nie przydałaby się im na nic, ponieważ przemysłowi coraz więcej potrzeba dobrych specjalistów dla poszczególnych operacji i ponieważ przedsiębiorca zwraca obecnie o wiele więcej uwagi na ilość, niż na jakość pracy. Ongiś musiał mechanik znać się nieco na kowalstwie, nieco na tokarstwie, oraz na innych rodzajach prac metalowca, obecnie musi znać tylko jedną z nich. Przedmiot, który przedtym kuto na kowadle, wyrabia obecnie prasa dzie sięć, sto razy szybciej, niż niegdyś młot. Podobnie ma się sprawa we wszyst-

kich gałęziach rzemiosła, gdyż tak chce rozwój maszyny i podział pracy, nad którymi wolno płakać, ale które mimo to są postępem. P. Millerand nie rozumie więc tendencji produkcji współczesnej, gdy utyskiwa, że „żaden robotnik nie umie już wykonać całej rzeczy“. A ponieważ zmieniły się warunki pracy, przeto nie mają też racji ludzie, żalący się, że wogóle już niema dobrych robotników, że sprawność zawodowa zanika. Delesalle przeczy temu nie tylko w stosunku do Francji, lecz także w stosunku do wszystkich innych krajów.

Obecnie — mówi on — żądają od robotnika wszędzie czego innego, niż dawniej. Dawny robotnik, umiejący wszystko, grałby obecnie wobec nowoczesnych warunków produkcji dziwną rolę. Ta bowiem produkcja wymaga czegoś wprost przeciwnego, niż dawniej, mianowicie jak najdalej idącej specjalizacji pracy. Na tym punkcie godzą się zresztą wszystkie sądy, podobnie jak co do faktu, że maszyna zabija w robotniku dawną miłość do własnego wytworu. „Zapytajcie tokarza, który czuwa nad kilkoma maszynami, czy może posiadać zamiłowanie do swej pracy, czy ma czas, by ją wykańczać, zastanawiać się nad nią, myśleć o niej“. „Muszę wytwarzać“ — odpowie, i wytwarza, jak się da.

Przeciw twierdzeniu, jakoby terazniejsi robotnicy ztratili sprawność, występuje bardzo stanowczo szwec Dret. Zapewnia, że współczesne obuwie, o ile, rzecz prosta, nie jest wytworem maszyny, lecz pracy ręcznej, stanowi arcydzieło sprawności robotniczej i przewyższa pod tym względem o wiele wytwór dawnego robotnika. Liczba uczniów zmniejsza się w rzemiośle szewskim, ponieważ maszyna usuwa pracę ręczną i ponieważ wymagania w stosunku do robotnika ręcznego tak wzrosły, że musi wiele lat uczyć się, zanim potrafi wyrobić coś wykończonego. Rodzice ucznia musieliby ponosić w tym celu ogromne ofiary w czasie i pieniądzu, — zwłaszcza, gdyby jeszcze posiadali ambicję uczynienia swych synów samodzielnymi majstrami. Wielu z nich woli przeto posłać swe dzieci do fabryki, skąd szybciej mogą przynieść do domu zarobek i gdzie młody robotnik w przeciągu kilku dni może wyuczyć się rękoczynów, które ciągle musi wykonywać. „Nie świadczy to wcale przeciw dobroci wyrobów współczesnej fabryki — mówi Dret — jeżeli monsieur Dubief powiada z wyrzutem, że z 12000 robotników fabryk obuwia we Fougères nie posiada zapewne ani jeden kunsztu samodzielnego wytworzenia całego buta“. Cóż bowiem powie były pan minister na to, że wielu wykwalifikowanych robotników i to najbardziej sprawnych, chodzi corocznie podczas sezonu z przymusu bez pracy? Rzadko kiedy otrzymują oni zapłatę za cały tydzień, a podczas martwego sezonu muszą poprostu cierpieć głód. Tymczasem nawet zmniejszona liczba uczniów zwiększa co roku tę rzeszę bezrobotnych, daremnie szukających pracy ręcznej. Większą nadto liczbę uczniów poszukują i zatrudniają obecnie tylko drobni majstrowie, posiadający przedsiębiorstwa karłowate. Jak tam wygląda nauka zawodowa, nie potrzeba chyba opisywać.

Mechanik Lauche opowiada, że w centrach produkcji mechanicznej — w Belleville, Ménilmontant, Courbevoie i t. d. znajduje się masa małych warsztatów, wytwarzających dla wielkich przemysłowców, w których 15 zatrudnionych osób jest 10 lub 12 uczniów. Jasnym jest, że majster lub robotnik dozoruujący ich, nie może swym 3 lub 4 „wychowankom“ udzielać gruntownych wskazówek, lecz że uczą ich poszczególne rękoczynów i starają się wycisnąć z nich jaknajwięcej pracy. Gdy chłopcy ci osiągną 16-go lub 17-go roku życia i czas „nauki“ się skończył, żądają, rzecz zrozumiała, odpowiedniej zapłaty; w odpowiedzi na to wyrzuca ich majster zazwyczaj na bruk, a miejsca ich zajmują inni chłopcy, którzy dopiero co skończyli ludową szkołę. Sprawa ta ma dziś prawie taki sam przebieg, jaki opisał swego czasu Marx („Kapitał“, t. I, str. 511, 2-ie wyd.); obowiązkowa szkoła ludowa wprowadziła tu tylko drobną zmianę, dotyczącą poprzedniego ogólnego wykształcenia uczniów.

W tym miejscu posłuchajmy zdania innego uczestnika ankiety, gisera Raoula Lenoir'a. Chce on zabrać się do korzenia złego i zrewolucjonizować całe wykształcenie szkolne. Wprawdzie zdaje sobie sprawę

z trudności dokonania takiego przewrotu, „ale — powiada — wszak szkoła ludowa w dzisiejszej formie wykazała, że nie odpowiada potrzebom życia nowoczesnego. Dziecko, kończące w 13-ym roku życia szkołę, nie może wcale zrozumieć nawet w przybliżeniu złożonych wymagań życia przemysłowego. Czyżby nie należało poświęcić jeszcze dwóch lat teoretycznemu i praktycznemu zaznajomieniu go z produkcją, techniką, krótko mówiąc, wszystkimi naukami, które dotyczą przyszłego życia robotnika. W ten sposób wyrobiłby sobie przyszły robotnik pojęcie o całokształcie rozmaitych form pracy, o złożoności życia materialnego, o trudnościach i wielkich problematach wytwarzania. Jeżeli rząd może wymagać, by 20-letniego młodzieńca wrywano brutalnie na 2 lata z pracy zawodowej, to my możemy żądać, by dziecku robotniczemu, wstępującemu w pełne mozołu i wysiłku życie, nie skąpiono na przygotowanie do jego życiowego zadania dwóch lat, któreby go podniosły duchowo na korzyść całej ludzkości“.

Następnie ci rzeczoznawcy prawie jednogłośnie osadzają szkoły rządowe, chociaż monsieur Millerand uważa obowiązkową naukę zawodową za środek przeciw kryzysowi w sprawie uczniów. Delesalle podnosi, że byli uczniowie tych szkół rzadko kiedy mogą uczynić zadość stawianym im wymaganiom. Prawie nigdy nie mogą dostarczyć żądanej ilości pracy. Dyrektorowie obu zawodowych szkół w Paryżu — miejskiej szkoły im. Diderota i kongregacyjnej św. Mikołaja, przyznali, że 40—60 procent ich wychowanków nie pracuje w rzemiośle, którego się u nich nauczyli. Delesalle przytacza jeszcze wiele przykładów, by udowodnić, że udzielanie nauki zawodowej należy uważać za przedsięwzięcie chybione i że kiepsko przysługuje się względem młodzieży ten, kto ją posyła do tych zakładów, aczkolwiek Millerand staje w ich obronie.

Jak jednak rozwiązać to zadanie? Tylko w fabryce, w warsztacie, na placu budowlanym, w dokach — krótko mówiąc, na gruncie społecznej produkcji może dzisiejszy uczeń, a jutrzejszy robotnik, wyuczyć się rzemiosła, w którym chce pracować, by dziś zarabiać sobie na chleb, a w przyszłości wypełnić swój obowiązek pracy wobec ogółu. Dlatego też winny związki zawodowe występować w jego obronie; nie wolno im ani na chwilę zapomnieć, że to ich przyszły towarzysz, którego w ten sposób zyskują dla organizacji. Winny to czynić tym bardziej, że w ten sposób usuwają z pod nóg grunt naszym wrogom, że zmniejszają potęgę państwa i przyczyniają się do rozwoju dzisiejszego młodego ucznia na zorganizowanego robotnika, późniejszego rewolucjonistę, który w przyszłości tym skuteczniej będzie mógł użyć swe siły do walki o przemianę dzisiejszego społeczeństwa, im silniejszą oporę znajdzie obecnie w swym związku zawodowym.

W kwestji, co mają czynić w tej sprawie związki, panuje między wymienionymi towarzyszami różnica zdania, ale wszyscy zgadzają się, że związki winny się nią zająć. Zdaniem tow. Dreta, związki zawodowe powinny skierować wszystkie swe siły na walkę o skrócenie czasu pracy, uregulowanie produkcji i stworzenie prawdziwie wolnej organizacji, która położyła tamę kapitalistycznej żądzy zysku. Tow. Martin żąda, by w tych nielicznych zawodach, w których istnieją jeszcze rzeczywiści uczniowie, kontrakty uczniów były stanowczo formułowane przez odnośny związek zawodowy. Nie ludzi się on co do trudności, jakie przytym powstaną z jednej strony dzięki karygodnej objętności lub nawet nieprzyjaźni wielu robotników ku związkom zawodowym, a z drugiej strony — z oporu fabrykantów przeciw kontroli związków zawodowych. Mimo to muszą trudności zostać przezwyciężone, a gdy się to stanie, wówczas związek zawodowy będzie ochroną ucznia; ten zaś przyzwyczajony się powoli do związku, nauczy się widzieć w nim swego nauczyciela w sprawach społecznych, wychowującego go na sumiennego stanowczego i ofiarnego człowieka.

Ale również uczeń, który ukończył naukę, nie może się obejść bez opieki ze strony swego związku zawodowego. Wszędzie, gdzie istnieje instytucja uczniów, panuje też tendencja do opłacania tych, co dopiero co skończyli naukę, gorzej, niż ich praca zasługuje. Jest to niejako prze-

dłużeniem czasu nauki. Jakżeby dobrze było, gdyby związek wykonywał tu kontrolę! W tym samym duchu pisze tow. Lenoir. Tow. Lauche zaznacza, że cała sprawa jest dla kapitalistów, mimo ich krzyki, podrzędna; idzie im w gruncie rzeczy o niebezpieczeństwo prawnego skrócenia czasu pracy, zniesienia płacy akordowej, a przede wszystkim o rozwój popo- tęgi związków zawodowych. „Tylko silne i potężne związki zawodowe mogą — pisze on — uregulować kwestję uczniów i zorganizować pracę we wszystkich jej formach“.

Te same wzmianki o oporze fabrykantów przeciw prawnemu uregulowaniu czasu pracy spotykamy też we wszystkich innych odpowiedziach ankiety. Wszyscy jej uczestnicy zgadzają się, że jest częzą wymówką ze strony kapitalistów, gdy twierdzą, iż prawo z 30 marca 1900 r. zadało cios ostateczny instytucji ucznió w¹⁾.

Fabrykanci zemścili się nasamprzód na prawodawcach: wypędzali oni dzieci z fabryk, mówiąc ojcom, którzy prosili o przyjęcie dzieci napowrót: „Domagajcie się pracy u tych, którzy uchwalili 10-godzinny dzień roboczy i żądają ścisłego wykonania swego prawa“. Następnie, nie mogąc się pozbyć apetytu do delikatniejszego mięsa dziecięcego, starali się obejść prawo przez zaprowadzenie t. zw. „cloisons“, t. j. zamkniętych lokalów, w których zatrudniali samych młodocianych robotników. W ten sposób osiągnęli podwójny cel: odosobniali chłopców od znienawidzonych uświadamiaczy i mogli przytym resztę robotników dalej wyzyskiwać ponad 10 godzin, ile tylko dusza zapagnie. Za daleko zaprowadziłoby przytaczanie tu innych przykładów mściwości przedsiębiorców, którzy walkę swą prowadzą tymbardziej zacięcie, iż związki zawodowe koncentrują swe wysiłki na skróceniu czasu pracy, oraz iż istnieje już projekt prawa o 10-godzinnym dniu roboczym dla wszystkich robotników. Wiele izb handlowych oświadczyło się już przeciw rozszerzeniu prawa z 30 marca 1900 r. Pod wpływem „Komitetu hutników francuskich“ zainteresowane izby handlowe ogłosiły protesty, w których dowodzą — zresztą nie bez słuszności z ich stanowiska — że prawo z 1900 r. oznacza dla nich zaprowadzenie 8-godzinnego dnia roboczego z trzema szychkami. Izba handlowa w Sedanie wydała w tym duchu typowe oświadczenie, gdzie po długim przedstawieniu względów, przemawiających przeciw przyjęciu nowego projektu prawnego, wypowiedziała życzenie, by dla odlewni stali z jednym piecem systemu Martina zgóry były zrobione ograniczenia i wyjątki. Klasa robotnicza nie powinna jednak pójść na lep jeremjad kapitalistów i ich obrońców dziennikarskich. Wszystkie ich westchnienia i żale z powodu upadku instytucji uczniów mają zazwyczaj jako podkład walkę przeciw skróceniu pracy oraz chęć unicestwienia tego, co zostało już osiągnięte przez robotników. Ludzie ci nie znają proletariatu, a tym mniej rozumieją jego boleści, jego nędzę i cierpienia; dlatego nie widzą też, że przez jego napór przygotowuje się przemiana, która ma dać nowe życie staremu społeczeństwu.

Ludwika Kautska

Sozialistische Monatshefte zeszyt II.

Max Schippel: Wybory do sejmu i partje w Prusiech. - Autor, jeden z filarów rewizjonizmu, robi kwaśną minę wobec sytuacji przedwyborczej w Prusiech. Nie widzi on konieczności bezwzględnej walki z burżuazją, jako „jedną reakcyjną masą“, a chciałby koniecznie znaleźć w jej szeregach sprzymierzeńców dla proletariatu. Optymista oportunistu nie chce patrzeć w życie, by nie ujrzeć nieprzyjemnej dla siebie rzeczy — zupełnego bankrutstwa liberalizmu burżuazyjnego, które oznacza również zupełne bankrutstwo taktyki, zalecanej przez rewizjonistów.

¹⁾ Prawo to zaprowadza 10-godzinny dzień roboczy we wszystkich przedsiębiorstwach, zatrudniających wspólnie dorosłych mężczyzn, kobiety i młodocianych robotników. Przedsiębiorcy francuscy prześcigają się wzajemnie w wyszukiwaniu środków obejścia tego prawa i nie ustają dobijać się o jego zniesienie.

Edward Bernstein: Polityka klasowa i polityka uczniowa. — Zupełnie ta sama połowiczność oraz chwiejność charakteryzuje i ten artykuł. Bernstein widzi wprawdzie, że niemiecki „Freisinn“ nie istnieje, że „blok“ partii wolnomyślnych z konserwatystami i partją narodowych liberałów w parlamencie Rzeszy ma przedewszystkim na celu zwalczanie Socjaldemokracji i że liberalizm świadomie macza ręce w tej nędznej polityce, rezygnując nawet z cienia opozycyjności względem rządu, a jednak wniosek z tego wyprowadza oportunistyczny. Jego zdaniem bądź co bądź należy przy wyborach do sejmu pruskiego bodaj popierać „wolnomyślnego“, aniżeli konserwatystę: jeżeli już nie można popierać partji jako całości, to przynajmniej należy wybierać jednostki.

Bernsteinowi chodzi o garstkę opozycji liberalnej z Barthem na czele, która wystąpiła z szeregow podlego „Freisinn“u“. Zapomina on jednak o tym, że grupa ta, pozbawiona wpływu, mogłaby wzrastać jedynie kosztem Socjaldemokracji, nie dając jej nic w zamian. Zresztą rezultat wyborów dał jak najlepszą odpowiedź zarówno Bernsteinowi, jak i Schippłowi, wykazując wraz z nicością liberalizmu niemieckiego słuszność starej zasady, że klasa robotnicza o własnych siłach najlepiej osiąga zwycięstwa.

am.

„Myśl Socjalistyczna“.

„M. S.“ Nr 2 (7) za kwiecień-maj poświęca nam swoją życzliwą uwagę coś w czterech czy pięciu miejscach. Wszedłszy w smak „rewizji“ programowych i zrewidowawszy siebie samą od czuba do pięty, PPS., skleciwszy sobie na swym X zjeździe „program“ z różnych artykułów w naszej prasie, próbuje teraz z kolei wykazać samodzielność umysłową i w tym celu „zrewidować“ jeden przynajmniej kącik programowy Socjaldemokracji. Oto postulat autonomji w naszym programie jest powodem zgrzyot P. P. S. i jej organ wystąpił nawet ze specjalnym artykułem, dowodzącym nam siłą przygnębiających rzeczy. Dowodzi, że „legiendą“ jest, jakoby S. D. K. P. i L. od początku swego istnienia uznawała program autonomji, że do r. 1900 wogóle programu takiego nie mieliśmy, a o ile był, był to program „typu ziemstw i samorządu lokalnego“, była to lada jaka autonomja, pojmowana tylko jako „naturalna część składowa najszerszej demokratyzacji“, nie zaś jako porządna autonomja narodowa, jak jej żąda np., P. P. S. Kiedy zaś w okresie rewolucyjnym mocniej postulat ten zaakcentowaliśmy, to i tu wyraził się „chaos idejowy“. „Czerwony Sztandar“ polemizował z Kolem Polskim i denuncjował jego „szeroką autonomję“ jako przykrywkę reakcyjnych zakus polskich wyzyskiwaczy, broniąc „wąskiej autonomji, jako isticie demokratycznej“, a i inne nasze wydawnictwa te tylko ideje rozwijały, bijąc na to, że idea autonomji, to „przeciwnieństwo Niepodległości“, natomiast nie zajmując się dotąd nigdzie obszernym wyluszczeniem postulatów ani też jego uzasadnieniem. „Myśl Soc.“ umie nawet objaśnić przyczyny tak karygodnego postępowania z naszej strony. „Kwestja narodowa“, powiada, a zwłaszcza program autonomji były stale i, że tak powiemy, z a s a d n i c z o zaniedbywane w literaturze S. D. K. P. i L. „Jest to całkiem naturalne“. Przez lat dwanaście przed rewolucją „najważniejszą, jeśli nie jedyną troską ideową teoretyków S. D. K. P. i L. była walka z hasłem Niepodległości Polski“, a w okresie rewolucyjnym „wszystkie wysiłki S. D. K. P. i L. były skierowane przeciwko hasłu warszawskiej konstytuandy“, jak nieco później przeciw hasłu federacji. Organ myślicieli ppsowskich kończy, klepiąc nas po ramieniu z poważnym ojcowskim napomnieniem: „Programowi autonomicznemu S. D. K. P. i L. brak wyraźnego sformułowania, brak przedewszystkim realnego, konkretnego umotywowania. Jedyne takie umotywywanie, powiązanie go zarówno z żywotnymi interesami proletariatu, jak z ujawnionymi tendencjami rozwojowymi całego kraju, może położyć kres zobrazowanemu przez nas chaosowi idejowemu, panującemu dotychczas w tej sprawie wśród jej zwolenników“.

Już to trzeba przyznać, że myśliciele P. P. S. do rewizji programowych nie mają szczęśliwej ręki. Wybrawszy się do zrewidowania na-

szych braków programowych, wykazali tylko niechęć i przy tej okazji, jaki bigos z różnorodnych poglądów panuje w ich własnych głowach po dziś dzień, taksamo jak przed dziesięciu laty. Prosimy naszych krytyków o uwagę: postaramy się w kilku słowach wyjaśnić im rzecz. Odrębne, szczegółowe („konkretne“) sformułowanie i uzasadnienie postulatu autonomji dla Polski mogło być potrzebnym i niezbędnym przed rewolucją tylko dla partji, któraby stawiała postulat ten na gruncie „odrębnym“ t. j. nacjonalistycznym. Dla partji zaś, która stała na gruncie rozwoju historycznego i interesów klasowych proletarjatu, wiodących zgodnie ku demokratyzowaniu całego państwa rosyjskiego drogą zjednoczenia akcji klasowej całego proletarjatu, autonomja Polski mogła być, była i pozostała tylko szczegółem i wynikiem ogólnopañstwowej rewolucji, obalającej absolutyzm rosyjski. Wdrożenie tej zasadniczej idei w umysły proletarjatu polskiego było głównym zadaniem partji socjaldemokratycznej, zadaniem w dwójnasób ważnym wobec tego, że umysły proletarjatu polskiego były deprawowane systematycznie przez propagandę nacjonalistyczną P. P. S. Zadaniem partji klasowej proletarjatu było jak najsilniejsze przeciwstawienie tej idei utopjom socjalpatryjotycznym, aby świadoma część robotników pojmowała autonomję nie jako skapcaniały nacjonalizm, lub tchórzliwą zaliczkę na odbudowanie Polski, tylko jako część wolności politycznej, wyrastającej z wprost odwrotnego procesu rozwojowego, i przeto jako kwestję drugorzędną, przesadzoną przez główną: walkę wspólną z proletarjatem rosyjskim o obalenie absolutyzmu. Czy myśliciele P. P. S. rozumieją, że zarzucając nam ograniczanie kwestji autonomji przez cały czas naszego istnienia aż do wybuchu rewolucji do powyższych idei wytycznych czynią nam zarzut, iż ograniczaliśmy się do stanowiska socjaldemokratycznego zamiast stać np., na stanowisku zbankrutowanych socjalpatryjotów?

Dalej: gdy wybuchła rewolucja, wraz z rozpoczętą likwidacją absolutyzmu, jako szczegół jej – zupełnie zgodnie ze stanowiskiem Socjaldemokracji – stanęła na porządku dziennym kwestja autonomji. Dla partji naszej powstało zadanie szczegółowszego rozwinięcia swego stanowiska pod tym względem. Nie w tym sensie, jak ta potrzeba wynikała dla P. P. S., to jest potym, jak rzeczywistość wyrzuciła piętnastoletnie istnienie i stanowisko tej partji do góry nogami, aby rozpocząć całkiem „z innej beczki“, tylko w tym sensie, jak każda partja socjaldemokratyczna, opierająca się na gruncie rozwoju historycznego, rozwijać musi swą politykę, w miarę jak bieg wypadków, dając rację jej polityce zasadniczej, wysuwa przed nią coraz szczegółowsze żądania praktyczne, w tym sensie, w jakim np., i nasza partja i rosyjska Socjaldemokracja, która dawniej propagowała ogólnikowy program „konstytucji demokratycznej“, wysunęła przy rozpoczęciu się szerokiego ruchu masowego, w przeddzień epoki rewolucyjnej, żądanie republiki. Zadaniem Socjaldemokracji w kraju naszym stało się wyświetlenie szczegółowsze postulatu autonomji, nie dlatego, aby partji naszej nie zbrakło czasem przy ogólnych zapustach „autonomicznych“ całego „społeczeństwa“, tylko przeciwnie, aby odgrodzić natychmiast obóz klasowy proletarjatu od zalewającej go fali autonomicznej, pod którą przemycane są interesy burżuazyjne. Dlatego partja nasza wykazywała, że pod płaszczykiem „najszerzej autonomji“, jakoteż „autonomji-federacji“, kryją się interesy wyzyskiwaczy polskich, brnione świadomie przez Koło Polskie i nieświadomie przez obłądny socjalpatryjotyzm, i że przeciwstawić tej „najszerzej“ autonomji należy interesy proletarjatu, wymagające tylko zupełnie określonych swobód autonomicznych, gwarantujących życie kulturalno-narodowe kraju. Czy myśliciele z P. P. S. domyślają się, że, zarzucając nam zjadliwie polemizowanie z „szeroką autonomją“ Koła Polskiego oraz z programem federacji, który sama P. P. S. porzucić musiała, czynią nam zarzuty, iż staliśmy na stanowisku klasowym proletarjatu, dając mu wytyczną linię do odgrodzenia się od jego wrogów burżuazyjnych? Przypuszczamy, że się ani tego domyślają, ani też innej rzeczy: iż znaleźliby się w pewnym kłopotcie, gdybyśmy ich zapytali, skądże to P. P. S. wzięła swoje „realne, konkretne umotywowanie“

postulatu autonomicznego? Oto, zróżnowawszy, musieliby przyznać, że je, wraz z kawałem „osławionego“ organicznego wcielenia... spisali z programu Socjaldemokracji. Powyższa „krytyka“ naszego stanowiska zdradza tylko znowu naiwnie, jak dalece spisany ten program jest martwą literą i pasuje do chaosu idejowego zrewidowanej P. P. S. niby pięść do nosa. — Zresztą dodamy najszczerzej w świecie: oczywiście, oczywiście! Nasz program autonomiczny wymaga jeszcze szczegółowego opracowania. Dawaliśmy dotąd najgłówniejsze tylko wytyczne polityki, stanowisko zasadnicze, skupiając świadomie nacisk na zwalczaniu orgji nacjonalizmu P. P. S. oraz demagogji narodowo-demokratycznej. Teraz nacjonalizm przynajmniej zbankrutował publicznie i pozwala nam zwrócić więcej uwagi na inne strony zadania. Ale trzeba chyba być całkiem pozbawionym zmysłu humorystycznego, aby nie widzieć ile komizmu leży w tym, jeśli te nasze obowiązki przypomina nam partja, której zwalczanie i pouczanie było naszym nudnym obowiązkiem politycznym przez lat piętnaście i która znalazła się wobec rewolucji nie już bez „wyrażnego sformułowania postulatu autonomicznego“, tylko wogóle bez programu, bez teorii, bez taktyki, — jak to mówią: bez głowy, bez rąk i bez nóg.

Jeszcze jedna uwaga. „Myśl Soc.“ podnosi zjadliwie, jako jeden z dowodów naszego lekceważenia względem postulatu autonomji, że postawiwszy go między innymi za warunek połączenia partji naszej z Socjaldemokracją rosyjską, delegaci nasi na zjeździe rosyjskim podali postulat ten do przyjęcia rzekomo „tak niepostrzeżenie“, iż ówczesny organ partyjny, „Niewskaja Gazeta“, mógł owo głosowanie całkiem przemilczeć, i dopiero trzeba było naszej interwencji dla wyciągnięcia na światło dzienne owej „zawieruszonej autonomji“. Myśliciele P. P. S. pozwolą, że dopomożemy ich domyślności w tym wypadku: autonomja polska na zjeździe rosyjskim nie „zawieruszyła“ się, tylko została po przyjęciu jednogłośnie przez zjazd, zeskamotowana w organie ówczesnej panującej frakcji „mieńszewików“, — tych samych mieńszewików, do których P. P. S. obecnie lgnie miłosnemi wargami. Przy pomocy autentycznego protokołu zjazdu skłoniliśmy wreszcie energicznie tychże „przyjaciół“ — mieńszewików do stwierdzenia, że postulat autonomji Polski, cyle drogi sercu P. P. S. od czterech miesięcy, został na nasze żądanie zawotowany przez pierwszy zjazd rosyjskiej Socjaldemokracji, w którym przedstawiciele polskiego proletariatu przyjęli udział.

W innym miejscu organ P. P. S. atakuje z zacięciem zasadę solidarnego występowania delegacji naszej na ostatnim zjeździe rosyjskim, nazywając ją z przekąsem „Kołem Polskim“. Koło Polskie Dmowskich i Nowodworskich, którego stanowiska w kwestji autonomji broni „Myśl Socjalistyczna“, tym jest zle, że reprezentuje „jedność narodową“ wyzyskiwaczy polskich z robotnikami polskimi. Delegacja zaś nasza na zjeździe rosyjskim reprezentowała jedność polityczną rewolucyjnego proletariatu polskiego i jego określone zupełnie stanowisko taktyczne w walce rewolucyjnej. Obronienie tego stanowiska, mianowicie przeciw oportunistycznej zarazie, szerzonej przez frakcję mieńszewików, a zarazem obronienie całości zjednoczonej Socjaldemokracji państwa — tej najcenniejszej zdobyczy partyjnej z okresu rewolucji, przeciw grożącemu jej rozbięciu, było podwójnym celem wytycznym naszej delegacji na zjeździe londyńskim. I obu tym zadaniom służyło znakomicie solidarne i sprężyste wystąpienie delegacji polskiej, która jak jeden mąż odbiła zakusy oportunistyczne na całej linii, a tym samym uchyliła nieunikniony w przeciwnym razie rozłam partyjny. Że ta sprężystość delegacji polskiej była kolcem w oku mieńszewików, dla których rozbiecie polskich głosów stanowiło kwestję życia, że niemniej idzie ona nie w smak P. P. S., dla której oportunizm wogóle jest podstawą życiową, i która nadto tylko w razie zwycięstwa frakcji oportunistycznej mieńszewików może mieć nadzieję przedostania się do partji rosyjskiej, to rozumiemy doskonale. Ale dopóki grozi w szeregach Socjaldemokracji rosyjskiej przemożny wpływ kierunku, który uważał za możliwe pertraktować w Dumie o aljansach z Narodową Demokracją, jako „partją opozycyjną“, który próbował zeskamotować de-

czyżby zjazdu rosyjskiego, sankcjonującą postulat autonomji dla Polski, który opierał się z całej siły wstąpieniu do partji ogólnopaństwowej organizacji rewolucyjnego proletariatu polskiego gwoli interesów swego kramiku frakcyjnego, dopóki wreszcie całość i jedność partyjna nie będzie stała poza wszelkim niebezpieczeństwem, przyjdzie może i w przyszłości wywierać skupione ciśnienie proletariatu polskiego, czyniąc z delegacji polskiej jeden sieczny oręż jego woli. I ta solidarność delegacji naszej nie była — co najważniejsza — żadną ofiarą, gdyż S. D. K. P. i L. nie jest, jak P. P. S., według własnego zeznania „Myśli Socjalistycznej“, arką Noego, osłaniającą wszelkie możliwe kierunki i poglądy. W delegacji polskiej Socjaldemokracji nie było co do wszystkich decydujących kwestji zjazdu, żadnej różnicy poglądów. Pozatym skwitowano tylko z możliwych różnic zdania w sprawach podrzędnych, aby skupić akcję na linii wytyczonej i zapewnić przeto proletariatowi polskiemu wpływ poważny, który mu się należy, oraz skutecznie porażkę kierunku w rosyjskiej Socjaldemokracji, który uważa za możliwe i pożądane paktowanie z Narodową Demokracją wbrew woli i interesom świadomych polskich robotników.

Kiedy P. P. S. gruntownie się już rewiduje, to nie wypada trwać przy starych nałogach. „Myśl Socjalistyczna“ już w dwu numerach ostatnich zajmuje się gorliwie komentowaniem uchwały, przyjętej przez Komitet Centralny S. D. P. R. R. w sprawie związków zawodowych, oraz naszym do niej stosunkiem. Kręcone i nakręcane usilnie wywody mają nam snać czegoś nieprzyjemnego dowieść, choć wątku dojść w tej gmatwaninie trudniej, niż dojrzeć dobre chęci autorów. Ale decydującą jest rzecz następująca. Tekst samej uchwały, o której mowa już w dwóch numerach, organ P. P. S. wystrzega się starannie zacytować, przytacza tylko w podejrzany sposób „parę ustępów“, które zasługują na zacytowanie, jako kompromitujące rzekomo polskich członków Komitetu Centralnego, którzy również głosowali za tą uchwałą. W rzeczywistości chodzi nie o jakichś „parę ustępów“, które sobie „Myśl Soc.“ wybrała do zacytowania, tylko o to, że w pierwszym zaraz ustępie tekstu uchwały, który „Myśl Soc.“ cytuje, przepuściła ona poprostu pierwsze zdanie następującego brzmienia:

„Wyteżona praca socjaldemokratów w ruchu zawodowym, dyktowana całym obecnym stanem rzeczy, winna być prowadzona w myśl londyńskiej i sztutgardzkiej rezolucji, t. j. w żadnym wypadku nie w duchu zasadniczego uznania neutralności lub bezpartyjności związków. Naodwrot w duchu stanowczego dążenia do możliwie najściślejszego zbliżenia związków z s.-d. partją“

Zaznajomienie czytelników „Myśli Soc.“ z powyższym zdaniem naczelnym uchwały C. K. zmniejszyłoby oczywiście pociechę organu P. P. S. z innych jej ustępów, oraz utrudniłoby jego zdziwienie z powodu głosowania naszych przedstawicieli w C. K. za uchwałą, mającą być w „jaskrawej sprzeczności“ z taktyką naszej partji. Ale przepuszczenie świadome takiego zdania w cytowanym ustępie jest w języku zwykłych śmiertelników — fałszerstwem, w praktyce zaś zrewidowanej P. P. S. — nieprzystojną recydywą.

Na zakończenie odślonimy tajemnicę. „Myśl Soc.“ wspomina (w czwartym już miejscu ostatniego numeru) sprawozdanie „Czerwonego Szt.“ Nr. 156 o krajowej konferencji partyjnej S. D., gdzie wzmiankowana tylko pobieżnie „dość długa dyskusja“ z powodu stosunku naszego do P. P. S. „Myśl Soc.“ dopytuje się na gwałt, co to była za dyskusja i woła znacząco: „Co „Czerwony Sztandar“ konspiruje?“ Otóż wyznamy: „Czerwony Szt.“ „konspirował“ — dla przyzwoitości. Delegaci odpowiedzieli bowiem jednomyślnie na kwestję, jakim jest ich zapatrywanie na zrewidowaną P. P. S. tak, jak Bartek zwycięzca, pytany od Steinmetza, kto to są francuzi: nie powiedzieli wprawdzie, że „jeszcze gorsze.....“, ale że mniej więcej „takie same....., jak dawniej“.